MIESIĘCZNIK
12(63) GRUDZIEŃ 1987 CENA 100 ZŁ

Fantastyka

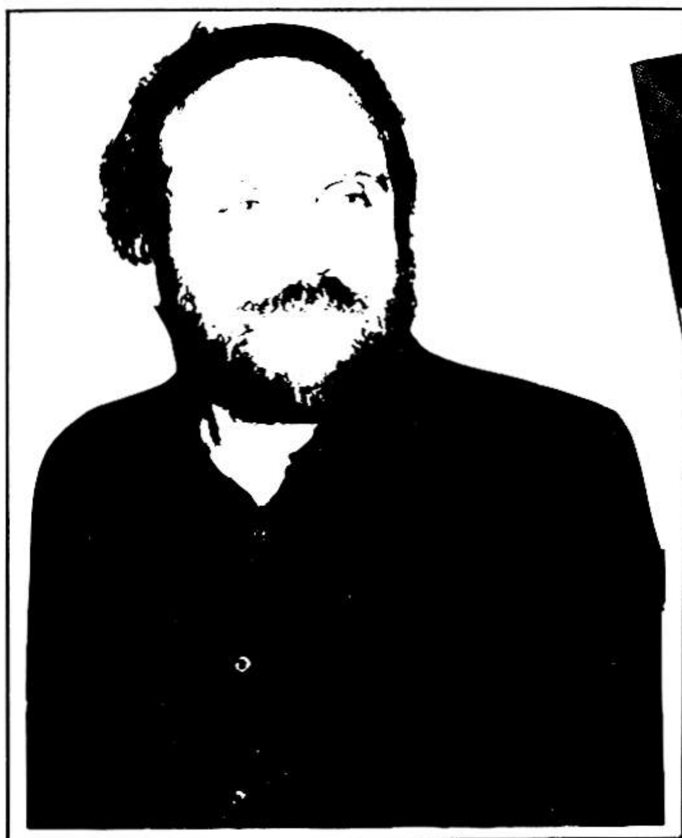
PL ISSN 0209-1631
NR INDEKSU 35839

**Wesołych Świąt
i szczęśliwego
Nowego Roku 1988
życzy wszystkim**
Redakcja



Sondaż III – wyniki

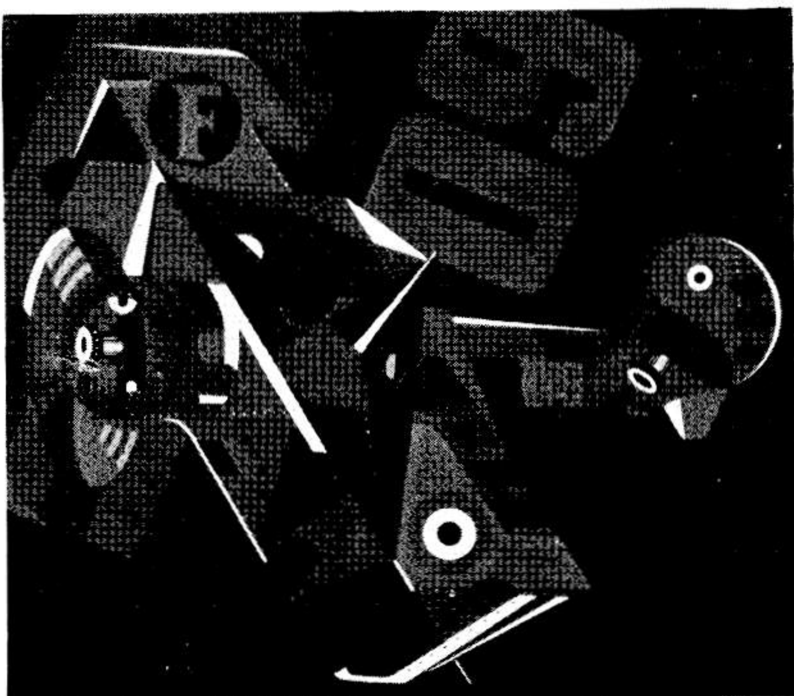
Piotr Łopalewski





Piotr Łopalewski urodził się w 1946 roku w Zabrzu. Jest absolwentem Wydziału Form Przemysłowych Akademii Sztuk Pięknych w Krakowie. Uprawia malarstwo, rysunek, grafikę, plakat, projektowanie graficzne oraz projektowanie w zakresie form przemysłowych. Swoje prace wystawiał w kraju i za granicą (Szwecja, RFN, Szwajcaria).

BORYS BICZ



Borysa Bicza poznaliśmy we wrześniu 1987 r. podczas Dni Warszawy w Moskwie. W naszej „galerii" przedstawiamy jego prace, które pochodzą z pierwszej oficjalnej wystawy grupy radzieckich artystów nie prezentowanych dotychczas szerszej publiczności. Zestawiając ze sobą grafiki Łopalewskiego i malarstwo Bicza chcieliśmy skonfrontować dwa różne warsztaty, ale podobny sposób myślenia obu plastyków.

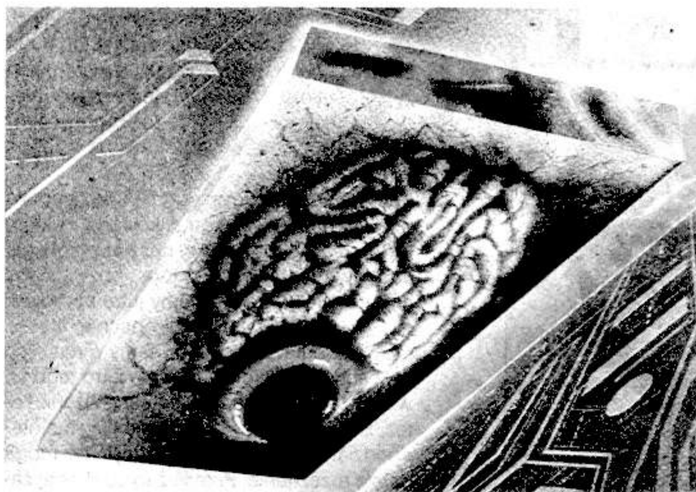
(A.B)

SIERPIEŃ – WRZESIEŃ 1987

Brighton – Moskwa

W STOLICY ZSRR: SF a przyszłość – 32 pisarzy z całego świata – prezentacje fantastyki polskiej **(czytaj str. 2 i 61).**

W ANGLII: narady i nagrody **(czytaj str. 62).**


Marek Zalejski

58

Czy rozum jest tylko efektem ubocznym ewolucji? – o hipotezach (m.in. Konrada Fiałkowskiego) próbujących wyjaśnić tajemnice rozwoju mózgu ludzkiego pisze w swoim felietonie Maciej Iłowiecki, uznany przez Czytelników za najpopularniejszego autora naszego pisma w roku 1986 (wyniki III Sondażu na str. 31).

...3...2...1...



SF i przyszłość

Boże, tylu fantastycznych pisarzy naraz – zawołał na cały głos ktoś wchodzący na salę konferencyjną moskiewskiego hotelu „Kosmos" siódmego września tego roku, wzbudzając tym małe zamieszanie wśród obradujących nad sprawami „science fiction i przyszłości człowieka". Istotnie, rzadko się zdarza, żeby zjechało się ze świata ponad trzydziestu naraz czołowych twórców w jednym miejscu i o jednej porze, ale ten czas był szczególnie sposobny do takiego rodzaju spotkania. Przecież oczy wszystkich kontynentów zwrócone są dziś na Związek Radziecki, a szczególnie na jego stolicę, zaś wszelkie środki masowego przekazu na tym globie wałkują nieustannie dwa magiczne już słowa „Gorbaczow" i „pieriestrojka", roztrząsając wpływ tego co się tu dzieje na nasze losy dziś, jutro i pojutrze. Nigdy nie obserwowałem takiego runu cudzoziemców na Moskwę, nigdy dotąd nie widziałem na Arbacie – prawdziwym teraz corsie moskiewskim – takich tłumów młodzieży, dającej ad hoc przedstawienia na tematy aktualne, śpiewających ballady pełne aluzji do tego co się wyprawia, deklamujących Wysockiego i wielu innych współczesnych poetów, prowadzących gorące dyskusje, organizujących wystawy plastyczne na świeżym powietrzu. Nawet tegoroczna kapryśna, siąkająca deszczem pogoda nikomu tu nie przeszkadza.

A w „Kosmosie" siedzieli i spierali się o rolę i znaczenie fantastyki w tych znamiennych ruchach współczesności przedstawiciele siedemnastu krajów. Pośród nich takie sławy jak John Brunner, brytyjski laureat nagrody Hugo, znany u nas dobrze autor 20 bestsellerowych tytułów, Harry Harrison, sławny Amerykanin, żyjący obecnie w Irlandii, Frederik Pohl, dwukrotny laureat Nebuli i pięciokrotny Hugo, zdobywca także wielu innych międzynarodowych zaszczytów, wiceprezydent WSF, autor ponad 30 bestsellerowych książek. Zainteresowanie ogromne wzbudziła obecność Alana Dean Fostera, autora scenariusza do „Gwiezdnych wojen" (napisał poza tym 40 książek). Obu autorom z USA towarzyszyła znana krytyczka (tak można by to określić?) Elisabeth Ann Hull, redaktorka informacyjnego czasopisma Światowej Organizacji Profesjonalistów SF „Newsletter". Z RFN przybył profesor filozofii, matematyk a zarazem znany i uznany pisarz – Herbert Franke, ze ścisłej czołówki pisarskiej tego kraju, z Czechosłowacji dwaj znakomici przedstawiciele dwóch różnych pokoleń fantastów, Josef Nesvadba (z drugiego swego zawodu – doktor psychiatrii) i wybijająca się gwiazda pióra w dziedzinie zarówno krytyki i teorii jak i beletrystyki Ondřej Neff (jego historię SF właśnie wydaną w Czechosłowacji będziemy omawiać na naszych łamach już wkrótce). Z Francji przybył popularny Claude Avice, znany miłośnikom literatury fantastycznej z książek podpisywanych pseudonimem – Pierre Barbet oraz Piotr Duvic (z którym niedawno wywiad opublikowała „Fantastyka") przedstawiciel młodego pokolenia twórców. Z Japonii – Sakyeo Komatsu, autor wielu powieści i słynnego scenariusza filmowego „Śmierć Japonii". Z Węgier – Peter Kuczka, Laszlo Lorinc I Rigo Bela. Z Bułgarii Ljuben Diłow. Z NRD – Heiner Rank i Klaus Frühauf. Gospodarzy reprezentowali Jeremiej Parnow i Osincewa. Dobrze się przy organizacji tej imprezy naharowali, równocześnie sprawili, iż przez salę przewinęła się przy tym plejada najpoczytniejszych twórców radzieckich. Brakowało wśród nich braci Strugackich i Bułyczowa. Od nas przyjechał Leszek Bugajski, Konrad Fiałkowski (bardzo tu popularny) i niżej podpisany.

Szkoda jednak, że najnowszą literaturę SF w Polsce, fragmentarycznie znaną miłośnikom radzieckiej fantastyki z ich czasopism, zbyt rzadko publikuje się w postaci wydawnictw książkowych. U nas wydaje się natomiast dużo książek z SF radzieckiej.

Nie wymienię tutaj reszty znanych i popularnych osobistości, przybyłych na konferencję, ponieważ nie starczyłoby mi tu miejsca. A poza tym trzeba by jeszcze wyliczyć uczonych, którzy brali w niej udział. Jako pars pro toto pozwolę sobie na zacytowanie wypowiedzi wybitnego członka Akademii Nauk ZSRR, profesora Sokołowa, chemika, który roztoczył drastyczny obraz stanu ekologicznego naszej planety. „Nie ma już dziś na naszym globie ani jednego miejsca, w którym byłoby czyste powietrze czy czysta woda. Zatrute są wszystkie oceany, a także nawet nasze jezioro Bajkał. Jeszcze kilkanaście, kilkadziesiąt lat, a nie będzie w ogóle można w takich warunkach żyć. Zostało do naprawy stanu rzeczy niezwykle mało czasu". Otóż to. Tego potrzeba ze strony uczonych i jeszcze czegoś więcej.

Przedstawienie przyszłości to sprawa bowiem niezwykle skomplikowana, zwłaszcza że nie wbudowano w nasz mózg jakiejś drugiej mentalności, która pozwalałaby nam rozwiązywać problemy jutra po nowemu, inaczej niż się to robi obecnie, a więc nie na podstawie tego co wiemy w naszych czasach. Na wykorzystywanie jutro tego co wiemy teraz, jesteśmy niestety skazani. Toteż, znowu niestety, trzeba się liczyć z niespodziankami, one także utrudniać mogą nasze rozeznanie. Przecież to co dzisiaj zakorzenione w naszej świadomości, może okazać się w przyszłości nonsensem, człowiek bowiem potrafi się nagle odmieniać, przestawiać i to wbrew potocznym a nawet naukowym osądom – szybciej niż myślimy. Pozwala mu na to jego elastyczność emocjonalna, umysłowa i jego nieposkromiona chęć przemian.

Stąd liczne spięcia współczesnej rozwiniętej, tej na prawdziwie dobrym poziomie literatury SF z nauką. Ludzie ubiegłego stulecia przypuszczali, że nauka zapewni im niezwykły komfort, spełni marzenia pokoleń, tkwiące w najstarszych mitologiach: o życiu bez chorób, bez konfliktów psychicznych i fizycznych. Gdy okazało się, że nauce coraz trudniej to zadanie wypełnić, że obok komfortu prowadzi ona do nowych konstrukcji bratobójczych broni i do zniszczeń ekologicznych, zaczęto bać się tyranii nauki, poszukując na ślepo irracjonalnych wyjść z impasu. I w takim stanie konfliktu między nauką i marzeniami znajdujemy się właśnie, a fantastyka nieraz dolewa oliwy do ognia, demonstrując na przykład karykaturalne modele światów, w jakich nikt nie chciałby zamieszkać, toteż ostrzeżenia, to moralitety, to nowa fala autentycznego romantyzmu, na której płynie dziś niemal cała czołówka pisarzy i miliony odbiorców ich dzieł. Nie wystarczą tym zwolennikom pop-romantyzmu małe kroczki polityków, uczonych czy twórców. Każdy z wymienionych działa nazbyt na własną rękę, każdy sobie rzepkę skrobie.

Dlatego w dyskusji o przyszłości tak bliskiej fantastom, na konferencji w Moskwie w „Kosmosie", ciągle zwracano się ku aktualnym zagadnieniom dnia dzisiejszego. Z teraźniejszości bowiem musi wypływać jutro. Dobrze więc, że w okresie pieriestrojki pomyślano także i o udziale fantastów w dyskusji nad nią i o konieczności przebudowywania mentalności całego świata.

Do następnego orbitowania.

10–9–8–7–6–5–4–3–2–1

Adam Hollanek

MIESIĘCZNIK LITERACKI Fantastyka

Adres redakcji:
00-640 WARSZAWA,
ul. Mokotowska 5/6

Telefony: 25-34-75 (red. nacz., sekretariat, działy: techn., graf., literatury polskiej), 25-50-51 (z-ca red. nacz., sekretariat, działy: zagr., krytyki).

Redaktor naczelny: Adam Hollanek.
Zespół redakcyjny: Andrzej Brzezicki (kier. działu graf.), Leszek Bugajski, Anna Gładka, Lech Jęczmyk (kier. działu zagr.), Sławomir Kędzierski (z-ca sekr. red.), Zbigniew Latała (fotoreporter), Maciej Makowski (kier. działu techn.), Dorota Malinowska, Andrzej Niewiadowski (z-ca red. nacz.), Maciej Parowski, (kier. działu literatury polskiej), Jacek Rodek (z-ca red. nacz.), Krzysztof Szolginia (sekr. red.), Darosław J. Toruń, Marek K. Zalejski, Rafał A. Ziemkiewicz.

Redakcja nie zwraca materiałów nie zamówionych, w publikowanych tekstach zastrzega sobie prawo dokonywania skrótów.

Wydawca: Krajowe Wydawnictwo Czasopism RSW „Prasa-Książka-Ruch", ul. Noakowskiego 14, 00-666 Warszawa, tel. centr. 25-72-91 do 93. Ogłoszenia przyjmuje Biuro Reklam i Propagandy tel. 25-35-36. Skład: Zakłady Wklęsłodrukowe RSW „Prasa-Książka-Ruch", Warszawa, ul. Okopowa 58/72. Druk i oprawa: Prasowe Zakłady Graficzne RSW „Prasa-Książka-Ruch", Łódź, ul. Armii Czerwonej 28.

Zam. 3644/87.K-9.
Nakład 150 000 egz.

NR INDEKSU 35839 PL ISSN 0209-1631

Oddano do składu 24 sierpnia 1987 r.

Czytelnicy i „Fantastyka"

LĄDOWANIE LVIII

Wybrałem z wielu listów tylko te, które opowiadają dlaczego ludzie czytają utwory fantastyczne i nasze pismo. Co wynika z ich lektury niech osądzą sami Czytelnicy.

Strasznie nudno

Mieszkam w małym miasteczku i gdyby nie to, że udało mi się przez znajomość mojej matki załatwić prenumeratę Waszego pisma, zginąłbym z nudów. W jednym tutejszym empiku odbywają się spotkania kulturalne typu „jak przeżyć sto lat" albo „seksualne niepewności młodego człowieka". Czy to można wytrzymać? W kinie idą filmy znacznie jeszcze nudniejsze od dawanych przez naszą ukochaną telewizję – horrory bez horroru, młodzieżówki bez ikry i ktoś tam daleko myśli, że nas w ten sposób wychowa. Poszukuję książek w tutejszych bibliotekach, tych, o których pisuje się czasami w gazetach, że ciekawe, ale ich tu wcale nie ma. Zapytałem raz o to panią bibliotekarkę, a ona mi odpowiedziała z wściekłością: „to może mi na takie nowości pieniędzy pożyczyłbyś, twoja mama na owocach podobno sporo zarabia". Boże, gdzie ja żyję. Nasza pani przynosi nam i rozpożycza z własnej biblioteczki lektury szkolne, zapisujemy się do nich w kolejce, ale co zrobić kiedy to także nuda. W każdym razie nie ma tam prawdziwej fantastyki, takiej, co to włosy aż do góry podnosi, jak się ją czyta, jak się ślepia w nią wklei, i nie można się od niej oderwać. Po prostu czytuję to Wasze pismo, bo jesteście mniej nudni.

Jacek Garnoch z okolic Wrocławia

Cóż wy tak nam skąpicie tych Amerykańców, jeśli jak pisze sam pan redaktor naczelny za złotówy swoje dzieła wam oddają. Ładujcie ich ile wlezie i żeby to nie było takie do płaczu tylko, ale żeby aż darło po bebechach. Zanadto jesteście delikatni, a fantastyka musi być jak Conan – okrutna i sprawiedliwa.

Zbigniew Rostaszewski z Warszawy

Dalekie od życia

Być może należę do kobiet wyjątkowych, wczytujących się w scienie fiction, gdyż podobno w waszych sondażach wykryliście strasznie małą liczbę czytelniczek. Nic dziwnego, że ta autorka, co ostatnio kropnęła z pistoletu swego starego męża, a potem siebie, aż się wstydziła, że jest babą i pisała pod pseudonimem Tiptree. Bo fantastyka to kopalnia twardych chłopów, dlatego ja ją lubię, gdzież indziej szukać takich facetów jak Conan, jak wasi różni podróżnicy po kosmosie, którzy z nikim i z niczym się nie cackają, tylko przy takich kobieta potrafi się czuć bezpiecznie. Tylko prawdziwa kobieta potrafi pojąć prawdziwych bohaterów science fiction, ale u nas prawdziwych kobiet coraz mniej, zresztą i prawdziwych chłopów, nie chcę wam opowiadać swoich prawdziwych losów, ale kto wie czy one nie byłyby dla autorów fantastyki jeszcze bardziej fantastyczne niż to co oni piszą. Proszę nie zbaczajcie z drogi. Cześć, cześć.

Małgorzata B. z Chorzowa

Mam co dzień ciężką robotę i odpowiedzialną, jaką długo by opisywać i wyjaśniać, nie jest to jedynie wysiłek fizyczny, o nie, w każdym razie nie mam czasu na normalne życie. Rodzinę mam także na utrzymaniu i jestem zmuszony fuchy robić, także. A gdy tylko mogę, to chwytam za książkę fantastyczną, czy za waszą gazetkę i w czasie dojazdów do moich robót, niestety daleko położonych, zabieram się do czytania, to co piszecie takie dalekie od życia, w każdym razie od mego, bohaterzy waszych opowiadań też mają nielekko, ale całkiem inaczej ode mnie i tych co ja znam. Jak na wakacjach się czuję przy waszej lekturze.

Stefan Chochlik z Gdańska-Wrzeszcza

Nauczył fantastyki

Spotkałam chłopca, on mnie nauczył fantastyki, chodziliśmy razem po parkach, zaglądaliśmy wieczorem w niebo z gwiazdami, opowiadał mi, że on także tam czasem wylatuje, opisywał statki kosmiczne i przyrządy, które służą do nawigacji, opisywał światy inne niż nasz i mnie się to naprawdę spodobało, nie tylko to co mówił, ale on sam także wydał mi się całkiem inny od mężczyzn jakich jak dotąd znałam. Pokazywał mi te postacie z kosmosu, o których opowiadał, w Waszym piśmie i bardzo bym chciała tak wyglądać jak te kobiety, tam na tych kartkach papieru. On mnie nawet porównywał do tej z obrazu Achilleosa czy Achillesa, nie wiem czy dobrze to piszę, delikatnej, tajemniczej, kolorowej ze skrzydełkami. Ten chłopiec, ten mężczyzna z fantastyką jest teraz daleko ode mnie, inną sobie znalazł, ale mnie została lektura fantastyki, i wierzę, że gdy to przeczyta, com napisała, on do mnie wróci. Wydrukujcie tylko koniecznie.

Zofia Krystek z Jeleniej Góry

Najpierw kiedy zacząłem czytywać „Fantastykę", robiłem to ukradkiem, pełen wstydu, że ja, pracownik naukowy, parający się bardzo ścisłą dziedziną wiedzy, mogę się oddawać tego typu lekturze. Nie potrafiłem jednakże całkowicie skryć swoich zainteresowań, choć nie mogę zaprzeczyć, iż próbowałem tego. Ale u nas każdy wie prawie wszystko o każdym i moje żenujące obiekty zainteresowania – książki i czasopisma (także zagraniczne) SF, z tymi śmiesznymi okładkami pełnymi dziwadeł, jakich nie uświadczysz na tej planecie, trochę bajecznych, trochę kiczowatych, znajdujące się w moim posiadaniu, szybko przestawały być tajemnicą. Nagle spostrzegłem, iż staję się ośrodkiem zainteresowania wielu osób i okazało się, iż owe osoby często przeze mnie wielce poważane, znajdujące się w naukowej hierarchii wyżej ode mnie, również frapuje ta sama lektura co mnie. Zdobyłem sobie tym sposobem mimo woli sporą liczbę nowych kolegów i przyjaciół. Mieliśmy wszyscy do Was, redaktorów pisma pretensję o pewne obniżenie lotów, zwłaszcza w zeszłym roku (1986), w połowie – obecnie znowu lektura pisma staje się z numeru na numer ciekawsza. Gratulacje, to już 50 numerów i pięć lat. I jeszcze jedno: nie zaniedbujcie, mimo wszystko, banalnej wydawałoby się rubryki „komu, komu". Ja sam dzięki niej uzyskałem za jej pośrednictwem możliwości wymiany książek i niektórych numerów „Fantastyki".

Doc. dr L.W. z Krakowa

PS. Nazwiska jednak mimo wszystko publicznie nie ujawniam.

No i co? Nikogo nie pytałem dlaczego czyta „Fantastykę" i książki SF, a odpowiedzi na to – interesujące mnie i moich kolegów pytanie – znalazłem. Myślę, że są one tylko drobną cząstką motywacji czytelniczych.

Redaktor



Leonid Zadoński

Sprostowanie

W dniu 29.12.1985 wysłano na II Konkurs „Fantastyki" opowiadanie pt. „Ten wojewoda...", autorstwa Andrzeja Podgórskiego i Andrzeja Bączkowskiego. W lipcu 1987 wyżej wymienione opowiadanie zostało wydrukowane w „Fantastyce", opatrzone jedynie nazwiskiem Andrzeja Podgórskiego. (...)

Andrzej Podgórski
Andrzej Bączkowski

Maszynopis był podpisany jednym tylko nazwiskiem. Przyjmujemy wyjaśnienie Autorów do wiadomości i przedstawiamy je Czytelnikom „Fantastyki".

Redakcja

Phyllis Eisenstein

Ślimak z kosmosu

(The Snail Out of Space)

Lądowanie na skraju lasu. W pobliżu plemię lokalnych mięczaków. Przebranie wydaje się odpowiednie. Więcej następnym razem.

Przepraszam za lapidarność wstępnej depeszy, ale w tym czasie obok galopowało stado pasiastych czworonogów, co zmusiło mnie do poszukania schronienia. Byłem już bardzo bliski nawiązania kontaktu z tubylcem, lecz niestety został on zmiażdżony na papkę przez podobne do młotów racice, wielkości niemal jego ciała. Miałem jednak możność obserwować go dostatecznie długo, żeby dokonać pewnych poprawek w moich wzorach maskujących i teraz nie mam już wątpliwości, że mogę uchodzić za jednego z ich gatunku. Nawiążę kontakt z następnym ze znajdujących się najbliżej mnie osobników.

Naśladując tubylców, posuwam się na piątym biegu. Dotarcie w tym tempie do wspomnianego osobnika zajmie mi sporo czasu, wykorzystam go więc na dokładne opisanie otoczenia. Roślinność jest bujna, we wszelkich wyobrażalnych odcieniach zieleni. W wielkiej obfitości występują tu latające i pełzające istoty o niewielkich rozmiarach i wszystkie one zdają się mnie ignorować. Po drodze zebrałem już pewną liczbę okazów, wypełniając pojemniki od 1 do 869. W najbliższej okolicy nie widzę drapieżników, lecz działko laserowe na wszelki wypadek znajduje się w pełnej gotowości. Upał, szczególnie w miejscach nasłonecznionych jest bardzo intensywny, klimatyzator jednak sprawuje się doskonale i czuję się całkiem dobrze.

Tubylec, do którego podszedłem posila się roślinami, rosnącymi na poboczu jednej z utwardzonych dróg, położonych przez gatunek, który na tej planecie dominuje. Wykazywany przez niego brak zainteresowania bliskością szybkich pojazdów wydaje się potwierdzać naszą wstępną hipotezę na temat zawartego tu paktu o międzygatunkowej nieagresji. Ten osobnik zdaje się nie zwracać uwagi również na moją obecność i, prawdę mówiąc, zupełnie mnie ignoruje. Spróbuję zyskać jego zainteresowanie rysując na ziemi między nami kilka geometrycznych figur.

Tubylec wreszcie mnie zauważył i zaczął kołysać głową, wyraźnie usiłując nawiązać kontakt. Mam nadzieję, że poprzez naśladowanie jego ruchów wykażę moją własną inteligencję. Ten konkretny osobnik obdarzony jest niemałym prymitywnym urokiem. Jego muszla, jakkolwiek wytworzona z naturalnej wydzieliny i znacznie cięższa niż mój kombinezon, jest przyjemnie skręcona i ozdobiona liniami jaskrawych kolorów. Jego głowa jest mała i delikatna, skóra gładka i błyszcząca, szypułki zgrabnie zwężają się ku górze, zaś śluz ma bardzo atrakcyjny zapach. Będąc najwyraźniej przekonanym, że należę do jego gatunku, zaczął zachowywać się w sposób, który mogę określić tylko jako dość natarczywe zaloty. Jakkolwiek równie dobrze może to być przyjęta wśród tych istot forma powitania, przyznam się, że działa to na mnie nieco rozpraszająco i mogę tylko mieć nadzieję, iż nie naruszę żadnego z miejscowych zwyczajów, jeżeli nie będę tych zalotów odwzajemniał.

Podczas gdy tubylec i ja zajęci byliśmy wstępnymi próbami porozumienia się, na jezdni w pobliżu nas zatrzymał się duży pojazd, wyszedł z niego przedstawiciel dominującego gatunku i przeniósł nas do jego wnętrza. Tam też obecnie przebywamy. Dotychczas ten osobnik nie zrobił, tak w sferze ruchowej, jak i werbalnej, niczego, co mogłoby być uznane za próbę skomunikowania się z nami. Jego podstawowym zainteresowaniem wydaje się być jedzenie, gdyż usta poruszają mu się nieustannie, najwyraźniej przeżuwając pokarm. Zakładam, że nie sugeruje to chęci zjedzenia nas w jakimś późniejszym terminie, jakkolwiek oczywiście nie mogę tej możliwości całkowicie wykluczyć. Mój towarzysz jednakże wydaje się zupełnie nie przejmować naszą obecną sytuacją. Spoczywa spokojnie obok mnie, więc ja również, tak długo, jak to będzie wydawało się odpowiednie, mam zamiar zachowywać się podobnie.

Osobnik, który nas schwytał – gdyż tak to teraz muszę nazwać – zabrał nas z pojazdu, przeniósł do dużego, zadaszonego pomieszczenia i umieścił w wykonanej ze stalowej siatki klatce, objętością mniej więcej osiem lub dziewięć razy przewyższającej sumaryczną objętość naszych ciał. Ofiarował nam wodę i roślinne pożywienie, zaś klatka jest dobrze osłonięta przed słońcem. Przyszłość pokaże jakiemu będziemy służyć celowi. Zamek klatki jest konstrukcją dość nieskomplikowaną i nie mam wątpliwości, że z tego uwięzienia mogę uciec kiedy tylko zechcę.

Mój towarzysz posila się z zapałem, więc i ja, mając na uwadze mój kamuflaż, muszę udawać, że robię to samo. Zgniatarka śmieci, po wprowadzeniu kilku drobnych poprawek, sprasuje tę żywność w imitację odchodów mięczaków, którą wytłoczę z mego kombinezonu tak dyskretnie, jak to możliwe. A w trakcie pracy zgniatarki będę miał możność podtrzymać swoją formę, konsumując kilka zagęszczonych syntetyków. Więcej następnym razem.

Jakiś czas temu osobnik, który nas uwięził, wyjął nas z klatki i umieścił w osobnych przegródkach swego wierzchniego ubrania. W związku z tym miałem okazję przez pewien czas doświadczać wrażeń, związanych z właściwym temu gatunkowi, dwunożnym sposobem przemieszczania się. Początkowo ciągłe podskoki i kołysania były dość uciążliwe, ale wziąłem dwie tabletki przeciw chorobie ruchowej i w tej chwili czuję się już znacznie lepiej. Nie mogę przekazać żadnych obserwacji wizualnych, gdyż jestem całkowicie osłonięty, jednak inne moje czujniki wskazują, że zbliżamy się do obszaru o dużym zagęszczeniu przedstawicieli dominującego gatunku. Zauważalnie podniósł się poziom hałasów, a wiel-



Andrzej Brzezicki

ka rozmaitość woni z porośniętych roślinnością przestrzeni ustąpiła miejsca zapachowi ich ciał, który, co muszę zameldować, w najmniejszej nawet mierze nie jest tak przyjemny jak woń, unosząca się wokół mego towarzysza – mięczaka.

Została nam ofiarowana namiastka wolności. Osobnik, który nas schwytał, wyjął nas ze swej odzieży wewnątrz słabo oświetlonego pomieszczenia i umieścił na płaszczyźnie o wyjątkowej gładkości. Mój towarzysz natychmiast rozpoczął badanie najbliższego otoczenia. Wkrótce zniknął za skrajem niedalekiej przepaści, jednak natychmiast został przeniesiony z powrotem i postawiony u mego boku. Ja byłem bardziej ostrożny. Płaszczyzna była wąska, lecz o znacznej długości, zacząłem więc badania tego drugiego wymiaru. Nikt mnie nie zatrzymał. Znaczna liczba przedstawicieli dominującego gatunku stała po jednej ze stron tej płaszczyzny, opierając o nią dziwacznie zgięte górne wypustki i intensywnie mnie obserwując. Od czasu do czasu któryś z nich wydawał krótki dźwięk, ale te odgłosy nie wyglądały na podejmowane serio próby porozumienia się z nami, a ponieważ mój towarzysz całkowicie je ignorował, ja robiłem to samo. Na płaszczyźnie, przed nimi, wyraźnie zorganizowany w relacji jeden do jednego, stał nieregularny szereg przezroczystych, cylindrycznych pojemników, z których większość była nieco wyższa ode mnie. Zawierały one różnorodne, kolorowe ciecze, zwieńczone masami małych bąbelków. Od czasu do czasu któryś ze stojących podnosił swój pojemnik do ust i pił.

Właśnie po raz piąty obserwowałem tę czynność, gdy wykonujący ją osobnik opuścił pojemnik na gładką płaszczyznę i przystąpił do nachylenia go, w rezultacie rozlewając pewną ilość cieczy tuż przede mną. Domyślając się, że w ten sposób ofiarowuje mi poczęstunek, szybko przeprowadziłem analizę i stwierdziłem, że ciecz zawiera złożone substancje organiczne, wszystkie występują w bardzo niewielkich dawkach, zmieszane z dużą ilością wody. Nie znalazłem wśród tych substancji jakiejś

szczególnie szkodliwej, a mimo że kilku z nich nie rozpoznałem, jednak ich struktura molekularna dowodziła, że przynajmniej teoretycznie nadają się do spożycia. Tak więc, po umieszczeniu próbki cieczy w pojemniku 942 dokonałem wstępnej próby smakowej. Ciecz była nieco gorzka, jednak nie nieprzyjemna. Spróbowałem ponownie i wkrótce wypiłem ją całą. Mój towarzysz został umieszczony obok mnie i wylano następną porcję, którą obaj wypiliśmy. Mój chronometr informuje mnie, że od tego momentu upłynęła znaczna ilość czasu, chociaż moje subiektywne odczucia zupełnie tego nie potwierdzają. Ciągle jeszcze znajduję się, podobnie jak mój towarzysz, na wspomnianej gładkiej płaszczyźnie, jednak większość przedstawicieli dominującego gatunku już się oddaliła. Jeżeli podejdę do skraju płaszczyzny mogę widzieć tego, który nas tu przyniósł. Spoczywa on w pozycji horyzontalnej w pewnej odległości poniżej mnie i wydaje się być pogrążony w głębokim śnie, być może związanym z porą roku.

Nasz opiekun zabrał nas z płaszczyzny i ponownie zaczął się poruszać. Jednak tym razem jego chód jest tak nierówny, że byłem zmuszony wziąć aż trzy tabletki przeciwko chorobie ruchowej. Mój wskaźnik kierunku mówi mi, że wracamy do pomieszczenia zawierającego klatkę. Nie jestem głodny ani spragniony, jednak nie czuję się zbyt dobrze i muszę przyznać, że z pewną niecierpliwością oczekuję na ciszę i spokój naszej klatki. Więcej następnym razem.

Natychmiast po naszym powrocie mój towarzysz, wykazując tę odporność, która tak często cechuje przedstawicieli kultur pretechnologicznych, zabrał się do jedzenia. Ja jednak stwierdziłem, że zmęczenie mnie przytłacza i w związku z tym przydzieliłem sobie standardowy okres snu. Jednakże nie minęła nawet jego połowa, a zostałem obudzony przez mego towarzysza, który umiejscowił się tuż obok mnie i leciutko dotykał mego płaszcza i jedynego wystającego spod niego czułka swą niewielką, delikatną głową. Muszę wyznać, że, w tym półświadomym stanie, nie znajdowałem tego poszturchiwania i – właśnie tak – podskubywania nieprzyjemnymi. Tak więc z początku nie robiłem niczego, co mogłoby sugerować chęć ich przerwania, tłumacząc sobie, że na pewno stanowiły oczywisty dowód zainteresowania i szacunku ze strony mego towarzysza i byłbym co najmniej nieuprzejmy natychmiast się z nich wycofując. Jednakże kiedy te gesty przekroczyły pewien poziom intymności, zrozumiałem, że nadeszła pora, żeby się oddalić i zacząć udawać spożywanie roślin. Najwyraźniej wybrałem właściwy sposób postępowania, gdyż mój towarzysz szybko sam się zajął jedzeniem i w tej chwili odpoczywamy obok siebie, radząc sobie, każdy na swój sposób, z wchłoniętą roślinną materią.

Oczywiście czuję ulgę, że w najmniejszym stopniu, jak się zdaje, nie obraziłem mego towarzysza, jednak czułbym się jeszcze lepiej, gdybym zrozumiał prawdziwe znaczenie jego zalotów. Być może były one częścią rytuału, mającego na celu ustanowienie jakiegoś symulowanego pokrewieństwa między dwoma nieznajomymi? Może jestem teraz członkiem jego plemienia? Muszę podwoić wysiłki w celu nawiązania z nim kontaktu. Więcej następnym razem.

Znowu odwiedziliśmy słabo oświetlone pomieszczenie i tym razem miałem szczęście zaobserwować u mego towarzysza nowe formy zachowania. Zarówno on, jak i ja już od pewnego czasu poruszaliśmy się po gładkiej powierzchni bez wyraźnego celu i jeszcze żadnemu z nas nie zaproponowano poczęstunku z cieczy, gdy mój towarzysz postanowił zbliżyć się do jednego z cylindrycznych pojemników. Nie widziałem nic szczególnego w tym akurat egzemplarzu, może z wyjątkiem tego, że był on wypełniony w nieznacznie większym stopniu niż wszystkie pozostałe. Po dojściu do pojemnika mój towarzysz rozpoczął wspinaczkę na jego bok, utrzymując się na śliskiej, pionowej powierzchni z pomocą swej potężnej stopy i gęstego śluzu. Na krawędzi pojemnika wygiął wdzięcznie swą długą szyję i zaczął chłeptać ciecz. Ten postępek, jakkolwiek z początku wydał mi się niezbyt uprzejmy, najwyraźniej mieścił się w normach społecznych, akceptowanych przez obecnych tu przedstawicieli dominującego gatunku, gdyż, mimo że wielu z nich w pierwszej chwili wydawało groźne dźwięki i nawet wymachiwało w stronę mego towarzysza swymi górnymi kończynami, nikt nie podjął próby powstrzymania go.

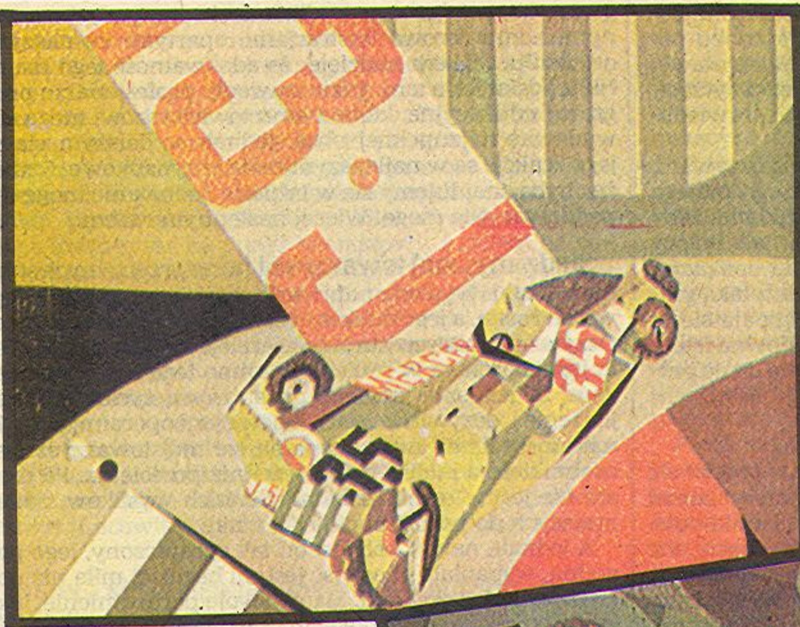
Starając się zachować logikę mego przebrania, oczywiście natychmiast skopiowałem to zachowanie. Miałem pewne kłopoty podczas wspinaczki – zarówno bieżniki mojej terenowej stopy nie dorastały do wysokości zadania, jak i smar nie tworzył dostatecznego spoiwa między nimi a pojemnikiem. Byłem zmuszony wypuścić klamry przyssawne, a w połowie drogi myślałem, że będę musiał uciec się do pomocy zaczepów – na szczęście nie okazało się to konieczne. Pomyślnie dotarłem na krawędź i zdołałem się tam ulokować, opuszczając jednocześnie wlot ssawki ku powierzchni cieczy. Była to nieco ryzykowna pozycja do konsumowania czegokolwiek, jednak ufam, że sprawiłem się całkiem nieźle.

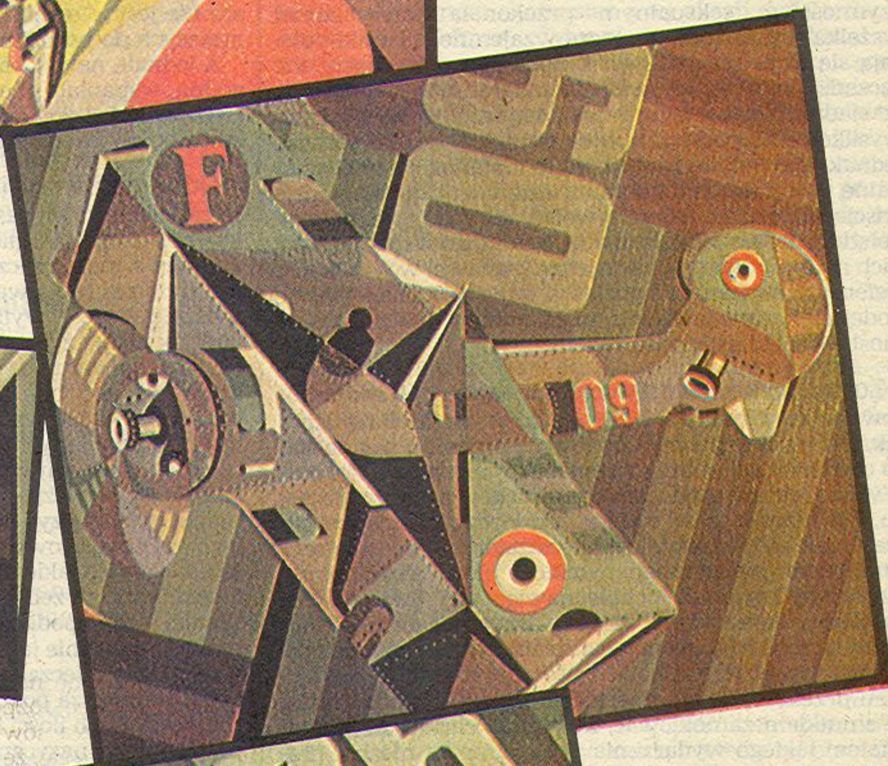
Nie jest dla mnie całkowicie jasne w jaki sposób zszedłem z krawędzi pojemnika. Prawdopodobnie zostałem zdjęty przez osobnika, który nas schwytał. Jakkolwiek to jednak było, znowu znajduję się, podobnie jak mój towarzysz, z powrotem w klatce i obaj poświęcamy się jedzeniu. Postanowiłem spróbować miejscowego pożywienia, choć analiza wykazuje, iż jest ono zatrważająco ubogie w proteiny. Mój towarzysz zaprowadził mnie ku bardziej soczystym fragmentom roślin, a ja w zamian podarowałem mu kilka kęsów najsmaczniejszego z moich koncentratów. Jego wdzięczność za ten podarunek jest dla mnie oczywista – mimo że przebywamy ze sobą dość krótko i nie zdołaliśmy dotychczas porozumieć się na poziomie umożliwiającym jasną wymianę doświadczeń, czuję, że już nawiązaliśmy mocny kontakt empatyczny. Jestem przekonany, że wróży to, jak najlepiej naszym przyszłym stosunkom z mięczakami tej planety. Więcej następnym razem.

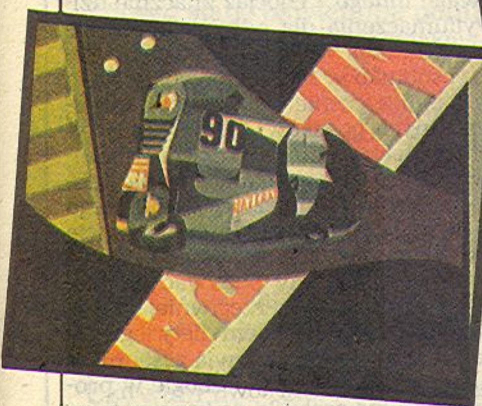
Ponieważ podłoga klatki niezbyt nadaje się do rysowania, a za każdym razem, gdy wycinam z roślin kilka prostych geometrycznych kształtów i układam je w logiczne konfiguracje, mój towarzysz je zjada, postanowiłem podczas kolejnych prób nawiązania kontaktu posługiwać się moim zewnętrznym wideomonitorem. Wiem, że z tym wyborem wiąże się pewien stopień ryzyka, ale jestem przekonany, iż jestem w stanie wykryć nadejście osobnika, który nas schwytał dostatecznie wcześnie, żeby zdążyć zasłonić ekran. Zamiast polegać w tym przedsięwzięciu na własnych umiarkowanych umiejętnościach wideo, rozpocząłem wyświetlanie serii standardowych programów edukacyjnych dla studiów larwalnych. Wydaje się, że barwy i żywość obrazów już zdołały przykuć uwagę mego towarzysza. Tak, podchodzi bliżej, wyciągając swą giętką szyję, poruszając delikatnymi szypułkami ocznymi z wyraźnym zrozumieniem. Ach, dlaczego wcześniej o tym nie pomyślałem? Ogromnie nie doceniłem wyrafinowania tej czarującej istoty. Podchodzi jeszcze bliżej, jego głowa łagodnie się kołysze, muskularna stopa marszczy się rytmicznie. A może te skomplikowane poruszenia skóry są jego sposobem porozumiewania się? Ciągle i ciągle od nowa wysyłał do mnie przekazy, a ja byłem zbyt zajęty banalnościami geometrii, żeby je odebrać? Dotyka mnie teraz, leciutko, swoją stopą. Czy jest to radosne pozdrowienie od bratniej duszy? Tak właśnie być musi. Naśladuję ten gest, a jego głowa pochyla się ku mojemu odsłoniętemu czułkowi, jego delikatne usta dotykają moich szczątkowych ssawek, tarka muska ich obrzeża czuciowe, jak tysiąc leciutkich nakłuć, a gdy oddaję te palpacje na boku jego szyi, jego głowa rusza w górę, w górę, jego giętka szyja oplata moją, ach, jak oplata, w górę, w górę, ach...

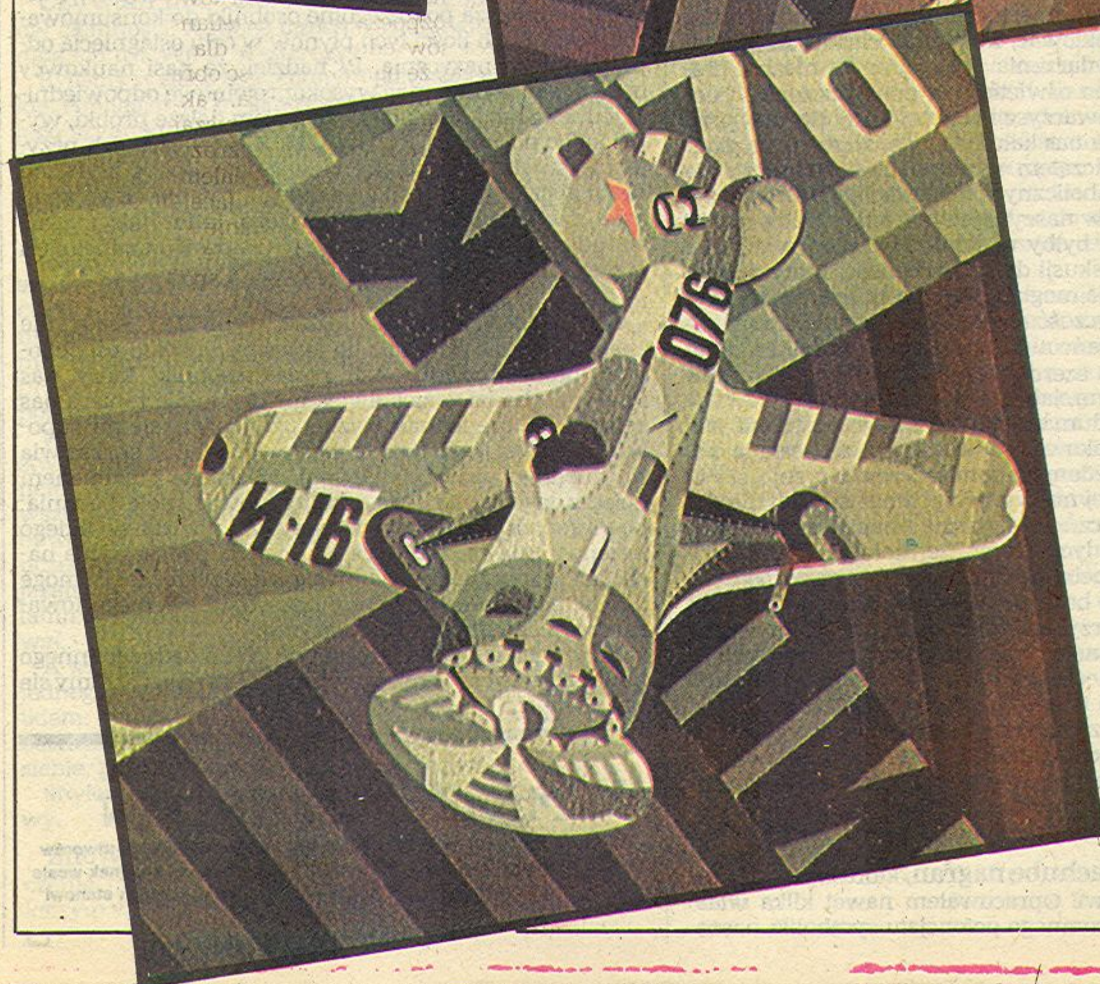
Przepraszam za tak gwałtowne przerywanie ostatniego raportu, ale oczekiwania mego towarzysza stały się tak oczywiste, a jego poczynania tak natarczywe, że konieczne stało się poświęcenie im przeze mnie całej, niczym nie rozpraszanej uwagi. Jakkolwiek nigdy nie miałem takiego zamiaru, zacząłem uczestniczyć w seansie seksualnym z tą istotą. Zdaję sobie sprawę z tego, że nie jest to krok zalecany przez instrukcje, jednak czułem, iż w tych warunkach nierozsądnie z mojej strony byłoby stronić od takiego doświadczenia. Jestem również przekonany, że każdy z moich kolegów, postawiony w obliczu takiego samego zestawu czynników zachowałby się tak samo jak ja. Jako minimum, była to niezrównana okazja do zbratania się z moim towarzyszem, do zdoby-

BORYS BICZ









cia jego całkowitego zaufania, do zaszczepienia mu głębokiej motywacji, skłaniającej do szukania sposobu porozumiewania się ze mną i już to tylko, nie biorąc nawet pod uwagę wcale przyjemnych aspektów fizycznych tej sytuacji, było z pewnością wystarczającym usprawiedliwieniem dla jej pełnej realizacji.

Odpoczywamy teraz. Lub raczej – ja odpoczywam. Wydaje się, że nasze czynności pobudziły apetyt mojego towarzysza, gdyż przeszedł na drugą stronę klatki, żeby jeść. Cóż za zachwycającą jest on istotą, śmiałe kolory jego muszli uwypuklają się w obramowaniu delikatnej zieleni roślin, jego subtelna głowa pochyla się z taką gracją ku soczystości pożywienia, szypułki wyginają się w przeuroczy sposób. Kiedy pomyślę, że ta cudowna istota rzeczywiście zezwoliła mi się posiąść, od nowa czuję pulsowanie mego narządu rozrodczego. Więcej następnym razem.

Ochota, z jaką mój towarzysz znowu poddał się czynnościom seksualnym przekonała mnie ponad wszelką wątpliwość, że nasze wzajemne stosunki opierają się teraz na trwałych i mocnych podstawach. Nie szczędziłem więc, wyświetlając nagranie za nagraniem, od stadium larwalnego wzwyż, najbardziej wytężonych wysiłków, żeby się z nim skomunikować. Dotychczas jednak jego jedyną reakcją na te materiały były okazjonalne próby skubania ekranu. Zanotowałem sobie oczywiście sekwencje, które wywołały tę reakcję, jednak jak dotąd nie udało mi się zauważyć żadnego wspólnego dla nich mianownika. Nie będę jednak ustawał w wysiłkach; jestem przekonany, że gdzieś w tym materiale kryje się podejście, które przerzuci między nami tak potrzebny most. Więcej następnym razem.

Zostałem zmuszony do przerwania prób skomunikowania się z moim towarzyszem, gdyż zjawił się osobnik, który nas schwytał i ponownie przeniósł nas do słabo oświetlonego pomieszczenia. Dotychczas nie sformułowałem jeszcze ostatecznych wniosków na temat powodu, dla którego nasz opiekun odwiedza to miejsce tak często, ale moja robocza hipoteza zakłada, że jest to centrum ruchu politycznego, być może nawet siedziba rządu. Gdybyśmy mieli ochotę nawiązywać jakiekolwiek kontakty z dominującą rasą tej planety, uważam, że najlepiej nadawałoby się do tego miejsce dokładnie tego rodzaju.

Po przekazaniu tej obserwacji czuję się w obowiązku ze smutkiem zameldować, że niemal stałem się przedmiotem takiego wydarzenia. Po spędzeniu niezbyt długiego czasu w słabo oświetlonym pomieszczeniu, podczas którego mój towarzysz i ja raczyliśmy się, bok przy boku, z rozlanej dla nas kałuży, nagle, smarem na gładkiej płaszczyźnie zacząłem wypisywać wiadomości. I nie były one tylko symbolicznymi abstrakcjami, ale rzeczywistymi zdaniami w naszym języku, które każdy inteligentny obserwator byłby w stanie zinterpretować jako nie podlegający dyskusji dowód obecności istoty z innej planety. Nasza misja mogłaby się zupełnie załamać, gdyby nie spostrzegawczość mojego towarzysza. Czując, że popełniam czyn krańcowo nierozważny, szedł za mną, gdy pisałem i jego szeroka stopa ścierała każdą literę krótką chwilę po tym, jak ją skończyłem.

Nie znajduję wytłumaczenia dla swego postępku. Nie wiem co go sprowokowało. Prawdę mówiąc, cała ta wizyta w słabo oświetlonym pomieszczeniu rysuje się w mojej pamięci mniej niż wyraźnie. Mogę się jedynie powoływać na psychiczne – i fizyczne – napięcie, związane z taką jak ta ekspedycją i ufać, że moi przełożeni przy orzekaniu kary w pełni uwzględnią moją szczerość.

Mam nadzieję, że będą również pamiętać nieocenioną pomoc mego towarzysza i uhonorują go odpowiednią nagrodą, gdy ta planeta stanie się pełnoprawnym członkiem Wspólnoty Mięczaków.

A jako że znowu znajdujemy się w klatce, z dala od wścibskich oczu przedstawicieli dominującego gatunku, powrócę do prób skomunikowania się z moim towarzyszem. Tak oczywiste rozpoznanie przez niego języka ogromnie mnie do tego zachęciło. Z pewnością przełom jest już bliski. Więcej następnym razem.

Straciłem już rachubę nagrań, które wyświetliłem memu towarzyszowi. Opracowałem nawet kilka własnych, używając ogromnego potencjału symboliki naszego języka, połączonego z kilkoma skromnymi, stworzonymi komputerowo ilustracjami, opartymi na naszym otoczeniu. Miałem nadzieję, że adekwatność tego materiału poskutkuje tam, gdzie zawiodły profesjonalne programy edukacyjne, które memu towarzyszowi mogą się wydawać najzupełniej obce. Jednak w dalszym ciągu jego reakcje są w najlepszym razie przypadkowe. Czuję, że chyba znajdujemy się w impasie. Jednak nie mogę się poddawać. Nie mogę. Więcej następnym razem.

Siedzimy, mój towarzysz i ja, po przeciwnych stronach klatki. Wygląda naprawdę czarująco, spoczywając wśród roślin, a jego delikatne usta żują, nieustannie żują. Oczywiście musi często jadać, jeżeli jedyna dostępna dieta jest tak uboga w proteiny – mimo tego teraz dostrzegam, że jedzenie jest jego podstawową życiową pasją. Jedzenie i, oczywiście, seks. Z pewnymi oporami, ale jednak doszedłem do przekonania, że mój towarzysz jest osobnikiem o inteligencji niższej niż przeciętna. Po prostu nie jest w stanie zrozumieć moich wysiłków, zmierzających do porozumienia się z nim.

A jednak, nawet jeśli jest on tak ograniczony, jego pogodna, wspaniała obecność jest mi bardziej miła niż potrafię to oddać słowami. Mamy swoje porozumienie, jakkolwiek nie jest ono intelektualne, i ja tego nie żałuję.

Odwiedziliśmy jeszcze raz słabo oświetlone pomieszczenie i tym razem zdałem sobie sprawę, że, jakkolwiek moja początkowa hipoteza na temat jego przeznaczenia może rzeczywiście być prawdziwa, to jednak nie wziąłem pod uwagę innego – chociaż znacznie dziwaczniejszego – wytłumaczenia dla odbywających się tam tak często zgromadzeń dla wielu należących do dominującego gatunku osobników. Mimo że wydaje się to nieprawdopodobne, pomieszczenie to może być miejscem spożywania wspólnych posiłków. Zamiast jadać w małych, prywatnych grupach rodzinnych czy przyjacielskich, te istoty najwyraźniej wolą wchłaniać swoje substancje spożywcze całkowicie publicznie. Cóż innego mogłoby tłumaczyć niemal nieustającą tam konsumpcję tych różnokolorowych płynów? Nie są to tylko napoje orzeźwiające, jakie my moglibyśmy podawać na którymś z naszych zebrań politycznych. Przeciwnie, najwyraźniej są one podstawowym składnikiem diety tego gatunku i, podobnie jak rośliny, które stanowią zasadnicze pożywienie mięczaków, są zatrważająco ubogie w proteiny, co zmusza poszczególne osobniki do konsumowania ogromnych ilości tych płynów w celu osiągnięcia odpowiedniego nasycenia. W nadziei, że nasi naukowcy będą w stanie otrzymać wysokoproteinowe odpowiedniki jednego lub kilku z nich, pobrałem dalsze próbki, wypełniając pojemniki 1030 do 1254. Z pewnością ich przyjemny smak, zmieniający się w zależności od płynu od nieco gorzkiego do lekko słodkiego, równie łatwo znajdzie zwolenników wśród naszego ludu, jak znalazł wśród tubylców. Ja oczywiście swoje posiłki uzupełniam syntetykami.

Czy muszę mówić, gdzie byliśmy? Kiedy nie znajdujemy się w klatce, to jesteśmy w słabo oświetlonym pomieszczeniu. Jeśli nawet osobnik, który nas schwytał chodzi gdziekolwiek indziej, to nie zabiera nas ze sobą. Muszę jednak wyznać, że ta sytuacja mi odpowiada, nawet jeżeli tak niewielka ruchliwość sprzeciwia się duchowi naszej ekspedycji. Wiem, że powinienem uciec z tego uwięzienia i kontynuować moje badania; powinienem zacząć wykorzystywać noc do szybkiego przenoszenia się z miejsca na miejsce, podczas dnia nadal udając nautiloida, a jednak stwierdziłem, że nie mogę odejść, gdyż to oznaczałoby pozostawienie mego towarzysza. Mego drogiego towarzysza.

Nigdy nie darzyłem takimi uczuciami żadnego innego mięczaka. Jesteśmy różnymi istotami, on i ja, różnimy się

Phyllis EISENSTEIN

Młoda autorka amerykańska, która od pierwszych swoich utworów zwróciła uwagę wydawców i czytelników. Żartobliwe, a jednak wcale nie błahe opowiadanie o kontakcie międzycywilizacyjnym stanowi dobrą próbkę jej talentu.

L.J.

rasą i intelektem, jednak mamy pokrewne dusze. Zacząłem go darzyć uczuciem nie tylko ze względu na piękne ukształtowanie jego muszli, na delikatność jego szypułek, na falujące mięśnie jego stopy, ale również z powodu czułego, łagodnego ciepła, które odbieram za każdym razem, gdy on dotyka moich czułków. Prawdę mówiąc, zdecydowałem – mimo że jest to przeciwne wszelkim przepisom i niewątpliwie ściągnie na mnie nieustające potępienie ze strony moich przełożonych, a być może nawet wydalenie ze Służby – zdecydowałem zabrać mego towarzysza na punkt kontaktowy, a potem na naszą rodzinną planetę. Wiem, że moja rodzina i przyjaciele mogą mieć pewne trudności z przyzwyczajeniem do moich stosunków z istotą tak różną od nich, ale ufam, że z czasem się z tym pogodzą i pojmą, że bliskość, zrozumienie i cicha wzajemna zależność, które są naszym udziałem rekompensują mi wszelkie uszczerbki, jakie mogła ponieść moja kariera.

Oczywiście nadal będę wysyłał raporty i zbierał próbki – tak długo, jak każde z tych działań będzie wydawało się konieczne. I będę miał nadzieję, że moi koledzy-badacze w swej pracowitości zapełnią lukę, którą ja muszę zostawić.

Znowu słabo oświetlone pomieszczenie. Pobrałem kilka dodatkowych próbek płynów. Być może po zwolnieniu ze Służby zostanę przedsiębiorcą i zrobię fortunę, wprowadzając te znakomite napoje w społecznościach mięczaków w całej galaktyce. Wtedy już nikt nie będzie szydził z byłego badacza, który poślubił cudzoziemca. Tak, zrobię fortunę.

Znowu słabo oświetlone pomieszczenie. Dodatkowe próbki. Różnorodność smaków jest oszałamiająca. Ośmielam się przewidywać, że odkrycie tych płynów może stać się najważniejszym osiągnięciem całej tej ekspedycji. Ośmielam się przewidywać, że to uczyni mego towarzysza i mnie sławnymi. Będziemy sławni, szczęśliwi i bogaci. Które z rzeczy, ofiarowywanych przez Służbę mogą się z tym równać? Żadne. Absolutnie żadne.

Stało się coś strasznego. Nie potrafię teraz o tym mówić. Coś strasznego.

To było tak nagłe, tak nieoczekiwane. Tak przerażające. Mój drogi towarzysz – nie mogę dłużej mówić. Więcej potem.

Czuwam przy ciele. Czuwam już od dwóch okresów ciemności. A może trzech. zastanawiam się czy według ich tradycji to wystarczy?

Byliśmy w słabo oświetlonym pomieszczeniu. Jak zwykle. Popijaliśmy z tej samej kałuży. W jednym momencie jego szypułki falowały radośnie, usta chłeptały chłodną ciecz, muskularna stopa falowała spokojnym rytmem, a w następnym leżał bezwładnie obok mnie. Trąciłem go łagodnie, ale się nie poruszył i wtedy już wiedziałem. Wiedziałem.

Minęło dużo czasu. Powiedziałem wam ile, ale zdaje się, że umocowałem chronometr w niewłaściwym miejscu. W każdym razie dużo. W końcu nasz opiekun zabrał nas obu i zaniósł z powrotem do klatki. Od tej pory już jej nie opuszczaliśmy. Przypuszczam, że nasz opiekun przygotowuje stos pogrzebowy. Zastanawiam się – czy pozwolą mi nań wskoczyć?

W końcu usnąłem, wyczerpany, a po przebudzeniu stwierdziłem, że ciało mojego drogiego towarzysza zniknęło. Sądzę, że osobnik, który mnie więzi, odprawił wszelkie wymagane przez ich tradycję obrzędy pogrzebowe. Żałuję jednak, że mnie nie obudził, abym w nich uczestniczył. Czy choćby tylko się poprzyglądał. Tylko to. Jeżeli już muszę nadal żyć, miałbym przynajmniej to ostatnie wspomnienie, które mógłbym na zawsze zachować.

A więc jestem sam. Klatka wydaje się za duża dla mnie jednego. Wody i roślinnego pożywienia jest pod dostatkiem. Gdyby mój towarzysz żył, wskazywałby mi co bardziej soczyste rośliny i dzielilibyśmy te porcje między siebie, bok przy boku, w milczącej jedności. Gdyby.

Stwierdzam, że, właśnie teraz, nie jestem zbyt szczęśliwy.

Znowu odwiedziliśmy słabo oświetlone pomieszczenie, mój opiekun i ja. Robimy to dość często. Miejsce, z którym wiąże się tak wiele pięknych wspomnień. Za każdym razem, gdy tam idziemy, nie mogę nie myśleć o moim drogim towarzyszu; czasem nawet zapominam się na chwilę i odwracam głowę, spodziewając się zobaczyć go, chłepczącego blady płyn z kałuży lub, być może, wspinającego się na ścianę pojemnika. Przez krótką chwilę szukam wzrokiem tych subtelnych szypułek, kołyszących się do mnie, tej delikatnej głowy, przesyłającej mi swe słodkie, znajome zaproszenie. A potem, nagle, przypominam sobie. I wtedy pragnę być z powrotem w klatce, nigdy już nie przychodzić w to miejsce, w którym nawiedza mnie tak wiele wspomnień. Ale oczywiście nie mam w tej sprawie nic do powiedzenia. Mój opiekun mnie zabiera.

Słabo oświetlone pomieszczenie.

Samotny na gładkiej płaszczyźnie, sączę płyny, które kiedyś konsumowaliśmy wspólnie. Nie wiem jak dałbym sobie radę bez tych płynów. Zdają się w jakiś sposób stępiać ostrze mego smutku. Ale nie zawsze. Nie zawsze.

Praca zajęłaby mi myśli. Wiem o tym. Jestem teraz w klatce; osobnika, który mnie więzi nie ma nigdzie w pobliżu; powinienem skorzystać z tej okazji, żeby uciec. I myślę, że uciekłbym, gdyby nie to, że zamek okazał się nieco bardziej wymyślny, niż początkowo przypuszczałem i zwykłymi manipulacjami nie byłem w stanie go otworzyć. Wysadziłbym go po prostu moim działkiem laserowym, ale najwyraźniej zapomniałem o jakimś podstawowym aspekcie posługiwania się tą bronią. A może potrzebne jest tylko jej dostrojenie. Wiem, że gdzieś tu powinienem mieć narzędzia. Gdzieś. Ale kiedy ich szukam, stwierdzam, że pojemniki wypełnione są tylko płynami. Z wyjątkiem tych, które są puste.

Być może po prostu potrzebny mi odpoczynek. Tak, odpocznę trochę. Więcej następnym razem.

Rozmyślałem. Mam dużo czasu na rozmyślania, samotny w mojej klatce. Albo w słabo oświetlonym pomieszczeniu. Niemal już nie zauważam panującego tam hałasu i mocnych zapachów. Jedyną dla mnie różnicę między tym pomieszczeniem a klatką stanowi fakt, że tam mogę dostać cudowne napoje, a w klatce jest tylko woda. W mojej pustej klatce.

Czy już wspomniałem, że rozmyślam? Tak musiałem już to powiedzieć. Tak. Rozmyślałem nad tym, że w tej planecie jest coś niezwykłego. Coś nieuchwytnego i zdradliwego, coś, co tłumi wyższe funkcje mózgu, co oddziaływuje na pamięć i zdrowy rozsądek, a nawet koordynację ruchów. Być może jest to jakiś śladowy składnik atmosfery. Możliwe, że działa tylko na mięczaki – tłumaczyłoby to fakt, że nie są one tutaj gatunkiem dominującym. A być może wpływa na każdą istotę na tej planecie. Wiem, że na mnie wpłynęło to bardzo poważnie. Tak. Mam ogromnie ograniczoną zdolność koordynacji ruchów. Nie mogę uchwycić nawet zamka tej klatki. Moje czułki nie trafiają lub ześlizgują się, i trzęsą się tak bardzo, że nie mogę znieść ich widoku. A mój umysł – skupienie uwagi na czymkolwiek stało się dla mnie ogromnym wysiłkiem. Przez większość czasu jestem oszołomiony.

Mogę tylko mieć nadzieję, że moje ostrzeżenie dotrze dostatecznie wcześnie, żeby uratować moich kolegów-badaczy. Natychmiast wezwijcie wszystkich na punkty kontaktowe. Przedmuchajcie im skrzela naszym czystym powietrzem. Wpływ tej planety może być odwracalny. Może jeszcze nie jest za późno. Teraz już wiem, że nie będę w stanie wrócić na punkt kontaktowy. Nie potrafię uciec z klatki, a nie będę narażał na szwank naszej misji, uciekając, na oczach przedstawicieli dominującego gatunku, w jakiś skuteczny, ale nienaturalny dla tubylców sposób. I tak nie jestem pewien czy potrafiłbym tego dokonać; nie mogę sobie przypomnieć jak wyłączyć piąty bieg.

Jednak wszyscy, czyż nie?, podczas tej ekspedycji zdawaliśmy sobie sprawę, że jako jednostki się nie liczymy i możemy być poświęceni.

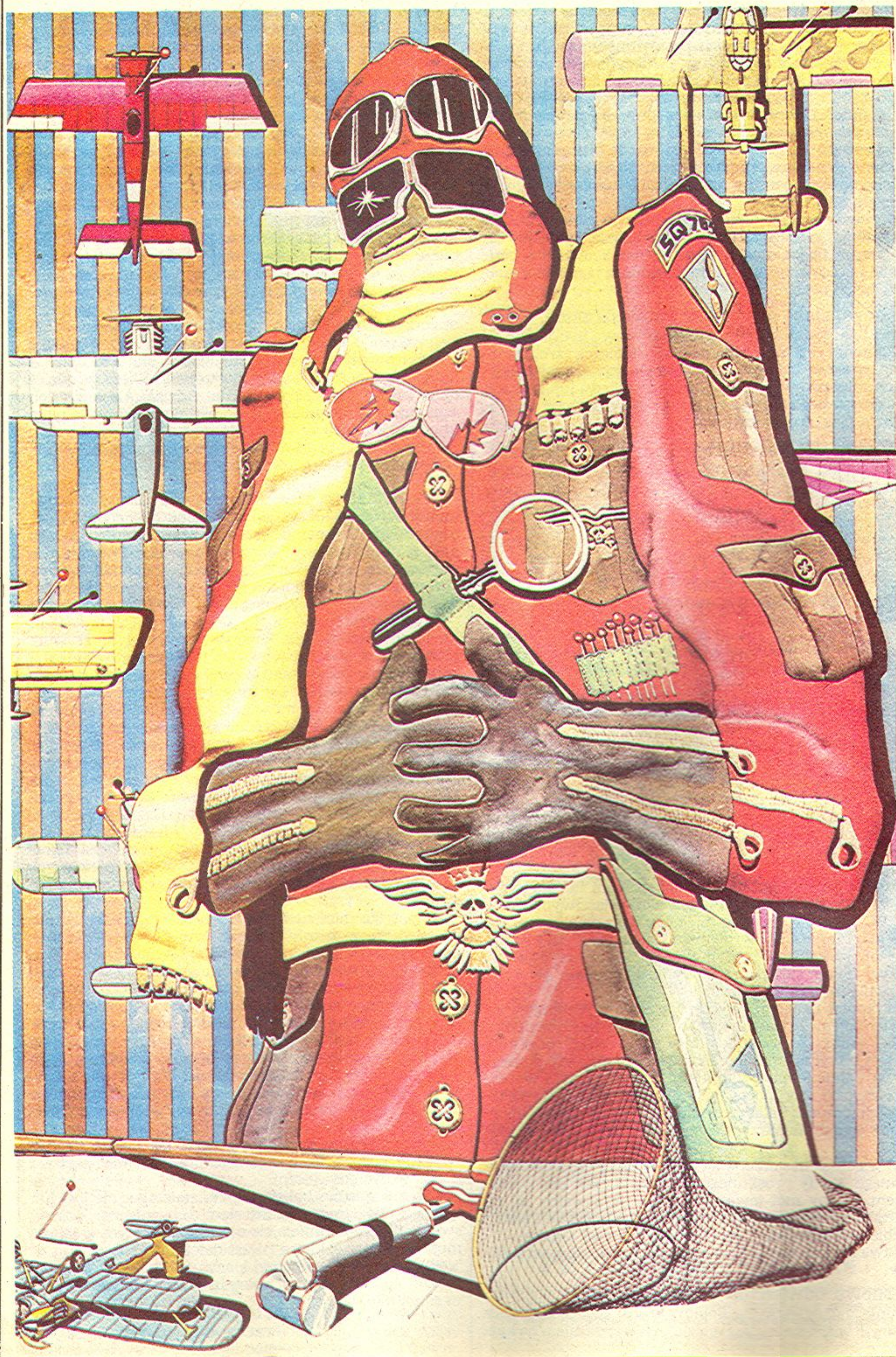
A więc żegnajcie, koledzy, i pamiętajcie o mnie, gdy już będziecie w domu, zadowoleni i bezpieczni pośród swych bliskich. Pamiętajcie o mnie, siedzącym w tej samotnej, samotnej klatce gdzieś daleko.

W tej samotnej, samotnej klatce.

Mam nadzieję, że mój opiekun przyniesie wkrótce innego nautiloida.

Przełożył **Jarosław J. Toruń**

Piotr Łopalewski



W lipcu, w wieku 54 lat, zmarł Dmitrij Bilenkin.

Oszedł utalentowany pisarz-fantasta, obdarzony zmysłem obserwacji, wielką wrażliwością, poczuciem humoru – jeden z twórców, który przyczynił się do rozkwitu radzieckiej fantastyki w latach sześćdziesiątych – a jednocześnie sympatyk polskiej fantastyki, przyjaciel naszego pisma.

Wiedzieliśmy o Jego ciężkiej chorobie serca, o przebytych zawałach, ale wiedzieliśmy również, że działa, tworzy, pracuje z młodym pokoleniem radzieckich fantastów. 29 maja Dmitrij Bilenkin prowadził spotkanie z okazji jubileuszu sześćdziesięciolecia Georgija Gurewicza. Przekazaliśmy mu wtedy zaproszenie na tegoroczny POLCON i do naszej redakcji. Powiedział, że chciałby ponownie do nas przyjechać, ale nie wie, czy mu zdrowie pozwoli...

Dmitrij Bilenkin był z wykształcenia geologiem-geochemikiem. Przez wiele lat pracował jako dziennikarz, opublikował wiele tekstów popularnonaukowych. W 1958 roku wydrukował swoje pierwsze opowiadania fantastyczno-naukowe i od tej pory Jego nazwisko na trwałe związało się z obrazem radzieckiej fantastyki. Był między innymi autorem tomików SF: „Marsjanskij priboj", „Nocz kontrabandoj", „Prowierka na razumnost'", „Lico w tołpie", „Siła silnych". Jego twórczość to najczęściej „przygody myśli", „dramaty idei" – etycznej, psychologicznej i socjologicznej – osadzone w tradycyjnie rozumianej, atrakcyjnej fabule.

Jego opowiadania i nowele tłumaczone były na wiele języków obcych, m.in. wybór Jego opowiadań ukazał się w Stanach Zjednoczonych. Polscy czytelnicy znają utwory Bilenkina z „Problemów", „Kroków w nieznane" i „Stało się jutro", z serii zeszytowej „Iskier". Również „Fantastyka" opublikowała Jego opowiadania: „Wybacz odchodzącym" (nr 11/84) oraz „Remont elektronów" (1/86).



W czasie ostatniej z Nim rozmowy nie chciał już mówić o swoich planach twórczych. Może przeczuwał, że nie zdoła już ich zrealizować. Zachowajmy Go w pamięci.

Redakcja

Dmitrij Bilenkin

WIĘZY BÓLU

(Uzy boli)

Nie rzucające się w oczy drzwi cicho wypuściły człowieka w ciemność opadającej łagodnie uliczki. Na jej przeciwległej stronie, trochę bardziej na lewo i w dół, świeciły się okna umieszczonej w półsuterynie knajpy. Dobiegały stamtąd apetyczne zapachy sosów, przez stłumiony gwar słychać było pobrzekiwanie szklanek. Przez ukośne smugi światła przebiegł kot; z mroku bacznie popatrzyły na człowieka jego fosforyzujące oczy.

Człowiek odczekał chwilę i ruszył w dół ulicy, mijając knajpę. Gdzieś za glinianymi ścianami leniwie zaszczekał pies. Szczekanie podchwyciły inne psy i ich niezgrany chór długo jeszcze towarzyszył przechodniowi. Wysoko, wśród cyprysów płynął blady, wąski sierp księżyca.

Na skrzyżowaniu człowiek skręcił w stronę śródmieścia i po pół godzinie znalazł się w tej części miasta, gdzie pomiędzy ciągnącymi się po obu stronach alei wspaniałymi wystawami widniały ponure fasady rządowych gmachów i banków. W tym właśnie miejscu, widziany przez licznych przechodniów, w zdradzieckim świetle lamp i jaskrawych rozbłyskach reklam człowiek zaczął dziwnie się zachowywać. Zatrzymał się przy oblepionym afiszami stendzie, wyjął z zanadrza arkusik papieru z niewyraźnym tekstem i zręcznie posługując się klejącą taśmą przykleił go na obnażonej piersi artystki. Kiedy to zrobił, włożył ręce do kieszeni i postał przez chwilę, jakby oceniając wykonaną pracę. W czasie, kiedy przyklejał papier i potem oglądał go, minęło go pięć osób i dwoje z nich, najwyraźniej podejrzewając, że święci się tu coś niedobrego, przyspieszyło kroku. Nikt jednak nie zatrzymał naklejającego człowieka, nikt nie powiedział doń ani słowa, zupełnie jakby nic się nie działo.

Za następną przecznicą wszystko się powtórzyło. Nie opodal szeptała fontanna, policjant na rogu dyrygował stadem parskających samochodów, po asfalcie stukały damskie obcasy kobiet, na ławeczkach, za ścianą żywopłotu rozbłyskiwały ogniki papierosów, ale człowiek wykonywał swoje czynności tak, jakby sądził, że jest niewidzialny.

Przy ogrodzeniu parku dogoniły mężczyznę szybkie kroki. Minęła go kobieta otoczona zapachem perfum i pudru, mignęła jej napięta, z czarnymi jamami wymalowanych warg twarz i usłyszał urywany szept: „Pełno tu szpiclów, idioto!" Uśmiechnął się z wdzięcznością. Kobieta szybko odchodziła od niego z wymęczoną rutyną kołysząc biodrami. Jej jasna bluzka wkrótce rozpłynęła się w dali.

Miasto było jego sojusznikiem, wiedział o tym już wcześniej. Mimo wszystko jednak przyjemnie było usłyszeć ostrzeżenie. Nawet jeżeli ostrzegała go prostytutka. Szczególnie, jeżeli ostrzegała go prostytutka.

Ale wśród przechodniów, wśród zaciągających się papierosami mężczyzn i szczebioczących melodyjnie dziewcząt, kryli się, rzecz jasna i wrogowie. Czyjeś uważne spojrzenie prędzej czy później przylgnie do niego. Prędzej czy później. Żeby już prędzej się to stało...

Przykleił jeszcze trzy ulotki, ale nic się nie zdarzyło. Czy to noc, czy zuchwalstwo osłaniały go swoim płaszczem? Upał, jaki panował w dzień, dawno już minął, ale on był cały mokry od potu. Papieros nie przyniósł ulgi. Zgrzytający tramwaj strzelił na zakręcie snopem iskier. Człowieka ogarnęło szaleńcze pragnienie, by wskoczyć na stopień i odjechać w przezroczystym, pełnym ludzi wnętrzu wagonu gdzieś, byle dalej od wspaniałych świateł śródmieścia. Gdzieś, do portu, gdzie pluska pokryta olejami woda i gdzie wśród sągów drzewa, na suchym, słonym piasku mrok nocy jest gęsty jak zapomnienie.

Przecież, ostatecznie nie jest żadnym bohaterem. Jest po prostu człowiekiem, który wie, że tak trzeba i boi się. Żył tak krótko!

Kiosk ze świecącym napisem „Napoje" przyciągnął jego uwagę. Musi się napić, któż może wiedzieć, co będzie potem. Obojętny sprzedawca o błyszczącej tłusto twarzy odliczył resztę za trzy szklanki. Miedziaki były mokre i przyjemnie chłodziły gorącą dłoń.

Kolejną ulotkę bezczelnie przykleił u wejścia do gmachu poczty. Ludzi w tym miejscu było dużo i natychmiast poczuł jak fala strachu zmywa stamtąd grupkę osób.

Jak wygląda ten wyczekiwany zdrajca? Czy jest młody, czy stary? Czy to pieniądze zatruły jego serce, zawiść, strach, fanatyczna głupota? A może jego postępkami kieruje rutyna służbisty? Zapewne nigdy go nie zobaczy. Ich drogi skrzyżują się w stratosferycznym mroku, rozejdą się niepostrzeżenie i nie rozpozna go w świetle dnia, tak jak nie sposób rozpoznać pocisk, ukryty w niewinnym kawałku ołowianej rudy. Ale na razie panował spokój. Wydawać się mogło, że nie zasypiające nigdy oko tajnej policji oślepło.

Zapewne jutro po mieście rozpełzną się pogłoski: Wszyscy mogli to widzieć... Dwa kroki od policji... Tak, tak, ulotki! Nie bez kozery ośmielili się... A więc, coś się zaczyna dziać... A więc... Psst!

No cóż, dobre i to. Ale najwyższy już czas na rozstrzygnięcie. Jak długo można czekać na nieuniknione, dręczyć się nadzieją, którą on sam powinien był wykluczyć?

Kolejnej ulotki już nie zdążył nakleić. Nagle, przysłaniając sobą cały świat, z ciemności wyskoczył samochód. Zatrzymał się przy krawężniku jak wmurowany. Promień reflektora rozpiął go jak na krzyżu, z uniesionymi rękami, w których trzymał przyszykowaną do naklejenia kartkę!

Gdy go schwycili, szarpnął się. Cios pałki był szybki i celny. Dwa okrzyki zlały się w jeden. Tajniak wypuścił pałkę i schwyciwszy się za głowę upadł na chodnik.

Nikt niczego nie zrozumiał, ale reakcja na powstałe zamieszanie była błyskawiczna. Nowy cios zadano pięścią i to z taką siłą, że zatrzymanemu pociemniało w oczach. Ale ten, który zadał cios, również zwinął się z bólu.

Wszystko splątało się w jęczący kłąb.

O wydarzeniach tych nie zameldowano dowództwu ze względu na ich całkowitą bezsensowność oraz dezorientację uczestników operacji. Dostarczyli ogłuszonego przestępcę do celi, ale sami byli ogłuszeni w nie mniejszym stopniu. Doszli do siebie całkowicie dopiero w barze, przy kieliszku. Lecz ich próby ustalenia co i jak wprowadziły taki galimatias, że by odzyskać równowagę ducha zmuszeni byli zamówić nową butelkę.

Jeden z poszkodowanych tajniaków zapewniał, że zatrzymany przyładował mu iskrą elektryczną, która wyleciała mu prosto z oczu. Drugi zaklinał się na wszystko, że widział unoszącego się człowieka z pałką – człowiek i pałka byli na wpół przezroczyści, ale uderzenia były celne. Trzeci oznajmił, że niczego takiego nie zauważył, ale na pewno były to jakieś diabelskie sztuczki – faktem jest, że obaj jego przyjaciele, po tym jak przyłożyli przestępcy, ni z gruszki ni z pietruszki polecieli na asfalt i musiał zaciągnąć ich do samochodu. „Aleście się nabuzowali" – pokiwał głową siedzący obok inny tajniak. Wszyscy trzej straszliwie się oburzyli i zaczęli wyjaśniać mu całą rzecz od początku. Ponieważ wypili już wystarczająco dużo, to zaczęli gadać takie bzdury, w które już nikt nie uwierzył. Mimo to jednak po komendzie szybko rozpełzał się złowieszczy słuch o widmie z elektrycznymi oczyma.

Sprawca zamieszania został tymczasem dostarczony do dyżurnego śledczego, który poziewając siedział nad papierzyskami. Strażnik – opięte w mundur, jak zwykle spocone cielsko – siedział naprzeciwko. ZZa drzwi dobiegał trzask maszyny do pisania. Potem ucichł nagle i zapadła taka cisza, jakby cały budynek przeniósł się w jakiś inny, pozagrobowy wymiar.

Śledczy oderwał się wreszcie od papierów, zapalił papierosa i wydmuchnąwszy dym w kierunku sufitu, spojrzał na aresztowanego. Śledczy miał około pięćdziesiątki i w jego spojrzeniu malowało się mniej więcej tyle samo zainteresowania ofiarą, co w jego ślubnej obrączce na palcu.

– Imię, nazwisko?

Strażnik, kołysząc nogą, przyglądał się z upodobaniem odblaskom światła na czubku buta.

Aresztowany milczał.

– Możemy pomóc stać się rozmownym. Możemy pomóc... Imię?

– Roukar.

– Wszystko, wszystko...

– Wystarczy.

Śledczy nic nie odpowiedział i ziewnął powoli. W przymrużonych oczach błysnęły białka.

– Nie strugajcie tu z siebie... – Jeszcze raz ziewnął i poruszał palcami. – Powtarzam...

– Usiądę, jeśli pan pozwoli.

– I tak już siedzicie. U nas. A więc nie radzę...

Roukar podszedł do krzesła. Wyraz twarzy śledczego nie uległ zmianie, ale strażnik był czujny – leniwie wstał, bez pośpiechu schwycił Roukara za kołnierz, uśmiechnął się krzywo...

– Idioto, poparzysz się! – zawołał Roukar blednąc.

Strażnik przyglądał się mu jak przedmiotowi. Wybierał miejsce, w które uderzyć, a kiedy wybrał, zadał błyskawiczny cios w usta, który w komendzie nazywano „zakąską".

Jakby wybuchła między nimi bomba. Odlecieli od siebie z jednakowym krzykiem, z jednakowo wykrzywionymi twarzami i tylko po podbródku strażnika nie płynęła krew.

– Co się dzieje, sierżancie? – W głosie śledczego zgrzytnął jakiś trybik. – Jeżeli zwichnęliście paluszek, to po pierwsze, nie ma się czym chwalić, a po drugie...

– Posłuchaj, durniu! – odezwał się ostrym tonem Roukar. – I tak usiądę, a wy możecie spróbować mnie ruszyć, możecie spróbować, jeżeli nie żal wam waszej skóry!

Usiadł, patrząc wyzywająco na śledczego. Ten mrugnął lekko.

– No, sierżancie...

Mógł tego nie mówić. Purpurowy z wściekłości sierżant już podchodził do Roukara. Mignęła ciężka jak z ołowiu pięść.

Krzesło wraz z Roukarem wyrżnęło w ścianę i rozleciało się. Natomiast strażnika obróciło o sto osiemdziesiąt stopni. Przez chwilę stał z wytrzeszczonymi oczyma, a potem z głuchym jękiem złożył się w pół i runął, przewracając stół. Ale wszystkie dźwięki zagłuszył wrzask śledczego – oszalały, przeraźliwy wrzask przerażenia i bólu.

Pułkownik, pod którego dowództwem znajdowała się tajna policja lubił pracować nocami. O tej porze świat jest bardziej spokojny niż w dzień. Nie ma szaleńczego natłoku barw, dźwięków, ruchu, mrok niesie wraz ze sobą porządek, wszystko, co niepotrzebne śpi, światło lamp jest surowe i niezawodne, ponieważ całkowicie uzależnione jest od woli człowieka.

Kiedy wreszcie zameldowano pułkownikowi o tym co się stało, nie uwierzył, ale się zainteresował. Doprowadzony do histerii śledczy, który jak wiadomo odznaczał się wrażliwością betoniarki – taka historia zasługiwała na uwagę. Każde naruszenie porządku było wyzwaniem tych sił, z którymi pułkownik walczył bez ustanku, jak budowniczy tamy walczy z każdym przeciekiem pojawiającym się w jego dziele. Była to nie kończąca się nigdy, ale niezbędna praca, która już dawno stała się fundamentem egzystencji pułkownika i czynnikiem cementującym jego całą władzę.

Aresztowanego doprowadzono do gabinetu. Pułkownik obrzucił go spojrzeniem i poczuł coś w rodzaju rozczarowania. Blada, porozbijana pięściami twarz dwudziestolatka, rozszerzone, pełne napięcia źrenice, widoczna w nich mroczna nienawiść – wszystko to było do tego stopnia znane, że pułkownik z góry wiedział, jakie z setki razy słyszanych słów będą wypowiedziane, jakim tonem i kiedy. Romantyk, zidentyfikował natychmiast. Powariowali, czy co... – pomyślał, zapalając bez pośpiechu cygaro.

– Siadaj – skinął aresztowanemu głową.

Roukara popchnięto na fotel, który miękko przyjął go w swoje objęcia. Fotel, jak wszystko zresztą w gabinecie, odgrywał swoją rolę, choć pukownik niczego tu nie wymyślał, wszystko było wynikiem przez wieki gromadzonego doświadczenia. Rozmówca tonął w miękkim i niskim fotelu, natomiast biurko górowało nad nim jak postument, czyniąc postać gospodarza szczególnie majestatyczną. Wrażenie to potęgowały jeszcze mundur pułkownika, złoto jego epoletów, bateria telefonów koło łokcia, całe wyposażenie wnętrza, w którym każdy przedmiot, choćby biblioteczna szafa z rzędami masywnych tomów ze złoconymi grzbietami lub dębowe framugi drzwi, wyglądały solidnie, trwale i oficjalnie.

Pułkownik nie spieszył się, bowiem doskonale znał miażdżący ciężar oczekiwania. Ten człowieczek u podnóża jego biurka sam z siebie nie budził w nim zaciekawienia. Natomiast bezsensowne okoliczności, z którymi był związany, owszem. Ale nie on sam. Żaden z pracowników tajnej policji nie mógłby owocnie pracować, gdyby w swojej ofierze widział jednostkę ludzką. Nawet nienawiść była tu przeszkodą. Pułkownik, podobnie jak jego podwładni, robił swoje, pracował z żywym materiałem i emocje były tu równie nie na miejscu jak przy gwintowaniu nakrętek, czy przy układaniu cegieł.

– Cóż za oklepane metody! – odezwał się nagle aresztowany. – Sprzykrzyła mi się już wasza tępota i żeby jak najszybciej zrozumiał pan sytuację, proszę, oto moja ręka. Niech pan ją dotknie końcem cygara.

Jego gest, wydawało się, nie został zauważony. Pułkownik w milczeniu, nie zmieniając wyrazu twarzy patrzył na Roukara. Płynęły długie sekundy milczenia. Wreszcie stało się to, co powinno się było stać – palce aresztowanego zaczęły lekko dygotać.

Wtedy pułkownik przysunął do rozwartej dłoni cygaro. Wycelował bez pośpiechu – i nagle strząsnął popiół na rękę Roukara.

Ręka drgnęła. Pułkownik roześmiał się leniwie widząc, jak wykrzywiła się twarz więźnia.

– Otóż to – powiedział spokojnie. – A teraz jeszcze jedna maleńka lekcja.

Dał znak. Dwóch przypominających posągi strażników zrobiło krok w stronę fotela, jednakowo szczęknąwszy czymś metalowym.

– Będziemy rozmawiać normalnie, czy inaczej?

– Nie – odpowiedź była ledwo słyszalna. – Nie będziemy.

Ręce strażników spotkały się na potylicy Roukara.

Krzyknęli wszyscy czterej. Cztery pobladłe twarze spoglądały na siebie, ale na jednej z nich, oprócz bólu, malował się tryumf.

Pierwszy przyszedł do siebie pułkownik.

– Won... Strażnicy – won!

Krótkie zamieszanie; strażnicy, którzy utracili swój posągowy wygląd, nierówno wykonali w tył zwrot i gabinet opustoszał.

– Rozsądnie – powiedział aresztowany. – Po cóż zbyteczni świadkowie bezradności przełożonych?

Pułkownik wyszarpnął pistolet z szuflady biurka.

– Porozmawiamy – powiedział z pogróżką w głosie.

– Jeżeli zechcę – dodał aresztowany.

– Zastrzelę pana!

– A czy pan nie pomyślał, pułkowniku, że to jeszcze bardziej niebezpieczne niż przemoc?

Pułkownik gwałtownie zaciągnął się dymem cygara. Jego spojrzenie błądziło po twarzy przeciwnika. Teraz dostrzegał w aresztowanym godnego partnera, osobowość, którą należało rozszyfrować.

– Cygaro? – zaproponował nieoczekiwanie.

– Nic. Im prędzej się rozstaniemy, tym lepiej dla nas obu.

Pułkownik skinął głową.

– Jestem realistą – powiedział przyciszonym głosem. – Sytuacja uległa zmianie, to dla mnie oczywiste. A co z tego wynika?

– To już lepiej – rzekł Roukar. – A więc, na początek niewielki wykład...

Przyjrzał się pomieszczeniu i na ile pozwalały mu rozbite wargi i napięte nerwy, uśmiechnął się.

– Wykład w tajnej policji... Zabawne! No dobrze. Proszę dobrze to zapamiętać. Każde działanie – fizyczne czy też umysłowe – poprzedza odpowiedni impuls nerwowy. Akt przemocy również. Organizm generuje drgania elektromagnetyczne... Coś w rodzaju bezdźwięcznego krzyku, czy to zrozumiałe? Metody, jaką to osiągnęliśmy, nie musi pan znać. Ale jej sens zawiera się w następującym. Mój organizm nastrojony jest w taki sposób, że odbiera on obcy impuls przemocy. Przy tym, systemy nerwowe kata i ofiary łączą się ze sobą jak żarówki w sieci elektrycznej. Jeżeli w ślad za impulsem nie nastąpi działanie, nic się nie stanie, podobnie jak nie zapalą się żaróweczki, jeżeli nie włączymy elektryczności. Ale jakże szybko po myślowym rozkazie następuje cios... Moje ciało przeszywa ból i dokładnie taki sam ból przeszywa wasze! I nie ma znaczenia, co stało się przyczyną bólu – pańska pięść, czy but pańskiego podwładnego. Kat i ofiara skuci są jednym łańcuchem tak silnie, że teoretycznie wszyscy powinni czuć to samo. Praktycznie jednak wspólny staje się tylko ból, ponieważ on jest najsilniejszym impulsem. Jakże tak, pyta pan. Aresztowanego złomotali, boli go całe ciało, ja natomiast tego nie czuję, choć powinienem, jeżeli to co słyszałem jest prawdą. Sekret jest prosty – mogę osłabiać lub wzmacniać powstałą między nami łączność. Teraz ją wzmacniam. No i co?

Twarz pułkownika wykrzywiła się boleśnie. Na jego czoło wystąpiły kropelki potu, dłoń zacisnęła się mimowolnie. Przez parę chwil szef tajnej policji i aresztowany patrzyli w swe zaćmione bólem źrenice.

– Trzecia zasada dynamiki Newtona – tryumfalnie oznajmił Roukar. – Każdemu działaniu towarzyszy równe, lecz wprost przeciwne oddziaływanie. Teraz zasada ta będzie działać między ludźmi w równie jawny sposób, jak w fizyce! Kiedyż do tej pory ofiara mogła odpłacić katu tą samą miarą, na męczarnię męczarnią? Cierpi pan... Dość, z przemocą już koniec!

– Władza nie istnieje bez przemocy – pułkownik rozchylił zbielałe wargi. – Niszcząc władzę, niszczy pan prawo, porządek, samo społeczeństwo...

– Pańskie społeczeństwo! – Dźwięcznym głosem zawołał Roukar. – Pan... pan jest po prostu gangsterem, który dorwał się do władzy... I ma pan czelność mówić o prawie?

Roukar westchnął. Poczuł, jak w piersi zakołysał się znajomy ciężar wszytego w konspiracyjnym laboratorium impulsatora, który odbierał, sortował, wzmacniał i przesyłał z powrotem sygnały swojej i obcej tkanki nerwowej. Pułkownik nie powinien o nim wiedzieć, w przeciwnym bowiem razie natychmiast wypatroszono by go pod narkozą. Co innego jutro, kiedy całe to plugastwo przepadnie. Wtedy nie obawiając się rewizji, każdy będzie mógł nosić impulsator po prostu w kieszeni i już nikt nie ośmieli się sprawiać nikomu bólu. Nastąpi koniec przemocy. Raz i na zawsze!

– Ma pan możliwość wyboru – Roukar odwrócił się do pułkownika. – Albo pan i cała ta pańska szajka łupieżców i tępaków natychmiast umknie wraz ze swoimi walizami, albo ruszą na was moi, tak samo uzbrojeni towarzysze. Wtedy ból, który sprawiacie nam stawiając opór, zabije was samych! Jesteśmy przeciwnikami zbytecznych ofiar, chociaż jesteśmy też gotowi oddać życie za wolność. Ostrzegłem pana – wynoście się!

Pełen zapał głos Roukara umilkł. W odpowiedzi zapadła cisza. Twarz pułkownika, którego wola napełniała przerażeniem cały kraj, zastygła jak woskowa maska. Paląca, nie do wytrzymania ciekawość przemogła w Roukarze ból, zdenerwowanie, śmiertelne zmęczenie. Przemoc istnieje tak dawno, jak istnieje świat. Jakie będzie jej ostatnie słowo?

Roukar nawet uwolnił pułkownika od bólu. Ten jednak opadł jak worek w fotel i wciąż milczał jak przedmiot, który zapomniano wynieść z gabinetu. Zupełnie jakby nie miał pod ręką guzików, za pomocą których mógł w mgnieniu oka wprawić w ruch swoich zbójów, lotnictwo i czołgi.

A więc to tak, z tryumfem ale i rozczarowaniem pomyślał Roukar. Zwyczajny, bezmózgi dinozaur w pułapce...

– Daję trzy minuty do namysłu – powiedział z obrzydzeniem i znowu odwrócił się w stronę okna.

Płynął już stamtąd odświeżający chłód, za potężnymi bryłami budynków rozpalał się świt. W parku ogłuszająco śpiewały ptaki. Miasto spało, nie przeczuwając nawet, co się dzieje, nie widząc chudego, wymęczonego, pobitego chłopaka, który w tej chwili słyszał szelest nowej, już uchylonej karty historii.

Ale pułkownik jak bokser, który zbiera siły po nokaucie, w tym samym czasie szybko i beznamiętnie analizował swój plan działania. Ten nawiedzony romantyk już go nie interesował. Pułkownik od razu spostrzegł największe grożące mu niebezpieczeństwo. Kryło się ono nie w groźbie spętania jego poczynań łańcuchem cierpienia i śmierci, bowiem efekt każdego działania (wiedział o tym bez uczonych) ulega osłabieniu wraz ze wzrostem odległości (wniosek – należy dowodzić akcją z dystansu, przy czym nie ma potrzeby informować o tym pozostałych współrządzących. Pojawia się kusząca sposobność usunąć konkurentów cudzymi rękami). Główne niebezpieczeństwo kryło się również nie w tym, że na ulice wyjdzie tak niezwykle uzbrojona (przeklęta nauka!) grupka geniuszy o umysłowości dziecka. Cokolwiek by się nie krzyczało o wzajemnych słabych punktach, człowiek przede wszystkim wierzy swojemu własnemu doświadczeniu i w związku z tym, żołnierze skoszą buntowników najpierw, zanim padną sami, a ci zaś, którzy ocaleją, zanim zdołają się połapać. Naprawdę straszliwą rzeczą była detonacja. Wystąpienie tych przemądrzałych niemowlaków, dziwna śmierć żołnierzy, wieść o fatalnej wrażliwości tych, którzy karząc zadają ból – wszystko to razem wzięte, a także po prostu sam fakt ofiarniczej odwagi romantyków – tych z siwizną i tych bez – bez trudu mógł się stać zapalnikiem ukrytego niezadowolenia. A kiedy powstają masy, sprawa zawsze przybiera zły obrót.

Nie ma bardziej naiwnych i niebezpiecznych ludzi, niż bezinteresowni, pozbawieni życiowego sprytu fanatycy idei! – pomyślał z rozdrażnieniem pułkownik. Natychmiast jednak opanował rozpraszające go emocje. I błyskawicznie przemyślał przydatność usypiających bez bólu pocisków i gazu, rozważył, jak szybko zdoła uzbroić w nie tych, kogo trzeba. Gdy dokonał obliczeń, w tej samej chwili nacisnął guzik i zerknął na zegarek. Z danych mu do namysłu minut minęły tylko dwie. Do rozpoczęcia jego własnych działań pozostało kilkadziesiąt sekund i pułkownik pobieżnie przeanalizował rysujące się przed nim dalsze perspektywy – należy bezzwłocznie uzupełnić etaty takimi, którzy lubią jednocześnie zadawać i odczuwać ból... A poza tym, czyż środki przymusu ograniczają się jedynie do przymusu fizycznego?

Nie, cokolwiek wykombinowali ci uczeni, jego przyszłość jako władcy zależała nie od nich.

Roukar nie zauważył ruchu ręki pułkownika. W jego umęczonym umyśle wyraziście malowały się obrazy bliskiej już przyszłości, kiedy sukcesy neurotechniki połączą ludzi więzami tak ścisłej wspólnoty, że każdy z premedytacją zadany ból, jak bumerang powracając do sprawcy, zmusi, by wszyscy troszczyli się o szczęście każdego. Na twarz Roukara padł pierwszy promień wschodzącego słońca, on zaś, wznosząc skute kajdankami ręce, gotów był z radosnym uniesieniem objąć cały, oczyszczony światłem świat.

Przełożył **Sławomir Kędzierski**

Dmitrij Bilenkin

CZY ISTNIEJE CZŁOWIEK?

(Suszczestwujet li czełowiek?)

Bierzecie państwo najzwyczajniejszy drut, wsuwacie go pomiędzy bieguny magnesu i bez żadnych cudów otrzymujecie elektryczność. Składacie rozmaite cewki, oporniki, tranzystory i cały ten chłam, odchrząknąwszy, nagle informuje was o przebiegu kampanii siewnej, albo o opadach w ciągu najbliższej doby. W czasie pełni księżyca włączacie obok spektrometru mas generator wysokich częstotliwości i...

Przed Sanią, przewracając taboret, pojawił się diabeł. Jego oczy płonęły gniewem, rozdwojony koniec ogona kołysał się ze świstem, a lewo kopyto nerwowo stukało o pokrytą kafelkami podłogę.

– B-b-bydlę! – telepatycznie oznajmił diabeł.

Sania osłupiał nieco i chcąc sprawdzić stan swego umysłu spróbował przypomnieć sobie przekształcenie Lorentza. Udało mu się, ale diabeł nie zniknął.

– Co? – z zakłopotaniem zapytał Sania.

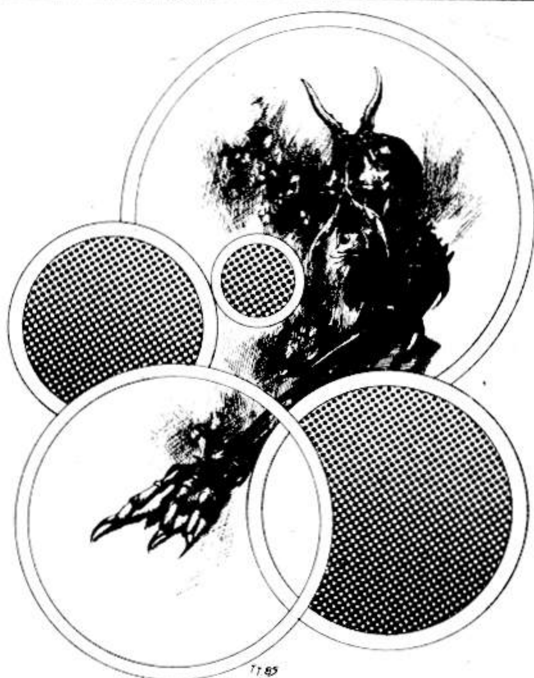
– Bydlę – z jakby mniejszą pewnością siebie powtórzył diabeł.

– Załóżmy, że wymyślać to i ja potrafię – cofając się za taboret ostrożnie zaprotestował Sania. – Co pana tu sprowadza?

– Dusza...

– Bzdura – szybko odparł Sania. – Żadnej duszy nie ma.

– Cooo? – diabeł aż się zachłysnął z oburzenia. – Duszy... nie ma?



Tomasz Tomaszewski

– Oczywiście.

– Cóż za bezczelność! Cóż za niesłychana obłuda... Oczywiście, że nie ma! Ale inni choć udawali, że jest!

– Nie odpowiadam za średniowiecze.

Diabeł zrobił się liliowy i napęczniał jak bańka mydlana. Zapachniało czymś nie z tej ziemi. Sania na wszelki wypadek schwycił ze stołu solidny tom.

– Biblia? – zapytał podejrzliwie diabeł.

– „Wprowadzenie do mechaniki subkwantowej"! A bo co?

– I działa?

– Jeszcze jak! Nie gorzej niż cegła.

– Jak pan sobie życzy, ale kara będzie niechybna. Siły piekielne...

– Bardzo proszę, tylko bez demagogii. Lepiej wyjaśnijmy sobie wszystko. Czego pan ode mnie chce?

– Ja? To pan chce!

– Oczywiście, oczywiście. Wdarł się tu pan nieproszony, zaprzepaścił doświadczenie, wymyśla pan – i to wszystko jest mi, w rzeczy samej, niezbędnie potrzebne.

– Ale przecież pan mnie porwał!

– Przepraszam, pan sam się tu zjawił.

– Ach, więc to tak! Sam się zjawiłem... Najgorszemu wrogowi bym nie życzył tak się zjawić. Hipokryci przeklęci... A ja, dureń, nie wierzyłem. – Przykrył pysk szponiastą łapą i ciągnął dalej, kołysząc się w tył i w przód. – Uważałem to za ciemnotę, przesąd, którym się straszy dzieci... Wpaść w człowiecze łapy! Nie sen, nie mara, nie wymysł – oto i on, wróg rodu diabelskiego...

Na kafelki upadła i zapłonęła ognista łza.

Sańce okulary powędrowały na czoło.

– Nie zjawił się pan tu w celu nawiązania kontaktu?! – palnął ni w pięć ni w dziewięć.

– Jestem diabłem – odparł diabeł pochlipując. – Pańskim, niech pan będzie przeklęty, więźniem.

Sania drżącą ręką dotknął swoją głowę. Okazało się, że głowa jest na swoim miejscu.

– Proszę posłuchać... e... mister diabeł! To jakieś nieporozumienie... To pan jest przesądem! To wami straszono dzieci! To pana uważano za wroga rodzaju ludzkiego!

– Tak, jestem waszym wrogiem. – Diabeł niespodziewanie wyprostował się i z jego oczu strzeliła błyskawica. – Teraz i po wieki wieków.

– Oj – rzekł Sania. – Proszę tu nie udawać butelki lejdejskiej. Zastanówmy się spokojnie. O ile dobrze zrozumiałem, wy, diabły, uważacie, że my, ludzie, porywamy was... Skąd, jeśli wolno spytać?

– Z piekła. Z naszej miłej, przytulnej planety, która...

– Wspaniale! Sam fakt pańskiego pojawienia się tutaj świadczy, że w tych bałamuctwach jest racjonalne jądro. Proszę powiedzieć, czy wy nigdy nie porywaliście ludzi?

– Nigdy. Jesteśmy pokojowo...

– Dobrze, dobrze. Zarysowuje się robocza hipoteza. Przepraszam, kim pan jest z zawodu?

– Księgowym.

– Nno tak, to może utrudnić porozumienie... Mimo wszystko, spróbujemy. Hipoteza brzmi jak następuje. Z pańskiej planety na naszą możliwe jest przejście nadprzestrzenne, inaczej mówiąc, transgresja. Na Ziemi, w dawnych czasach, komuś również udawało się przeprowadzić operację przeniesienia diabłów, która w naszym pojęciu sprawiała wrażenie zbrodniczego występku. Oczywiście, ludzie uważali was za siłę nieczystą i natychmiast zaczynali sprzedawać swoje dusze za garnki złota, tytuły i temu podobne bzdury. Tak to wyglądało?

– To wasza interpretacja – ostrożnie odparł diabeł. – Gwałt, niewola i na dodatek oszustwo – tacy są ludzie.

– Ale przecież żadnej nieśmiertelności, oczywiście, nie mogliście zapewnić...

– Oczywiście, że nie!

– I złota również.

– A to dlaczego? Nasza ślina posiada własności katalizujące...

– Aaa! To wiele wyjaśnia. No i co pan sądzi o mojej hipotezie?

– Żałosna próba samousprawiedliwienia – burknął diabeł. – Albo, co gorsza, kolejne pastwienie się...

– Proszę posłuchać, jest pan przecież inteligentnym diabłem! Jeżeli nie podoba się panu moja hipoteza, proszę przedstawić swoją. Czy też woli się pan stoczyć w bagno mistyki?

– Chcę wrócić do domu.

– No to wszystkiego najlepszego! Proszę bardzo! Choć w tej chwili!
– Co? Nie zażąda pan ode mnie podpisanego krwią cyrografu, który odda mnie panu w poddaństwo, albo złota, albo tytułu barona...
– Jeszcze czego! Szkoda, że nie udała się nam rozmowa. Zaprzepaszczona taka możliwość! No cóż, nauka poczeka. Zaraz wykatapultuję pana z powrotem.
– Bez żadnych warunków?!
– Hm, gdyby zechciał pan zatrzymać się jeszcze chwilę, byłbym panu niezmiernie wdzięczny.
– Aha! Więc jednak przysługa...
– Co też pan! Po prostu zdołałbym przygotować jakąś aparaturę. Zarejestrowanie choćby parametrów pańskiego przejścia do piekła byłoby bardzo interesujące. Przecież, sam pan rozumie, to niezwykłe.
Zamyślony diabeł zawinął ogon w pętlę Moebiusa.
– Zdaje się, że chciał pan wiedzieć, co o tym wszystkim sądzę – rzekł po chwili.
– Tak, byłoby ciekawie porównać punkty widzenia. nie rozumiem, gdzie przepadł tester!
– Proszę wybaczyć, zdaje się, że na nim usiadłem...
– Rzeczywiście! Dziękuję bardzo. Co więc chciał pan powiedzieć?
– Niezbyt dobrze orientuję się w fizyce, ale z moralnego punktu widzenia...
– Tak, tak, słucham pana – powiedział Sania wyciągając z wysiłkiem spod stołu przenośny psychotensometr.
– Nas, ofiary, przedstawiacie jako pomiot piekielny. Można to wyjaśnić tylko w jeden sposób – przenieśliście na nas swoje najgorsze cechy, żeby usprawiedliwić swoje własne akty gwałtu i barbarzyństwa.
– Sądzę, że ma pan rację – z roztargnieniem odparł Sania rozglądając się w koło. – Magnetometr, teraz dobrze by było magnetometr...
– Zgadza się więc pan z moją oceną? Może jeszcze pan przeprosi?
– To przecież zrozumiałe. Słowo honoru, że nie chciałem! Gotów jestem zrekompensować czym tylko mogę.
– No proszę. A jeżeli wezmę pana za słowo i zażądam zgody na przeniesienie się wraz ze mną do piekła?
– Z przyjemnością. Jak widzę mieszkają tam zupełnie rozsądne diabły. Przepraszam! Przecież miałem wrażenie, że mówił pan jakoby diabły nigdy...
– Załóżmy, że nauczyliśmy się. Załóżmy, że wystarczy, bym wysłał telepatemę, a pana również... jak się to nazywało... transgresują.
– Ale to przecież wspaniałe! Przyznam się – oznajmił Sania konfidencjonalnym szeptem – że transgresowałem pana przypadkowo. Czysta, wstyd powiedzieć, empiria... No, ale to nic – dodał wesoło – teraz porównamy metodyki, zestawimy teorie i wszystko ruszy!
Diabeł nic nie odpowiedział. Jego oczy już od dawna nie płonęły. Ogon spokojnie leżał na ramieniu, a jego rozdwojony koniuszek pełnym zamyślenia gestem drapał go w policzek.
– To dziwne – powiedział wreszcie. – Mam wrażenie, że jest pan nie człowiekiem, lecz moim starym znajomym, magistrem nauk okultystyczno-fizycznych. Ten sam sposób bycia... Nie, nie mogę uwierzyć! Tyle było legend o ludzkiej perfidii...
– No, no, niech pan nie przenosi na nas swoich najgorszych cech. My również mamy sporo legend i zwalczanie przesądów, sam pan rozumie, to szlachetny cel. A więc, jestem gotów! Co prawda, terminal trochę nawala, ale mam wrażenie, że wytrzyma.
Sania poprawił okulary i przygładził włosy. Diabeł z jakiegoś powodu odwrócił wzrok. W zapadłej nagle chwili niezręcznego milczenia, ze źle zakręconego kranu do umywalki spadła z trzaskiem kropla wody.
Diabeł z irytacją zerknął w bok i jednym ruchem ogona dokręcił kran.
– Muszę pana przeprosić – oznajmił urywanym głosem. – Nie potrafimy przenosić ludzi do piekła, jeszcze się nie nauczyliśmy.
Sania achnął.
– Po co więc...
– Ech, młody człowieku, młody człowieku... Duszę, czy to co ją tam zastępuje, również należy wypróbować. Gdyby pan wiedział, jakiego niebezpieczeństwa pan uniknął, jeszcze by mi pan podziękował!
– Co? Proszę pana, czyżby te bajędy o kotłach piekielnych...
– Czort z nimi! – Koniuszki rozdwojonego ogona machnęły jednocześnie. – Teraz, dzięki Belzebubowi, nie żyjemy w ciemnym średniowieczu, za kogo nas pan uważa? Obecnie – diabeł przyciszył głos – należy się obawiać naukowych uprzedzeń i pośpiechu. Przecież problem transgresji, jak mi to wyjaśnił mój przyjaciel fizyk, rzeczywiście jest bliski rozwiązania. I proszę sobie wyobrazić – nagle diabły przekonują się o prawdziwości mitów i... Któż może zaręczyć, że pamięć minionych krzywd nie wywoła nowego zła? Niestety, uczucia tak często biorą górę nad rozumem!
– Słusznie – przytaknął ze smutkiem Sania. – Okazuje się więc – jego oczy rozbłysły – okazuje się więc, że spotkaliśmy się w samą porę!
– I ja tak sądzę! – Diabeł rozpromienił się. – Nie, nie, nie chcę mówić nic złego o naszych doskonale wykształconych młodych naukowcach, ale zbytnia popędliwość, niedostatek doświadczenia życiowego, swego rodzaju, wie pan, pewność siebie... Czy mamy wystarczająco dużo czasu, by przeprowadzić rzeczową i już, mam nadzieję, przyjacielską rozmowę?
Sania podskoczył do okna, a następnie spojrzał na przybory.
– Tak! Księżyc w odpowiedniej fazie, przyrządy działają normalnie, do kurów... Chociaż, co tu mają do rzeczy kury? Przecież nawet ich nie ma w mieście. Proszę pana, mamy mnóstwo czasu!
– Ach, jak wspaniale! – Diabeł zatarł łapy i wygodnie skrzyżował kopyta. – Spokojna wymiana informacji, przyjacielska rozmowa po północy z inteligentnym człowiekiem, nawiązany wreszcie kontakt braci w rozumie – cóż może być lepszego?!
– Otóż to! – z zapałem podchwycił Sania. – Oczywiście, nie jesteśmy aniołami...
– Kchrr! – Diabeł wykrzywił się boleśnie.
– Co się z panem dzieje?!
– Nie. To nic, to nic... Przyjacielu, niech pan nie wzywa aniołów nadaremnie!
– A więc to tak... – wyszeptał Sania. – Okazuje się, że anioły również...
– Oczywiście – diabeł wzdrygnął się. – Niech pan posłucha, czy nie znalazłoby się u pana czegoś... hmm... na rozgrzewkę?
Jego ogon mimowolnie skręcił się w korkociąg.
– Nie ma sprawy! – Sania podskoczył do półki. – Dla pana, przypuszczam, siarkowy skoncentrowany?
– Proszę wybaczyć – uśmiechnął się diabeł – to już trochę przestarzałe. Gdyby miał pan fluorowy...
Fluorowy udało się znaleźć bez trudu. Diabeł (Sania wzdrygnął się) jednym haustem opróżnił tygielek i odzyskał równowagę ducha.
– Proszę wybaczyć – powiedział z zakłopotaniem. – Nerwy, sam pan rozumie, ale wszystko już w porządku i wreszcie możemy rozpo... Aj!
Ściana nagle wygięła się, pękła jak bańka mydlana i pomiędzy rozmówcami, przewracając ich wraz z taboretami, pojawiła się skrzydlata, śnieżnobiała istota o spojrzeniu, od którego zadymiły kafle.
– Dobry sobie – rzekła istota. – Obdzwoniłam już wszystkie zaświaty, biesy na nogi postawiłam, a ten tu sobie siedzi!
– Ależ, aniele mój... – wyjąkał diabeł. – Rozumiesz, wynikła taka historia...
– A fluorowym od ciebie zajeżdża! – Szponiasty palec przygwoździł diabła.
– Obejrzyj się! – wrzasnął diabeł. – Masz przed sobą człowieka. Tu, na podłodze!
– A choćby i w niebie. Ja, mój drogi, nie jestem aniołkiem, żeby wierzyć w bajeczki.
– Proszę wybaczyć – wymamrotał oszołomiony Sania. – Ja, nawiasem mówiąc, rzeczywiście... eee... istnieję. O, proszę!
Zerwał się, otrzepał i nawet nie wiadomo po co stuknął obcasami.
– No i co? Przekonałeś się? – z tryumfem w głosie zapytał diabeł.
– Widzę. Nie jestem ślepa. Zwyczajny hologram, nic szczególnego.
– Cco? – diabłowi rozjechały się kopyta, Sania zaś usiadł tam, gdzie stał. – Opamiętaj się. Przecie on jest realny. Żywy! Dotknij go!
– Taak – skrzydła załopotały złowieszczo. – Zniknął, pił fluorowy, a teraz... Myślisz, że skoro nie mam wykształcenia, to we wszystko uwierzę? Mylisz się, mój drogi. Oglądam wszystkie audycje „Niewiarygodne wokół nas" i dobrze wiem, co w przyrodzie jest realne, a czego w niej być nie może.
– Ale przecież to Ziemia! Zrozum, inna cywilizacja, inny ro...
– Niezręcznie wymyślasz, przyjacielu, straciłeś kontakt z nauką. Niedawno doktor Mefistofeles udowodnił matematycznie, że jesteśmy samotni we Wszechświecie! Ale ty! Ignorancja nikomu nie przyniosła nic dobrego, ot co. No co, sam przepadniesz, czy mam ci pomóc?
– Proszę poczekać! – krzyknął Sania.
Było już jednak za późno. Skrzydła machnęły, powietrze zawirowało, strzałki przyrządów oszalały i oboje zniknęli.
Nauka ma wiele tajemnic, nie wiadomo czemu zawirowało w głowie Sani. Nauka ma wiele tajemnic...

Przełożył **Sławomir Kędzierski**

Piotr Łopalewski



Opowiadanie to, którego inspiracją stała się bezsensowna śmierć w pojedynku genialnego młodego matematyka, Ewarysta Galois, nie ma na celu rekonstrukcji faktów. Całkowite odrealnienie przedstawionego świata (przy zachowaniu podstawowych elementów historycznego tła) w zamierzeniu autora powinno uwydatnić pewną właściwość historii, zwaną przez myślicieli „ironią".

PRZYPADEK EWARYSTA

Marek Pąkciński

Pewnego razu, gdy przebywałem w Paryżu, gdzie mnie ojciec do Sorbon tamtejszych wysłał na nauki, znalazłem się w oberży. Z tej Sorbony to prawie nic nie wyszło, jedynie z zewnątrz obejrzałem jej mury, co są, owszem, szacowne, ale dla szlachcica niezachęcające, bo życia nijakiego tam nie uświadczysz. Tym widokiem zrażony, oddaliłem się niezwłocznie, przyrzekając sobie nigdy już tam nie zaglądać. Swoje kroki skierowałem w rejony, gdzie mnie wabiła młodzieńcza krew szlachecka.

Nie muszę chyba nadmieniać, jakie to były rejony; dość powiedzieć, że ojcowską rentę, udzieloną mi na rok nauki, w miesiąc niecały przehulałem z kretesem. Na próżno słałem do domu dramatyczne epistoły pełne skarg na wzrost uczelnianego czynszu; widać przebiegły pater z jakichś ciemnych źródeł zdołał zmiarkować, jak się rzeczy naprawdę mają. Otrzymałem z domu jedynie nic nie znaczącą sumę wraz ze srogim ostrzeżeniem, iż pieniądze przeznaczone są jedynie na natychmiastowy powrót do Polski. W przeciwnym razie mam się liczyć z całkowitym pozbawieniem mnie synowskich praw.

Za bardzo jednak zasmakowałem w tutejszym życiu, aby mnie ojcowskie groźby mogły przerazić. Wolałem żywot pariasa na tutejszym bruku niż nudny dostatek ojcowskiego majątku, wieczne borykanie się z dzierżawcami, życie, w którym codzienny przegląd prasy przy porannej kawie jedyną jest rozrywką. (W polowaniach nie gustowałem). W ten sposób studiować zacząłem, ale na tej lepszej, bo życiowej Sorbonie; tak też, pozbawiony czasowo środków do życia, zmuszony byłem zasiadać do stołu w oberży na przedmieściu, bo tu, wśród łachmaniarzy, mój w miarę przyzwoity wygląd mógł się zdać rękojmią wypłacalności.

Któregoś wieczoru, po dniu spędzonym biednie lecz hucznie, przysiadło się do mego stołu jakieś dziwne indywiduum. Że było mi już wówczas obojętne, z kim piję, nie protestowałem; zresztą łachmaniarski wygląd nowo przybyłego nie zdołał mnie zwieść, wzrok miał żywy i inteligentny. I tak sobie miło popijając doszliśmy wprost do zwierzeń całkiem osobistych. Ja mu opowiedziałem, skąd się tu wziąłem w Paryżu i jaka jest moja sytuacja. (Że jestem cudzoziemcem, wyczuł z akcentu). Aż nagle zmiarkowałem, że ja mu o sobie rzekłem prawie wszystko, on zaś – prawie nic. Zaraz też postanowiłem bardziej na niego uważać, a pilnować się w rozmowie, bo indywiduum to jakieś dziwne, okazało się nadzwyczaj bystrym. (Dałbym głowę, że mówiliśmy tyle samo, a ja zostałem nagle goły, on zaś całkiem zakryty). Zdecydowałem się uderzyć wprost.

– Słuchaj – rzekłem – tyle ci już o sobie naopowiadałem, że mógłbyś z tego bez łamania głowy złożyć dość dokładną biografię. Opowiedz coś i ty, bo na tym świecie przysługa dawana jest za przysługę, a zaufanie wymaga zaufania.

On na to odezwał się w te słowa:

– Istotnie, panie, nie będę ukrywał, że wyciągnąłem z ciebie niemal wszystko; nie będę też ukrywał, iż uczyniłem to z zawodowego niejako nawyku. Byłem bowiem jednym z wybitniejszych agentów szlachetnego pana ministra Fouché, dopóki przewodziła nam gwiazda ukochanego cesarza, prowadząc ku wolności. Chroniłem Bonapartego, mając oczy i uszy stale szeroko otwarte. Byłem przy udaremnieniu zamachu na jego życie, zorganizowanego po 18 brumaire'a przez stu pięćdziesięciu jakobinów i republikanów. Śledziłem uczestników spisku, którzy wylądowali 20 sierpnia koło Biville pod dowództwem Georgesa Cadoudala. To ja byłem słynnym obywatelem Armandem, który w 1805 roku zadenuncjował kupca Dubois, a naprawdę rojalistycznego agenta, Edwarda Boessulana.

Zmiarkowałem, że albo kłamie w żywe oczy, albo też mówi prawdę; jeśli zachodzi ta pierwsza możliwość, znaczy to, że musiał długo przygotowywać się do swej roli, studiując akta policji. To z kolei wydało mi się nieprawdopodobne. Gorzej, jeśli był agentem rojalistycznym, zainteresowanym mną z tego względu, iż jak wiadomo wielu Polaków ma sympatie republikańskie. Postanowiłem dyskretnie go wybadać, co było o tyle trudne, iż w takim stanie rzeczy badający byłby badanym, zaś badany – badającym. Nie wiedziałem też, o co go zapytać, jako że ja sam osobiście spraw tajnej policji nie znam nazbyt dokładnie.

– Słuchaj no, wędrowcze – zacząłem z innej beczki – a od niedawna towarzyszu mój winny oraz intrygujący rozmówco! A nie przyszło ci czasem do głowy, że powierzając swoją historię nieznajomemu, sam narażasz się na denuncjację? Nie sądzisz, że mógłbym pójść teraz tam, dokąd ty zwykłeś chadzać jeszcze jako agent, i powiedzieć o tobie parę ciekawych rzeczy? Myślę, że dziejami ministerstwa pana Fouchégo są ci panowie zainteresowani.

Sądziłem, że zdenerwuję go tak obcesowym dictum. Odrzekł jednak spokojnie:

– Nie mylisz się panie, pomyślałem o tym. Cóż z tego, że poszedłbyś tam, skoro naraziłbyś się jedynie na ośmieszenie? Policja nigdy nie uwierzy, że znany wszystkim „głupi Jacques", którego ludzie wyśmiewają na ulicy, był kiedyś agentem w służbie cesarstwa! Nawet gdyby sam poszedł i zaczął wszystko opowiadać, zostałoby to uznane za jeszcze jeden przejaw oczywistego obłędu. Może o tym nie wiedziałeś, panie, ale dobry agent potrafi zmienić się w mgnieniu oka.

W tym momencie mój rozmówca przeszedł niesamowite przeobrażenie, istotnie jak w owidiuszowych „Metamorfozach". Wzrok przygasł, oczy wyszły na wierzch. Cała twarz pokryła się zmarszczkami, jakby była dziesięć lat starsza. Wargi wywinęły się na zewnątrz, całe oblicze przybrało sinawy odcień. Wyglądał jak jeden z tych dziwacznych stworów na katedrze Notre Dame, które tubylcy nazywają „chimerami". Zmiarkowałem nagle, czemu siedzący w oberży ludzie popatrują na nas z dziwnymi uśmieszkami.

– Poza tym – dodał po chwili, już wygładziwszy oblicze – nie myślę, byś pokwapił się zawrzeć znajomość z policją. Cudzoziemiec, który je i pije w oberży, nie płacąc przez tydzień ani jednego sous, może być łatwo uznany za zwykłego oszusta.

Zagryzłem wargi. Dłoń moja bezwiednie poszukała rękojeści karabeli.

– Jestem szlachcicem! – wydusiłem z siebie.

– Cóż z tego, panie, cóż z tego... – odparł lekko, z wyraźnym rozbawieniem na twarzy. – Nie zapominaj, że Francja jest krajem jakobinów...

Zapędził mnie, łobuz, w kozi róg. Poczułem mrowienie w krzyżu. Ten fałszywy opętaniec był bardziej niebezpieczny, niż mogłem przypuścić. Podniosłem ze stołu szklankę wina i z trudem przełknąłem potężny haust. On również przepił, spokojnie i statecznie.

– ...Tak... – rzekł w tonie zamyślenia. – I jedyna chyba sprawa, która z prespektywy lat zdaje się dwuznaczna, to nieszczęśliwa decyzja egzekucji księcia d'Enghien. – Uczynił taki gest, jakby opędzał się od przykrych wspomnień. – Ale nie wierzę, żeby mój minister był tego przyczyną, to sprawka Talleyranda.

Przez jakiś czas milczał, zapatrzony gdzieś w przestrzeń. Ja zaś umyśliłem sobie po prostu odejść, bo choć mnie intrygował (poznawszy jego możliwości, uwierzyłem, że istotnie był w tajnej policji) czułem, że z tej znajomości mogą wyniknąć dla mnie jakieś złe rzeczy. Już ruszyłem się, żeby wstać, ale powstrzymał mnie, kładąc rękę na ramieniu.

– Zaczekaj, panie – powiedział, znów z nutą pokory w głosie – Nie przysiadłem się do ciebie i nie piłem z tobą po to tylko, aby ujawnić kim byłem. Nawet nie dlatego, że jesteś cudzoziemcem, a wśród ludzi tutejszych pragnę zachować incognito. Chciałem opowiedzieć ci o tym, jak udaremniłem spisek na życie szlachetnego pana Ewarysta Galois, do którego uzdolnień we wzniosłej dziedzinie matematyki na zawsze zachowam cześć i szacunek.

Usiadłem, nie tyle przymuszony jego wzrokiem, jak znów zaintrygowany. Różnorakie myśli kłębiły mi się w głowie, zmieszane z oparami ciężkiego wina.

– Pan Galois – zaczął mój rozmówca – mieszkał niedaleko stąd. Studiował matematykę. To było w niespokojnych czasach, kiedy pod przywództwem bankiera Lafitte'a wybuchła rewolucja przeciwko Karolowi X. Dla mnie nie miało to już znaczenia. Ale niektórzy patrzyli z nadzieją na ten ruch, widząc w nim szansę dla republiki. Należał do nich szlachetny pan Galois, który uczestniczył w zebraniach kółka wolnomyślicieli. Zbierali się tam... nie wiem dokładnie, w jakim celu, ale na pewno dyskutowali jakieś plany, projekty. Nie wiem też, czy chodziło im o wzniecenie jeszcze jednej rewolucji bądź zamieszek; pan Galois brał udział w tych zebraniach ze szlachetnego, choć naiwnego porywu serca. Ja oczywiście wiedziałem, że prawdziwie skuteczną rewolucję robi się w całkowicie inny sposób – powiedział to z odcieniem dumy oraz ironicznym błyskiem w oku.

– Dlaczego zwróciłeś na niego uwagę? Czy znałeś go już przedtem? – spytałem, korzystając z chwili przerwy w monologu.

– Bardzo rzucało się w oczy, że ten młodzieniec włożył sw[illegible] siły w [illegible]kąś szlachetną a zarazem niepospolitą sprawę. Ja sam próbowałem zwąchać się z tymi, których zwie się „opozycją"; obawiałem się jednak spotkać kogoś ze swoich dawnych znajomych, rozumiesz, panie – rzucił mi znaczące spojrzenie. – Dlatego śledziłem pana Ewarysta dość dyskretnie, aby niczego się nie domyślał. Miarkowałem, jakim by tu sposobem dotrzeć do koła młodych republikanów, wśród których się obracał. Towarzyszyłem dyskretnie panu Galois w drodze na wykłady, a później w jego spotkaniach; spostrzegłem, że ma kilku znajomych, z którymi spotyka się stale. Była tam też pewna młoda kobieta. („Jak w każdym dobrym romansie" – pomyślałem).

Z głębi sali, gdzie wśród dymu, winnych oparów i wrzawy kłócili się drobni kupcy, oszuści, jacyś malarze-amatorzy i inne persony w tym rodzaju, dobiegły nas nagle odgłosy szamotaniny. Dwóch spośród nich, prawdopodobnie przy kartach się pokłóciwszy, rwało się do bitki; siedzący wespół z nimi przy stole kompani powstrzymywali ich jednak. W tej chwili dostrzegłem dziwne zachowanie mojego rozmówcy; cały jakby rozbłysł wewnętrznie, chcąc chyba w tych karczemnych zmaganiach wziąć udział, bo ja zresztą wiem? Już wstawał, jakby go ktoś tam ciągnął niewidzialnym sznurem, ale, widząc że antagoniści uspokoili się nieco, zastygł w półruchu. Potem usiadł wygodnie, rozluźnił się, na jego twarzy zagościł szczery uśmiech. Nie był już tym gotowym do skoku zwierzęciem (mechanizmem?), które widziałem parę chwil temu.

– Zdziwiłeś się, panie? – rzekł jak ktoś, kto całkiem już opanował zdarzenia. – Musisz wiedzieć, że choć nie jestem awanturnikiem, gdy widzę takie sceny, szybciej krąży we mnie krew.

Aby nie wyjść na tchórza (co największą byłoby hańbą dla szlachcica) przytaknąłem mu, roześmiawszy się sowicie choć nieszczerze, bo w głębi duszy do śmiechu wcale mi nie było. Nie mogłem zapomnieć jak szybko zmieniła się moja rola z łaskawego dawcy napiwków na pokornego w gruncie rzeczy słuchacza.

– No, ale teraz słuchaj, panie – podjął. – Otóż pewnego dnia odkryłem, że nie jestem jedynym, który śledzi szlachetnego Ewarysta Galois. Towarzyszyłem mu właśnie w pewnej oczywiście odległości – do domu tej kobiety, którą z powodzeniem możemy nazwać Anną lub Eweliną...

– Była piękna? – wtrąciłem pytanie.

– Tak, bardzo piękna – odpowiedział bez śladu rozmarzenia na twarzy. Od razu też kontynuował: – I otóż tego samego dnia, w którym pan Ewaryst zatrzymał się u niej na trochę dłużej, dostrzegłem, iż jest on obserwowany przez jakichś ludzi; mógłbym im przypisać cechy diabelskie, gdybym był przesądny. Pierwsza myśl, która mi się nasunęła, była taka, iż grają oni role w jakimś nieprawdopodobnym przedstawieniu teatralnym. Jeden z nich – daję na to słowo, ja stary wywiadowca i weszyciel – był skryty w olbrzymim liściu drzewa, które rosło pod domem, gdzie mieszkał pan Ewaryst. Przechodziłem akurat pod tym drzewem i coś mignęło mi nagłym błyskiem nad głową. Obejrzałem się i zobaczyłem wiszące nade mną bose stopy. Zaraz też zniknęły, ale wtedy spostrzegłem, że jeden z liści jest większy od pozostałych. Przemyśliwałem nawet, czy by go nie naciąć, ale zdało mi się to pomysłem zbyt pochopnym. Myślę – nachylił się ku mnie tak, aby słowa jedynie do mnie docierały – że ów człowiek-liść pochodził z Wenus, gdzie wszystkie przedmioty są tworami atmosfery, a więc nie mają raz ustalonego kształtu. Człowiek może równie dobrze stać się liściem jak i chmurą.

Zmilczałem te oczywiste banialuki. Pomyślałem, iż jednak mam do czynienia z niebezpiecznym szaleńcem.

– Z Wenus? – spytałem na wszelki wypadek, rzucając okiem ku wyjściu z tej matni.

– Tak, z Wenus, gdzie padają deszcze z siarki – potwierdził. – Dziwisz się, że wiem coś na ten temat?

– Dziwię się temu, co usłyszałem.

– Nie dziw się. Już Lukian...

Zbyłem to machnięciem ręki.

– Wiem, wiem, znam to wszystko – nie wytrzymałem. – Haniebne wymysły, które mają się do realności jak pusty worek do worka pełnego zboża.

– Nie byłbym tego taki pewien – przez moment patrzył na mnie ironicznie. – Dość powiedzieć, że jednego z nich napotkałem w kształtach lampy, stojącej na biurku Ewa-

rysta. Jeśliś, panie, czytał Lukiana, na pewno słyszałeś o tak zwanych „lampowcach"...

Przytaknąłem w milczeniu, bo szaleńcowi nie należy się sprzeciwiać.

– Obejrzałem go sobie, przebywając w domu pana Ewarysta, do którego wtargnąłem niepostrzeżenie, podkradając klucz nocnemu stróżowi. Nie znalazłem tam właściwie niczego ważnego, jedynie jakieś liberalne odezwy i obliczenia matematyczne. Za to tydzień później... Dość powiedzieć, że napotkałem trop chyba najdonioślejszy dla rozwiązania tej zagadki. (– Jakiej zagadki? – pomyślałem sennie, rozleniwiony przez wino i przez poczucie, że mój rozmówca jest szaleńcem i nie warto przywiązywać wagi do jego słów). Najpierw jednak musiałem stoczyć walkę z lampowcem. Otóż po szybkim przeszukaniu pokoju pana Ewarysta miałem już wychodzić, gdyż lokator mógł wrócić za chwilę. Wtem z tyłu usłyszałem chrobot, lampowiec zamienił się w uzbrojonego od stóp do głów wojownika.

– Czym jest coś, co nie jest ani czymś, ani też niczym? – rzucił pytanie skrzekliwym głosem.

– Sobą – odparłem natychmiast, bo tylko to przyszło mi do głowy.

Lampowiec zniknął z cichym syknięciem. To jedyna forma ich śmierci, a jest nią śmierć przez samozawstydzenie. Do gatunku lampowców należał również niejaki Sfinks, który działał w Tebach. Gatunek lampowców należy do potężnej i rozgałęzionej rodziny potworów. Interesujesz się systematyką potworów? – rzucił nagle pytanie.

– Nie na tyle, aby...

– Właśnie – przerwał mi. – A rodzina potworów należy ogólnie rzecz biorąc do wszechobecnej i strasznej dziedziny aktorstwa. Musisz o tym wiedzieć, skoro zamierzasz działać na tej trudnej i niebezpiecznej niwie.

– Ależ ja nie zamierzam być aktorem! – wybuchnąłem.

– Mój drogi, nikt nie ustrzeże się przed tą koniecznością – stwierdziła bestia, już coraz otwarciej przyznająca się do komitywy ze mną. Jeszcze pół godziny temu rozbiłbym mu za to łeb kuflem, ale teraz ogarnęło mnie jakieś dziwne osłabienie. Co gorsza, pewne odkształcenia otaczających mnie przedmiotów skłaniały do wniosku, iż potwór zyskuje z każdą chwilą większą władzę nade mną. Paszczeka domniemanego agenta policji osiągnęła rozmiary planetarne. Gdzieś w cichym zakątku mej mózgowej galarety zrodziło się znów rozważanie nad nim. Kim był naprawdę? Diabłem?

– Ten Sfinks w gruncie rzeczy rządził Tebami – kontynuował dziwoląg. A potem musiał zginąć, bo ktoś znalazł rozwiązanie jego zagadki. Zwykła i jakże częsta zmiana władcy.

(Nie miałem siły wgłębiać się w ukryte znaczenie jego słów).

W końcu, do stu diabłów, byłem szlachcicem, a nie profesorem Sorbony! Musiałem jednak pofolgować z tymi niewczesnym rozważaniami, gdyż w moim zgłębianiu sprawy pana Ewarysta Galois pojawiły się nowe, intrygujące elementy. Otóż jego miłość do Anny lub Eweliny zdała mi się nagle czymś do szaleństwa koniecznym. Ten człowiek przebywający stale wśród abstrakcji musiał ją stworzyć, aby sam się określić, aby poznać sam siebie. Poza tym musiał być wolny; gdyby jej nie poznał i nie pokochał, byłoby to ograniczeniem wolności. Tak to wolny umysł stworzył niewolną istotę, która naprawdę była wolna, bo mogła wedle upodobania istnieć lub nie istnieć; stworzył ją tylko w dziedzinie jej miłości ku niemu. On zaś był już ograniczony, ponieważ m u s i a ł ją kochać. Ale zaraz, o czym to ja?...

Pan Galois, spotykając się z radykalnymi republikanami, nigdy właściwie nie ujrzał ich wodza, tego, który kierował całą akcją. Tamten ukrywał się, podsuwając mu jedynie swych współpracowników. (Do takiego wniosku doszedłem, rozpatrując polityczne związki Ewarysta.) Co ciekawe, do pewnego momentu spotykał się on z różnymi ludźmi, wśród których było również kilku dawnych jakobinów. O ile zdołałem to zgłębić, rozmawiali o utopijnych projektach przebudowy całej społeczności, o jakimś całkowitym przemieszaniu społecznych warstw.

Gdy to podsłuchałem (skryty tym razem w szafie, skąd musiałem przedtem wygnać, złoiwszy skórę, pewnego agenta z Saturna, udającego płaszcz) poczułem niejasny niepokój a nawet lęk.

– Ten projekt całkowitego zrównania warstw socjalnych budzi we mnie niejasny niepokój, a nawet lęk – usłyszałem zdanie jednego ze spiskowców.

– Dlaczego? – zapytał inny.

– Wszyscy wiedzą, jak to się skończyło w wypadku Komitetu Ocalenia Publicznego. Ważne jest jednak właśnie to pytanie, które zadałeś: dlaczego? Otóż dlatego, myślę, iż ludzie posiedli niewyczerpane zdolności naśladowania się wzajem, zaś przejawiają się one najsilniej w dążeniu do posiadania bogactw oraz folgowania swym namiętnościom. Gdy ktoś widzi, że czyni to jego bliźni, natychmiast chce czynić tak samo. Jeśli wszyscy są sobie równi, nie ma barier w tym naśladowaniu, pojmujesz?

Dyskusja została gwałtownie przerwana, ponieważ ktoś powiedział, iż policja węszy wokół domu. Ja zaś poczułem, że wiem nareszcie, dlaczego patrząc w lustro odczuwam zawsze mdlący zawrót głowy.

Udało mi się później wśliznąć nawet do tej wspaniałej, pięknej i cnotliwej kobiety, zwanej Anną lub Eweliną. Właściwie zacząłem już wtedy mieć wątpliwości co do jej cnoty (choć nie do piękna). W gruncie rzeczy, wstyd przyznać, była sprytną kurtyzaną. Lubiłem przebywać u niej pod łóżkiem, co, choć nie licowało z moim szlachectwem, było w rzeczy samej dość intrygujące. Podsłuchiwanie intymnych rozmów Ewarysta również zdało mi się początkowo czymś niegodnym, szybko jednak wytłumaczyłem sobie, że to dla dobra sprawy.

– Kocham cię, Ewelino – mówił matematyk. – Bez ciebie nie mogę istnieć, tworzyć, podobnie jak ty – uwierz w to – nie możesz istnieć beze mnie. Podtrzymujemy się wzajemnie w istnieniu. W miarę jak posuwają się moje badania nad rozwiązaniami wielomianów, moja zależność od ciebie wzrasta. Czy zdajesz sobie z tego sprawę? Jakże ubogo ludzie istnieją dla siebie! Tylko takie chwile, jak nasza, mają naprawdę znaczenie. A ja tylko dzięki tobie mam siłę grać kolejno wszystkie role w tym przedstawieniu.

Sprytna kobieta milczała. Ja zaś zastanawiałem się długo nad wypowiedzianym przez Ewarysta zdaniem o „graniu kolejno wszystkich ról". Nic sensownego na ten temat wykoncypować nie mogłem.

Kiedy Galois wyszedł od niej, wyczekiwałem nadal. Mówiąc szczerze, przyszło mi to bez trudu, w pewnym momencie bowiem skonstatowałem z niepokojem, iż zamieniłem się w jedną z deseczek, podtrzymujących od spodu całą konstrukcję łoża. Kiedy w popłochu zastanawiałem się nad swoją obecną kondycją, Ewelina poprawiała makijaż; potem wyszła z domu.

Podążyłem za nią. Od tej chwili przyszło mi przyzwyczaić się do metamorfozy, będącej wyższą formą egzystencji szpiega. Wszakże nic nie pomogłaby mi tu długotrwała praktyka, gdyby nie wsparcie duchów planetarnych, o które przecież wcale nie zabiegałem. Mogłem jednak stwierdzić z dużą dozą pewności, iż udzieliły mi one swej pomocy w zamian za milczenie o ich istnieniu. Była to więc z ich strony niejako oferta.

Na razie nie myślałem o tym, zajęty śledzeniem Eweliny. Kluczyła przez dłuższy czas uliczkami Montparnasse, w widoczny sposób odwracając twarz od przechodniów. Wreszcie weszła w bramę jakiejś niczym nie wyróżniającej się kamieniczki. Po jakimś czasie wniknąłem tam i ja. Dziedziniec był obskurny, takoż i wnętrze domu. Szedłem w górę po schodach w całkowitej ciszy, którą mącił tylko odgłos moich kroków. (Przez roztargnienie nie zamieniłem się w coś bardziej lotnego). W końcu dotarłem do drzwi, zaopatrzonych w starą, rozpadającą się tabliczkę:

AMB...SADA K...LESTWA
WENUS

Nie zdziwiłem się nawet zbytnio. Istnienie przedstawicielstw obcych planet nie było tajemnicą, na przykład dla pewnych kręgów masonerii. Mówiło się, że Mirabeau utrzymywał z nimi ożywione kontakty.

Zamieniony w kłąb dymu, przeniknąłem przez dziurkę od klucza. Nawet pod tą postacią nie byłem tu jednak bezpieczny. Jak wiadomo (a wiedział to już Lukian) mieszkańcy planet rozpoznają życie pod każdą postacią. Znalazłem się w długim korytarzu. Światło było tu przyćmione. Do mojego wyostrzonego teraz słuchu nie dobiegał żaden dźwięk, żaden szmer rozmowy. W pokojach, o

ciąg dalszy na str. 45

spokoić tłum. Każdy miał swoje własne zdanie i zaczęto rzucać najbardziej niewiarygodne oskarżenia.

– Z zawiści otruła swoją siostrę – krzyknęła łysa i bezzębna starucha.

– Rzuconym urokiem zgładziła pół wioski – z tłumu uniósł się inny głos.

I jeszcze raz stary Naguh:

– Czy wiecie, co ma między nogami ta lalka, wyglądająca jak niewinna sarenka? Pułapkę! Uzębioną pułapkę, by okaleczyć nieszczęśnika, który ulegnie jej pokusom.

Nadeszła odpowiednia chwila do działania. Gavor obnażył miecz, spiął Ucięte Ucho i wpadł w sam środek tłumu, rozdzielając razy na prawo i lewo, aż znalazł się przy podeście. Schwycił prowadzącego licytację i rzucił go za ogrodzenie dla handlarzy, kopniakami rozpędził pomocnice i służki, które natychmiast czmychnęły.

– Gavor! – był to głos Duny, zdławiony z zaskoczenia i emocji.

Nie starczyło nawet czasu na to, żeby na nią spojrzeć. Wciągnął ją na grzbiet konia, który nerwowo przestępował z nogi na nogę obok podestu, nakazał jej trzymać się mocno i znów spiął konia, oddalając się szybkim kłusem. Zaskoczony i strwożony tłum rozwierał się przed nim, jakby przepołowiony ostrym klinem. Jakiś olbrzym, zapewne zbir na usługach starego Fallaha, uczepił się munsztuku Uciętego Ucha z niewątpliwym zamiarem powstrzymania konia, ale potężny kopniak Gavora dosięgnął jego podbródka i zmusił do rozluźnienia chwytu.

– Zróbcie miejsce czarownicy! – krzyczały kobiety z Górnej Mediny. – Niech wraca tam, skąd przyszła, razem z tym swoim pyszałkiem.

– Przepuście ich – darli się nędzarze. – Niech zło wyniesie się z naszego miasta.

Im dalej od placu, tym tłum rzedniał i ucieczka stawała się coraz szybsza. Kiedy wreszcie dotarli do zachodniej bramy miasta wznosiły się za nimi jedynie tumany kurzu.

– Dościgną nas – westchnęła dziewczyna, wciąż jeszcze przerażona. – Ta hiena Fallah wysłał już za nami swoje bezlitosne straże...

– Nie obawiaj się – zapewnił ją Gavor. – Ktoś postara się zmylić pościg.

Ucięte Ucho aż do zachodu galopował po żółtych łąkach, które rozciągały się między Górną Mediną a czarnymi wzgórzami. Po dwakroć Gavor zsiadał z konia i z drżeniem serca przykładał ucho do ziemi, czy aby nie posłyszy odległego tętentu kopyt i po dwakroć unosił się z radością w oczach, wiedząc, że niebezpieczeństwo zostało daleko za nimi.

– Czarodziej – mówiła mu Duna, zarzucając ramiona na szyję. – Czarodziej i cudotwórca.

Koń jechał teraz stępa po zboczach wzgórz. Czerwone słońce gasło, tłumione zielenią traw i wieczorną mgiełką. Słychać było nawoływania nocnego ptactwa, poszczekiwanie lisów, odległe pochrząkiwania szukających legowiska dzików.

Kiedy znaleźli się po drugiej stronie wzgórz, ponad horyzontem prześlizgiwała się jeszcze wąska strużka światła.

– Tutaj jesteśmy bezpieczni – powiedział Gavor, wstrzymując konia na skraju lasu. Zrzucił namiot i kiedy Duna rozpalała ogień, przygotował schronienie na noc.

Długo siedzieli przy ogniu, patrząc sobie w oczy. Potem Gavor powiedział:

– Postawimy nowy dom, naprawimy to wszystko, co Thungusi zburzyli. Ale nim to nastąpi, czeka nas dzieło o wiele większe... Odmienimy świat – wyjaśnił Gavor, muskając jej włosy.

Duna wpatrywała się w niego urzeczona. Bo nadszedł czas miłości, a świat... tej nocy świat mógł poczekać za namiotem.

Wtedy też zza czarnych wzgórz Górnej Mediny wychylił się księżyc, ogromna kula fioletowego światła wśród zmumifikowanych drzew. I na chwilę, na długą i niepowtarzalną chwilę, oczom Gavora ukazał się on biały, czysty jak śnieg, biały jak skóra Duny, jak wymarzony księżyc Meklùra, czysty i promienny jak sen ludzi uczciwych.

KONIEC

Rozdział XIV

O świcie obudził go gwałtowny metaliczny odgłos, ogłuszający i przeciągły. Ktoś walił żelaznym przedmiotem w dno kotła, ktoś inny przeciągnął drągiem po kratach w oknie. Hałas ustał równie nagle, zaczęły otwierać się wrota nocnego schronienia i pojawili się strażnicy, uwalniając więźniów z łańcuchów.

Gavor rozmasował zziębnięte członki. Nareszcie mógł przyjrzeć się twarzom towarzyszy niedoli, wymizerowanym więźniom z Me-Ghir, wśród których nieszczęsnymi kolejami losu znalazł się również i on.

Niemal wszyscy byli przeraźliwie chudzi, w wieku niemożliwym do określenia, obdarci i brudni. Gavor ujrzał długie, posklejane brudem brody, zapadłe oczy, członki pokryte strasznymi bliznami, otwartymi ranami i krostami. Niektórzy wyraźnie kuleli. Inni poruszali się zgarbieni, ze sztywnymi, opuszczonymi wzdłuż ciała ramionami.

Zerknął na więźnia, znajdującego się po jego prawej stronie. Miał orlą twarz i gęstą, siwą czuprynę. Gavorowi zdało się, że musiał już widzieć tego człowieka. I kiedy nieszczęśnik obrócił się i ruszył w stronę ustawionego szeregu, ukazując fioletową plamę na policzku, jego wątpliwości prysnęły. Był to herszt bandy, która napadła go pięć miesięcy wcześniej, na drodze do Tharab. Zwał się Botro. Zabrał mu konia, którego otrzymał od Andiraqa, amulet i pieniądze.

Z trudem powstrzymał się, by nie skoczyć mu do gardła. Nie była to odpowiednia chwila do wyrównania rachunków na oczach bacznie obserwujących cały ten harmider strażników.

Skazańcy w szeregu wyszli z pomieszczenia i zostali poprowadzeni w kierunku kamieniołomu. Botro szedł tuż przed nim. Gavor mocno uderzył go dwoma palcami po plecach.

– Świat jest mały, przyjacielu. Nie jest aż taką znów niespodzianką spotkać ciebie tutaj, w Me-Ghir, idealnym kresie podróży złodziei i oprychów.

Botro nie odwrócił się. Szedł wyprostowany ze spojrzeniem skierowanym prosto przed siebie. Poirytowany Gavor uderzył go więc ponownie między łopatki.

– Uspokój się, chłopcze – wyszeptał skazaniec, nie odwracając się nawet. – Ja też rozpoznałem cię wczoraj wieczorem, ledwie się tutaj znalazłeś. Botro zawsze śpi tylko jednym okiem. Popatrz, popatrz! powiedziałem sobie. Oto i naiwniaczek, który dał się ogołocić na drodze do Tharab. Cóż takiego chcesz uczynić? Zabić mnie? Przeszłość już się nie liczy, chłopcze. Znaleźliśmy się w łajnie obydwaj i nim nastanie korzystniejsza pora roku zostaną z ciebie tylko skóra i kości. Wszyscy, nawet najsilniejsi, zdechniemy w tych przeklętych kamieniołomach z głodu, z pracy ponad siły i wysuszeni piekącym słońcem.

Do końca marszu Gavor nie odezwał się. Kiedy dotarli już do kamieniołomu, strażnicy rozsiedli się na wystających odłamkach skalnych, skąd z łukami i strzałami w dłoniach mogli dogodnie nadzorować pracę. Nowo przybyłym, jeszcze krzepkim mężczyznom, przydzielono najcięższą pracę. Ogromne bloki, wyrywane przez nich z boków wzgórza desperackimi i uporczywymi uderzeniami oskardów, za pomocą drewnianych drągów były spuszczane na sam dół zbocza. Inni skazańcy, już na dole, segregowali bloki zależnie od kształtu i wielkości, natomiast najstarsi i najsłabsi szuflami zgarniali tłuczeń.

Wozy nieustannie krążyły tam i z powrotem. Kiedy słońce stało już wysoko, Gavor, zlany potem mimo pochmurnego dnia i powietrza, w którym niemal czuło się deszcz, zwrócił się do pracującego obok człowieka, starca o suchych, choć krzepkich jeszcze ramionach.

– Kiedy dostaniemy coś do jedzenia?

Starzec skrzywił się w grubiańskim uśmiechu, ukazując resztki żółtych i czarnych zębów, sterczących z niebieskosinych dziąseł. Wzruszył ramionami i wymamrotał ponuro:

– Jeszcze czas, zaciśnij pasa, a w południe dostaniesz dwa suchary.

Gavor miał silne i nawykłe do pracy ramiona, ale na dłoniach i w zagłębieniach między kciukiem a palcem wskazującym wyskoczyły mu pęcherze. I paliły niemiłosiernie.

Spojrzał w dół. W grupie skazańców, uwijających się wokół wozów ujrzał Jednookiego: poznał go po czarnej opasce na oku. W jego pobliżu pracował również Botro. Gavor zauważył, że tak zręcznie przebiera łopatą, żeby nabierać jak najmniej żwiru i nie męczyć się nadmiernie.

Zanosiło się na deszcz. Szary horyzont przecięła nawet błyskawica, chmury jednak rozstąpiły się gnane wiatrem, który spadł najpierw w dół całym swoim impetem, by po chwili ucichnąć, jakby stracił nagle skrzydła.

Wreszcie strażnik, siedzący wysoko na występie skalnym, zadął w róg, dając znać, że nadszedł czas posiłku. Więźniowie pracujący na stromym zboczu też odłożyli swoje narzędzia, zeszli na sam dół i ustawieni w szeregu oczekiwali na należną im porcję strawy.

Pośrodku placyku znajdowała się cysterna, którą ostatnie opady napełniły wodą deszczową. Wokół niej półkolem tłoczyli się najstarsi, najmniej cierpliwi więźniowie, chcąc zmiękczyć w wodzie swoje suchary.

Gavor przykucnął na uboczu, zachłannie krusząc zębami swoją porcję. Jednooki trzymał się niezbyt od niego daleko i bacznie go obserwował. Po chwili, ostrożnie, przysunął się do niego Botro.

– Co robisz? – gniewnie zasyczał rabuś. – Zwariowałeś?

Gavor spojrzał na niego z otwartymi ustami.

– Pracujesz ze zbytnim zapałem – wyjaśnił Botro. – Jeśli nie uspokoisz się, będzie z ciebie trup nim minie miesiąc. Trzeba być sprytnym, chłopcze! Rób jak ja: oszczędzaj siły, a jeszcze długo pociągniesz.

Gavor potrząsnął głową.

– Powiedziano mi, że z kamieniołomów w Me–Ghir nie wychodzi się żywym. Na cóż więc trwać?

– Głupiec! – bezlitośnie fuknął Botro. – Póki jest życie, jest i nadzieja.

*

Cień zmierzchu okrył wzgórza Me–Ghir, a fioletowe światło księżyca sączyło się przez kraty, kreśląc dziwaczne odblaski wewnątrz pomieszczenia dla więźniów.

Gavor leżał wycieńczony na ohydnej stercie słomy, między Botrem, który wypoczywał w milczeniu, a innym więźniem, chrapiącym niezmordowanie. Pozostali więźniowie również pogrążeni byli w głębokim śnie. Niekiedy, ze spowitych mrokiem zakątków pomieszczenia unosiły się jęki i rzucone w półśnie przekleństwa, charczenia, donośne odgłosy niezdrowych trzewi. Ponury loch drżał niczym schwytane w sidła ogromne zwierzę.

Zdarte do krwi ręce Gavora paliły niczym ogień. Parę razy przeciągnął po nich językiem, żeby uśmierzyć ból, wreszcie ułożył się na boku i znieruchomiał, wyczekując na sen, który wymykał się niczym węgorz. Doskonale widział profil twarzy Botra, odcinający się w blasku księżyca.

– Śpisz?

– Jednym okiem – natychmiast odparł Botro.

– Co zrobiłeś z moim koniem?

– Hejże, chłopcze. To był stary fhomer, dychawiczny i z kiepskimi podkowami. Sprzedałem go za parę soldów...

– A mój amulet? Ten wisiorek, który miałem na szyi...

– O tym mówisz. Zdążyłem go ukryć z całym moim zawiniątkiem, nim te zbiry mnie dopadły.

– To dobrze – powiedział Gavor. – Koń i pieniądze nie obchodzą mnie wiele. Ale amulet chcę z powrotem. A teraz słuchaj uważnie, zbóju. Czy rzeczywiście w żaden sposób nie można ulotnić się z tych kamieniołomów?

W mrocznym pomieszczeniu zabrzmiał ostry, lecz przytłumiony śmiech Botra.

– Spokojnie, chłopcze. Jeszcze w południe nie było w tobie krzty nadziei. Nadchodzi wieczór, a ty, zamiast spać, zaczynasz marzyć z otwartymi oczami... Nie jest łatwo uciec, wielu już próbowało, ale wszyscy zginęli.

– Jakiś jednak sposób musi się znaleźć – nalegał Gavor.

– Mów ciszej – przestrzegał Botro. – Może i jest sposób, ale potrzeba cierpliwości i dużo poświęcenia.

wędrowni śpiewacy. Gracze w kości, ci najbardziej zatwardziali, usunęli się w cień i choć skryci pod straganami, nie przerwali swojej obsesyjnej gry.

Wnet zjawili się sprzedawcy jedwabi i brokatów, złotnicy, handlarze dywanami i tłum stręczycieli, wróżbitów, chłopaczków z piętnem zepsucia w oczach, bezczelne megiery, bezwstydne nierządnice, garbaci i karły, za parę soldów obnoszący swoje ułomności.

Taką była Górna Medina: gniazdo zepsucia i upadku, przyozdobione jaskrawymi barwami i otoczką zgiełkliwej muzyki.

Wreszcie na podest wszedł ponury typ, cały ubrany na czerwono i donośnym głosem obwieścił początek licytacji niewolnic.

Gavor zobaczył całą procesję szczupłych dziewcząt i otyłych piękności, zwiędłych już kobiet i ledwo co rozkwitłych młódek, egzotycznych istot skrytych za welonami i niechlujnych kobiet z twarzami wymalowanymi ołowianą bielą i bistrem. Niektóre miały oczy spuszczone, nieruchome, nieczułe na usilne starania pomocnic, które kuksańcami próbowały zmusić je, żeby się obracały, ukazując swoje wdzięki; inne niewolnice rozpaczliwie płakały, a jeszcze inne, weteranki tysiąca targów, pluły w tłum lub z upodobaniem prowokowały widzów bezwstydnymi gestami. A tłum, kłębiący się pod nimi, odpowiadał gromkim śmiechem, szyderstwami i drwinami.

A potem zaczęła się licytacja. Dziesięć sztuk srebra, dwie złote monety, pięć srebrnych, cztery srebrne i złoto... Co chwila stawki podbijano to z jednej, to z drugiej strony placu. Handlarze zajmujący należne im z przywileju miejsce w pobliżu podestu spoglądali na to obojętnie. Kiedy jednak pojawiły się cenniejsze niewolnice ożywili się również oni i zaczęli zapalczywie gestykulować.

Wspaniała dziewczyna o jasnych włosach została oszacowana na dziewięć złotych monet. Służący handlarza, który rzucił ostatnią, decydującą stawkę, wszedł na podest i przywiązał na ręce dziewczyny znak swojego pana. Trochę później za młodziutką dziewczynę o ciemnej cerze i jędrnych piersiach zapłacono piętnaście monet.

Gavor, stojąc na uboczu, ze wstrętem przyglądał się niezrozumiałym dla niego znakom, jakie handlarze dawali człowiekowi prowadzącemu licytację. Już od pewnego czasu odszukał wzrokiem ukrytego w tłumie starego Naguha oraz pozostałych nędzarzy, z którymi poprzedniego dnia w karczmie ustalił cały plan działania.

I oto, prowadzona przez dwie stare służące, pojawiła się drobna postać, skryta za różowym welonem. Gavorowi mocno zabiło serce. To była Duna, nie mogło być wątpliwości. Kiedy welon opadł, a rude włosy jego dziewczyny niczym płomień roziskrzyły się w zalewającym plac słońcu, z trudem powstrzymał desperacką chęć rzucenia się w stronę podestu.

– To ostatnia niewolnica wystawiana dziś na sprzedaż – dźwięcznym głosem zachwalał prowadzący licytację – Przyznacie, że jest niebywałej urody. Licytacja zaczyna się od piętnastu złotych monet. Kto da więcej?

Przeciągły szmer przeszedł po placu. Cena wywoławcza była niezwykle wysoka i handlarze trącali się nawzajem i gorączkowo radzili podejrzliwie na siebie zerkając.

– Szesnaście monet – krzyknął jakiś tłuścioch z gładkimi, rumianymi policzkami.

– Siedemnaście! – odpowiedział drugi, długi i chudy.

Wtedy właśnie stary Naguh zaczął działać. Uniósł ramiona i zaczął wykrzykiwać co sił w płucach.

– Wszyscy chyba powariowaliście! Ta dumna gęś, która mizdrzy się przed wami, nie jest żadną kobietą... to wcielone zło, sama istota podłości. Znam ją dobrze: to Duna, czarownica z lasów w Thune...

– Tak, my też ją znamy – podjęli dwaj nędzarze, stojący po przeciwnej stronie podestu. – To córka Łokisa, pastucha, czarownika jak i ona. Jeśli tylko zechce, może zmienić się w ropuchę lub nietoperza, żmije albo skorpiona.

– Dzieci zaklina w kamień – wybuchnął jeszcze inny.

A następny dodał:

– Rozsiewa nieszczęścia i w nicość przemienia wszystko, na co spojrzy.

Plac zawrzał. – Czarownica! – wrzeszczały kobiety, wyciągając w jej stronę zaciśnięte pięści. – Co za zuchwalec przywiódł ją na ten plac! Który głupiec miał czelność naruszyć spokój Górnej Mediny!

Człowiek prowadzący licytację bezskutecznie wymachiwał ramionami, próbując przekrzyczeć i u-

Starzec zmrużył oczy i znów zaczął gładzić brodę. Potem odwrócił się do grupy przyjaciół i przywołał ich ruchem ręki.

Jakby tylko na to czekali, w jednej chwili wszyscy stłoczyli się wokół stołu Gavora jak bezpańskie psy nad kością.

– Przyjaciel potrzebuje informacji – wyjaśnił stary Naguh. I zwrócił się do Gavora:

– Oni o wszystkim wiedzą, zawsze są tam, pod podestem, aż skręcają się z chętki i wzrokiem pożerają niewolnice. Nie opuścili ani jednego targu, znają wszystkie jego tajniki...

Jeden z nędzarzy zapytał, co Gavor chce wiedzieć.

– Przede wszystkim cenę. Ile kosztować może niewolnica?

– To zależy – uśmiechnął się nędzarz, pocierając dłonią kark.– Zależy od wieku, urody...

– ... i od charakteru – dodał stary Naguh. – Niewolnica może być nawet niezwykle piekna, ale jeśli kaprysi, rzuca się, ordynarnie zachowuje, cena spada. Czyżbyś zamierzał kupić sobie niewolnicę?

– Tak, ale obawiam się, że mam za mało pieniędzy – westchnął Gavor.

– Niewolnice mogą być różne – wtrącił inny, z nosem pokrytym krostami. – Zwykle licytacja zaczyna się od dwóch sztuk złota. Ale spór między kupującymi niekiedy przeciąga się, a cena może podskoczyć bardzo wysoko.

– Nawet do dwudziestu sztuk złota – zapewnił staruszek z wybałuszonymi i zaropiałymi oczami.

– Dwudziestu sztuk złota nie mam – westchnął zniechęcony Gavor.

– Więc weź tańszą – podpowiedział czwarty biedak, który dotychczas milczał. – Jeśli o to chodzi, wszystkie kobiety są takie same, w ciemności wszystkie są do siebie podobne.

Gavor zastanowił się chwilę. W jego zdesperowanej głowie zrodził sie śmiały, wręcz zuchwały zamysł i zaczął go szczegółowo przedstawiać.

– Słuchajcie, ludzie. Nie szukam pierwszej lepszej niewolnicy. Szukam mojej kobiety. Kobiety, którą miałem poślubić, a którą Thungusi porwali jak jakąś jałówkę...

– Czy mówisz o tej rudowłosej niewolnicy? – powiedział stary Naguh, unosząc palec do jego piersi.

– Właśnie tak. Rudowłosa i piękniejsza od słońca. Nie mam takiego złota, za które można by ją kupić, z pewnością nie za moje, bo jest tego za mało, ale i nie za złoto innych, które jest brudne i złe jak sama otchłań zła. Jutro, kiedy moja kobieta będzie już na podeście, wystawiona na zachłanne spojrzenia handlarzy, odbije ją mieczem i poćwiartuję każdego, kto zechce mi w tym przeszkodzić.

Powiedział to z desperacką zapalczywością i całe towarzystwo nędzarzy aż zerwało się struchlałe. Gavor dostrzegł, jak zadrżeli ze strachu, usłyszał ich trwożliwe skomlenie, drżące zastrzeżenia i powątpiewające uwagi. Nie odezwał się jednak żaden głos potępienia.

– Potrzebuje jednak waszej pomocy – zakończył Gavor. – Rozsupłał sakiewkę i wysypał na stół całą jej zawartość. – To złoto może zamienić wasze łachmany w jedwab i zapewnić wino na wszystkie wasze dni. Przy tym wcale nie musicie się narażać.

– Co mamy robić? – odezwał się Naguh w imieniu wszystkich.

Gavor zamówił sześć dzbanów wina. Odczekał, aż karczmarz oddali się do stołu graczy w kości i nakazał nędzarzom skupić się wokół niego, a oni zacieśnili się nad nim jak korona kwiatu, kiedy gaśnie światło dnia.

– Słuchajcie uważnie – szeptał Gavor – opowiem wam swój plan ze wszystkimi szczegółami.

*

W Górnej Medinie domy pozbawione były okien, żeby nikt nic nie mógł widzieć, ani słyszeć. W Górnej Medinie ludzie nudzili się: za dnia rozłożeni na matach w podcieniach dziedzińców, w cieniu, kołysani muzyką fletów, zatopieni w aromatycznej woni kadzideł. Późnym wieczorem, kiedy rześki podmuch wiatru omiatał ulice, opuszczali swoje domostwa i oblegali zaułki. Jedynie w dni targu, zwłaszcza zaś wtedy, gdy rychły początek nowej wędrówki księżyca po nieboskłonie obwieszczał, że czas rozpocząć licytację niewolnic, wszyscy zbiegali się jak jaszczurki. Zaniedbywali obrzędy w świątyniach i inne obowiązki, byle tylko nie opuścić widowiska, które od niepamiętnych czasów uważane było za wyjątkowe. Niektórzy zjawili się już o świcie, żeby zapewnić sobie najlepsze miejsce, przy samym podeście. Ci zaś, którzy przybyli zbyt późno, uciekali się do wszelkich sztuczek, chcąc znaleźć się jak najbliżej. Dla handlarzy wyznaczono odrębne miejsce, bez obawy mogli więc zjawić się w ostatniej chwili.

I oto na plac wystąpili linoskoczkowie i połykacze ognia, żonglerzy, sprzedawcy cukrowej waty i

Jutro rano pokaż ręce dowódcy straży. Powiedz mu, że pewien czas nie będziesz mógł pracować kilofem i niech cię wyśle na dół, do ładowania kamieni. Spróbuj znaleźć się w pobliżu mnie, byśmy mogli porozmawiać. Tutaj nie jest bezpiecznie, lepiej nie odzywaj się już do mnie. Zbyt wiele uszu. I pamiętaj – póki jest życie, jest i nadzieja.

*

Nastepnego dnia pracę zakłócił wściekły wiatr, dmący z wrzosowisk Shillpan. Gavor, za radą Botra, przekonał dowódcę straży, żeby przydzielił mu pracę niżej, na placyku, gdzie zatrzymywały się wozy z oczekiwaniu na załadunek. Znalazł się w pobliżu Botra, ale przez pierwsze pół dnia pracy nie zdołał zamienić z nim ani jednego słowa – niedaleko, tak ustawiony, żeby wiatr niósł nawet szepty, znalazł się Jednooki.

Kiedy w południe zagrzmiał sygnał przerwy, skazańcy odebrali swoje suchary i pobiegli schronić się za zachodnim nawisem skalnym, gdzie wiatr był słabszy. Jednooki pozostał w tyle, niezbyt szybko odebrał swoją rację i kiedy znalazł się pod osłoną skały, musiał zadowolić się miejscem na samym skraju, wystarczająco daleko od Botra i Gavora.

– To podły szpieg – powiedział szeptem Gavor. I w paru słowach streścił, jak to z winy Jednookiego nieszczęsny Zobra, zamiast cieszyć się wolnością, skończył na dnie rzeki, przeszyty dwoma strzałami.

– Tutaj, w Me-Ghir – skomentował Botro – donosicieli czeka krótki żywot. By zamknąć im raz na zawsze usta, zawsze znajdzie się jakiś drąg, który w odpowiednim momencie wysunie się z rąk, lub głaz, który bez uprzedzenia stoczy się w dół... Rozumiesz, chłopcze? Ale w miejsce jednego zabitego z miejsca znajduje się dziesięciu gotowych, żeby go zastąpić. Wszystko przez ten głód. Tutaj niemal każdy za garść pożywienia gotów byłby zabić własną matkę. Ja nie dowierzam nikomu...

– Mnie jednak zawierzyłeś, jak mi się zdaje – ironicznie zauważył Gavor.

– Ale tylko dlatego, że nie zdążyłeś jeszcze zgłodnieć. Za dwa miesiące i ty będziesz wyglądał jak pozostali.

– Chcę uciec stąd szybciej – uciął Gavor. – Wieczorem dałeś mi do zrozumienia, że masz jakiś plan ucieczki. Posłuchajmy wiec, co to takiego.

Botro rozejrzał się uważnie i nieufnie. Potem pochylił się do ucha Gavora i wyszeptał:

– Przede wszystkim, jak już powiedziałem, musisz być cierpliwy. Kamieniołomy znajdują się w środku rejonu pustynnego, ponad pięćdziesiąt mil od jego skraju. Znaczy to, że, będąc tak słabi i wygłodzeni, uciekać możemy tylko wtedy, kiedy będziemy mieć zapas pożywienia. Ja odłożyłem już osiem sucharów, ty musisz zrobić to samo i każdego dnia coś odkładać...

– Rozumiem – zgodził się Gavor – Czy masz pewne miejsce, żeby je ukryć?

Botro pośpiesznie skinął głową.

– Słuchaj mnie dobrze – ciągnął. – Do granicy okręgu Shillpan jest prawie sto mil. Jednak kiedyś, sto lat temu, granica przechodziła właśnie tędy, szczytem tych wzgórz. Odkryłem przejście, podziemny chodnik, którym zapewne przemytnicy dostarczali swój towar. Wejście ukryte jest pod kępą krzewów. Sam tunel jest długi na jakieś dwieście łokci, taki komin, który przechodzi niczym kiszka w brzuchu wzgórza. Ale wyjście zastawione jest blokiem skalnym, przeraźliwie ciężkim i grubym...

– Potrzebny jest drąg, żeby go ruszyć – podpowiedział podniecony Gavor.

– Już jest, wyniosłem go i ukryłem. Sam drąg jednak nie wystarczy. Potrzebne są silne ramiona, takie jak twoje, rozumiesz?

Było jeszcze tysiąc innych rzeczy, które Gavor chciał wiedzieć, ale w tej właśnie chwili strażnik trzykrotnie zadął w róg, dając skazańcom znak do podjęcia pracy. Później, w krótkich przerwach między jednym wozem odjeżdżającym z ładunkiem a drugim, który dopiero nadjeżdżał, próbował dalej pytać Botra. Rabuś pozostał jednak głuchy na wszystkie jego zabiegi.

Nadszedł wieczór, a z nim odrażająca zupa, w której pływały dziwne kawałki mięsa, z pewnością z żab, szczurów i pokrajanych w kawałki węży. W ciemności pomieszczenia jakiś skazaniec zaczął wyć, inny płakać, jeszcze inny kląć. Słychać było szczęk łańcuchów, niby dzwonki karawany, głuche odgłosy, ciężkie westchnienia, z pewnością spowodowane razami. A potem, już w ciszy, ciężki chór oddechów ludzi złamanych wysiłkiem i żądnych snu.

Gavor wyciągnął wolną rękę w kierunku Botra. Chciał wiedzieć coś więcej o tajemnym przejściu, ciągnącym się pod wzgórzem. Dwa czy trzy razy dotknął jego ramienia, zachęcając do odwrócenia się. Botro zamiast odpowiedzi ciężko chrząknął i odwrócił się na drugi bok.

*

W następnych dniach rozpogodziło się. Kamieniołomy rozciągały się po południowej stronie wzgórz i promienie słońca oblewały je od świtu do zmierzchu, na nieszczęście dla skazańców, którzy w piekielnym upale musieli pracować z krótkimi tylko przerwami.

Raz jeszcze Gavor przekonał się, dlaczego Me-Ghir zyskało sławę miejsca bez powrotu. Najsilniejszy nawet mężczyzna nie był w stanie długo wytrzymać przy takim niedostatku pożywienia i w podobnym upodleniu. Zginiemy wszyscy nim przyjdzie lato, wcześniej jednak zastąpią nas inni i koło dziejów będzie mogło obracać się w nieskończoność, ku chwale władców, którzy do dna wysysają nasze żywoty.

Roślinność na wzgórzach stała się bardziej bujna i tworzyła prawdziwe oazy zielonego cienia. Skazańcy zerkali w tamtych kierunkach, lecz czujna obecność strażników na wyżej położonych występach skalnych powstrzymywała każdego, kto miał odwagę zamarzyć o chwili wytchnienia w orzeźwiającym chłodzie.

Pewnego dnia Botro z głośnym przekleństwem odrzucił kilof i spuścił spodnie na samym środku drogi. Strażnicy wybuchneli śmiechem. Ryknęli śmiechem również skazańcy, niektórzy poszli nawet w ślady Botra. Już dziesięciu, a może i piętnastu przykucnęło w pełnym słońcu z zamiarem zaspokojenia własnej potrzeby. Gromki śmiech strażników zmieszał się z odgłosami towarzyszącymi tej zaimprowizowanej scenie i ordynarnymi uwagami przyglądających się współtowarzyszy.

Ten rodzaj zawieszenia broni między ofiarami a oprawcami trwał tylko chwilę. Ale wystarczyło to, żeby Gavor zniknął niezauważony. Błyskawicznie zsunął się pod skałę i stoczył w dół zacienionym żlebem, wśród niskich krzewów sumaka.

Botro dokładnie objaśnił mu, jak znaleźć wejście do podziemnego korytarza. Z pewnym trudem utorował sobie drogę przez zagradzające wejście krzewy i po omacku zagłębił się w długą kiszkę, prowadzącą w poprzek zbocza.

Botro nie nabrał go. On też ocenił długość chodnika na jakieś dwieście łokci. Gavor przebiegł go kierowany słabym światłem dochodzącym z głębi.

W końcowym odcinku wąski korytarz rozszerzał się, tworząc niewielką grotę o łukowatym sklepieniu. Blok tarasujący wyjście był ogromny, nieznacznie już przesunięty, nie na tyle jednak, żeby umożliwić przeciśnięcie się. W jednym rogu dojrzał dwa ludzkie szkielety; jeden leżący na brzuchu, drugi siedzący w groteskowej pozie, wsparty żebrami o ścianę. W oczodołach zagnieździły się karaluchy i skorpiony.

Drąg, który przemycił Botro, leżał na ziemi, nie opodal szkieletów. Gavor spróbował podważyć blok skalny i po paru próbach zrozumiał, że sobie z nim poradzi, rzecz jasna z pomocą Botra. Z emocji serce waliło jak opętane.

Wrócił. Kiedy wyszedł z korytarza, ostrożnie wspiął się wzdłuż żlebu, uważając, żeby żaden ze strażników nie obserwował miejsca, z którego się wynurza. Doszły do niego chaotyczne krzyki, stłumione nawoływania i przekleństwa. Już ze swojego miejsca zauważył dziwne poruszenie. Nikt nie pracował, a strażnicy i więźniowie spoglądali w dół, w stronę placyku, na który zajeżdżały wozy.

W pobliżu pierwszego wozu zebrał się tłum. Kiedy ludzie rozeszli się, Gavor zobaczył leżącego na ziemi Jednookiego, z rozrzuconymi ramionami i strzaskaną czaszką. Potem dostrzegł w górze Botra, który rzucił mu porozumiewawcze spojrzenie.

– Musiałem to zrobić – powiedział rabuś, kiedy po zachodzie słońca zbliżył się do niego ze swoją miską.

Siedzieli na stercie kamieni, nieco na uboczu, tyle tylko, żeby móc spokojnie porozmawiać, bez podejrzliwych spojrzeń innych więźniów.

– Musiałem to zrobić – powtórzył Botro. – Ten śmieć spostrzegł, że się oddaliłeś i chciał powiadomić strażników. Wziąłem więc kamień i...

Oberżystka wzięła drugą monetę i podniosła się gwałtownie, chcąc odejść, lecz Gavor schwycił ją za nadgarstek.

– Gdzie go szukać?

– Kogo?

– Starego Fallaha. Gdzie mieszka?

– Za świątynią Bhalivy, bogini nowożeńców. Ale uważaj, chłopcze. Stary Fallah z nikim nie rozmawia, trzyma dziesięciu zbrojnych i sforę psów dzikszych od hien.

Świątynia Bhalivy wznosiła się po przeciwnej stronie miasta, otaczały ją bliźniaczo podobne domy bez okien chronione niemożliwymi do sforsowania murami. Bez trudu odnalazł dom handlarza niewolnicami: był większy i lepiej od pozostałych strzeżony, przed nimi zaś rozciągał się rozległy ogród z palmami i mnóstwem nieznanych mu roślin. Ciemna brama odcinała się od bieli muru otaczającego dom: wrota zdawały się masywne, z pewnością wytrzymałyby nawet uderzenia tarana

Gavor odczekał chwilę bez ruchu, skryty w cieniu. Po przeciwnej stronie muru słyszał ujadanie psów z pewnością puszczonych wolno po ogrodzie oraz ostre i gardłowe głosy zmieniających się strażników. Z głębi dziedzińców dochodziła melodia łudząco podobna do dźwięków tablā, lecz bardziej jeszcze słodka i do omdlenia melancholijna, jak przesadnie tkliwa kołysanka.

Próba dostania się do środka byłaby bezsensowna. Nie po to jednak znalazł się tutaj, żeby dać się omamić absurdalnym złudzeniom. Przemknął tylko wokół murów, wiedząc, że Duna jest tam, w środku, czując w jakiś sposób jej bliskość i choć domyślał się jej rozpaczy, musiało mu to wystarczyć.

Jakiś cień otarł się o mur i zatrzymał u jego boku. Gavor oparł rękę na mieczu.

– Spokojnie, przyjacielu. Jestem biednym starcem i pragnę jedynie łyknąć nieco wina. Szynkarz wyrzucił mnie, bo za dużo mówię i naprzykrzam się gościom...

– Czego chcesz ode mnie?

– Odprowadź mnie tylko. Jesteś duży i silny, dobrze ubrany i nosisz miecz. Jeśli wejdziemy razem, szynkarz nie będzie mógł nic powiedzieć. Aż mnie pali z pragnienia.

– Gdzie ta knajpa?

– Tu, za rogiem. Wino mają tam świetne, a miejsce jest spokojne.

Może była to pułapka, ale Gavor nie tracił czasu na zastanawianie się. Przez cały dzień popijał syropy i jabłecznik. Starzec wspomniał o winie, niemal nie istniejącym w Górnej Medinie i jego też naszła nieprzezwyciężona chęć wypicia dzbana.

– Ruszaj przodem – nakazał Gavor – ale uważaj: żadnych kawałów, bo cię podziurawię.

Karczma okazała się brudnym i cuchnącym miejscem, z nisko zawieszonym czarnym sufitem, murami oblepionymi ogromnymi zielonkawymi plamami.

– Przyprowadziłem przyjaciela – powiedział starzec, zwracając się do karczmarza. – Zna się na winach, więc przynieś najlepsze, jakie masz w piwnicy.

Karczmarz obsłużył ich w milczeniu i z powrotem przykucnął na swoim stołku, za grupką niechlujnie wyglądających graczy w kości.

Czterech obdarciuchów siedziało w kącie i popijając ze wspólnego dzbana zazdrośnie spoglądali w stronę Gavora i jego towarzysza.

– Moi przyjaciele – odezwał się znów starzec. – Sami nędzarze, jak i ja.

I zaczął opowiadać, jak ciężkie jest życie w Górnej Medinie, zwłaszcza dla starców.

– Jest to miasto podejrzanych i ciemnych interesów, oszustów i zapamiętałych graczy. Handluje się tutaj kradzionym towarem, spleśniałym ziarnem, bydłem zagrabionym w pobliskich regionach. Kiedy nogi nasze były jeszcze szybkie, a ręce zwinne, też mieliśmy z czego żyć i to bez kłopotu. Ale teraz... teraz musimy wykonywać najpodlejsze polecenia, uciekać się do najróżniejszych oszustw, albo...

– Albo naciągać takich głupców jak ja – dokończył Gavor, lecz bez złośliwości.

Starzec uśmiechnął się. Wygładził żółtawą brodę i wolał zmienić temat.

– Co robisz w Medinie? – zapytał od niechcenia. I ponieważ Gavor wzruszył jedynie ramionami, nieskory do zwierzeń, dodał:

– Na milę widać, że jesteś w kłopotach. Może stary Naguh zdoła coś dla ciebie zrobić?

– Pij i siedź cicho – odparł Gavor. – Albo powiedz mi jedną rzecz: jak wygląda targ niewolnic?

– Z pewnością nie dla siebie – uśmiechnął się Gavor. Ale mógłbym znaleźć się tutaj z czyjegoś polecenia.

Pod rozwiązanym kaftanem widać było oznaki Hosplunda. Starucha rzuciła jedno spojrzenie na znak wilka stojącego na tylnych łapach i nic nie odrzekła. Gavor łyknął jabłecznika i oddalił się pieszo, trzymając konia za wodze.

Włóczył się po ulicach Górnej Mediny aż do zmierzchu. Na rogach ulic zapalano pierwsze pochodnie, ludzie wychodzili z domów przyodziani w przewiewne, jaskrawe szmaty, pokazały się dziewczęta o ciemnej karnacji i dużych, czarnych jak noc oczach, ludzie nadęci niczym przepełnione worki z długimi cienkimi wąsami, zakręconymi niczym mysie ogony, i dzieci, wszystkie w świątecznych szatach, z terkoczącymi kołatkami i rozpalonymi purpurą chorągiewkami.

Wkrótce całe miasto rozgorzało mnóstwem dźwięków i okrzyków, a wielobarwne wiatraczki ożywiły nawet najciemniejsze zaułki. Nad całym tym zgiełkiem unosiła się muzyka fletów. Dochodziła ona z centralnego placu jak i z wewnętrznych dziedzińców pozbawionych okien domów.

Nad wejściem do jednej z gospód falował unoszony lekkim pustynnym wietrzykiem długi jedwabny wąż. Gavor uwiązał konia i wszedł do środka.

Usiadł w rogu i bez większego apetytu jadł ryżowy placek i drobne miodowniki, które wraz z karafką żółtego syropu postawił przed nim karczmarz, ceremonialnie zginając się wpół.

Większość gości stanowili kupcy. Można ich było rozróżnić po wyszukanych gestach, z jakimi zamawiali potrawy i zabierali się do nich. Często odsuwali talerze z udawanym wstrętem, każąc z większą troską przygotować zamówione potrawy. Wszyscy mieli ciężkie sakiewki i kiedy młode oberżystki z pełnymi talerzami pochylały się nad stołami, energicznie nimi potrząsali, żeby głośno rozbrzmiał srebrny dźwięk monet. A ich tłuste, ciężkie od pierścieni łapy obmacywały dziewczyny bez umiaru, wślizgując się nawet pod spódnice i za głębokie dekolty oberżystek, które krótkimi okrzykami udawały płochliwość.

– Słuchaj – powiedział Gavor, łapiąc jedną z dziewczyn za ramię i zmuszając ją, żeby usiadła. – Przyjechałem do Mediny na targ niewolnic.

Dziewczyna gwałtownym ruchem odrzuciła w tył gęste, ciemne włosy i wybuchnęła śmiechem.

– I co z tego? W niczym nie różnisz się od innych. Chcesz kupić niewolnicę? Każdy przyjechał tutaj po niewolnice, wielu jednak nie może sobie na to pozwolić. A skoro nie mogą, chcą za parę soldów zabawić się z nami...

– Poczekaj – nalegał Gavor. I wsunął jej w dłoń srebrną monetę.

– Schlebiasz mi, cudzoziemcze. Jeszcze nikt tyle za mnie nie zapłacił.

– Nie ciebie chcę – zasyczał Gavor. – Chcę jedynie informacji. Chcę wiedzieć, czy wśród niewolnic, które jutro zostaną wystawione na sprzedaż, jest też dziewczyna z rudymi włosami.

– Jak mogłabym to wiedzieć? – odparła dziewczyna. – Każdego miesiąca odbywa się targ i tutaj, do Mediny, zostają zwiezione niewolnice z całego regionu. Nikt nie może ich widzieć, nim nie zostaną pokazane na licytacji.

– Tak, ale wy, tutejsze, o wszystkim możecie wiedzieć wcześniej – nie dawał za wygraną Gavor.

– Ruda, mówisz! Nic nie wiem, ale...

– Ale... Mów dalej.

– Nie pamiętam dobrze, może druga moneta przywróci mi pamięć.

– Mów, a dostaniesz ją – warknął Gavor z zaciśniętymi zębami.

Dziewczyna rozejrzała się, udając ostrożność jak ktoś, kto zamierza wyjawić bóg wie jaką tajemnicę. Jednocześnie niecierpliwymi gestami uspokajała kupców, którzy wymachiwali rękoma, przywołując ją do swojego stołu.

– Mogę powiedzieć ci tylko to, co słyszałam... Tak, zdaje się, że wśród niewolnic jest jedna z rudymi włosami, piękna pastereczka, którą Thungusi przywlekli tutaj pięć czy sześć dni temu po wypadzie na ziemie leżące za czarnymi wzgórzami.

– U kogo ją zostawili? – chciał wiedzieć Gavor i potrząsał przy tym sakiewką zawieszoną przy pasie.

– U starego Fallaha, przynajmniej tak mówią. Zazwyczaj to on rozmawia z Thungusami.

– Pokój jego duszy – krótko uciął Gavor. – Przyjrzałem się korytarzowi i spróbowałem przesunąć głaz. Może uporałbym się z nim sam, ale z twoją pomocą rzecz będzie pewna, bez trudu otworzymy sobie wyjście.

– Dobrze – wymamrotał Botro, zanurzając usta w misce.

– Kiedy odlatujemy? – zapytał Gavor.

– Cierpliwości, chłopcze. Już ci mówiłem.

– Tak, ale na co czekamy?

– Na burzę. Przyda nam się nagła ulewa, z grzmotami i piorunami. Wówczas strażnik stojący na szczycie opuści swoje miejsce, żeby się schronić, i nikt nie zwróci na nas uwagi. A poza tym chodzi o skałę, która tarasuje wyjście. Kiedy zepchniemy ją, stoczy się w dolinę po drugiej stronie, z hukiem jak trzęsienie ziemi. Rozumiesz więc, dlaczego musimy poczekać na burzę?

– Rozumiem. Chcesz mieć pewność, że ten hałas stopi się z grzmotami i szumem deszczu...

– Właśnie tak. Pilnuj się mnie, a kiedy pogoda będzie niepewna, bądź w pobliżu. Może za miesiąc, a może jutro, kto może wiedzieć. Niechaj bogowie deszczu nas wspierają.

Rozdział XV

Utrzymywała się piękna pogoda i Gavor zaczął już wpadać w rozpacz. Czuł, że z dnia na dzień siły opuszczają go coraz bardziej.

Botro, zatwardziały zbój, który poznał już tysiąc więzień i lochów, kiedy tylko mógł podnosił go na duchu, roztaczając przed nim obraz uczty, jaką sobie wyprawią już na wolności i w bezpiecznym miejscu.

Strażnicy na szczycie wzgórza urządzili sobie schronienie z gałęzi. Popijali wino i źródlaną wodę, leniwie zajadali owoce i siedząc w cieniu od niechcenia nadzorowali przebieg prac.

– Tutaj nigdy nie będzie padać – klął Gavor, zrozpaczony długim wyczekiwaniem.

Botro uśmiechał się jedynie.

– Już wkrótce spadnie z nieba tyle wody, że niemal się potopimy. Bądź czujny, chłopcze. Jeden fałszywy krok i możemy skończyć w gównie.

Tymczasem najstarsi i najsłabsi marli jak muchy. Niektórzy spadali nagle ze zbocza wzgórza, inni kładli się na ziemi i tak zostawali, nieczuli na gwałtowne nawoływania strażników, gotowi raczej dać się zatłuc na śmierć, niż powrócić do pracy. Wtedy nadzorcy ściągali ich w dół, w pobliże magazynu i tam zostawiali, bez wody i bez pożywienia. Umierali, nim zapadł zmierzch, bez jęku protestu. Inni jeszcze umierali we śnie, nocą, z wycieńczenia, jakie długo się w nich gromadziło.

– Tutaj nigdy nie będzie padać – złorzeczył Gavor.

Lecz dzień potopu wreszcie nadszedł, tak jak przewidział Botro. Najpierw spadły na nich ostre porywy wiatru, czarne i ciężkie chmury, szybkie jak sokoły, nadciągnęły tuż nad kamieniołomy. W oddali przeciął niebo piorun, za nim dalsze, coraz groźniejsze, i naraz na wzgórza spadł rzęsisty deszcz, zalewając w mgnieniu oka cały płaskowyż i wszystkie ścieżki.

Więźniowie pobiegli skryć się za wozami. Wiatr rozrzucił nikłe osłony strażników, zmuszając ich do szybkiego opuszczenia zajmowanych miejsc. Dla Botra i Gavora było już bagatelką zjechać po żlebie z przeciwnej strony, podczas gdy huk grzmotu zagłuszył wszelkie odgłosy i nawoływania.

Kiedy znaleźli się w podziemnym korytarzu, Botro wydostał spod ziemi płócienne zawiniątko. Znajdowały się w nim suchary, skrzętnie zbierane przez wszystkie dni męczącego wyczekiwania.

Szybko przemierzyli chodnik, pokrzykując radośnie niby dzieci, ale na jego końcu Botro zrobił się poważny. Zaniepokojony, zmierzył wzrokiem ogromny głaz i powiedział:

– Odwagi, przyjacielu. To rzecz w sam raz na twoje muskuły.

Gavor schwycił drąg i zaparł się z całej siły. Głaz ani drgnął. Spróbował powtórnie, bezskutecznie.

– Na bogów – wyjąkał ogarnięty paniką. – Przecież się poruszył. Przysięgam ci, że poprzednim razem zdołałem go trochę poruszyć.

– Uspokój się – nakazał Botro. – Odpocznij nieco i zbierz siły.

W półmroku groty Botro rozejrzał się, szukając czegoś. Wziął do ręki czaszkę i zważył ją w dłoni. Zirytowany, odrzucił. Wreszcie znalazł odpowiedni kamień i umieścił go u podstawy bloku skalnego, tak

żeby drąg wywrzeć mógł większą siłę. Natychmiast też oparł się o ramiona Gavora i skoczył ze złączonymi nogami na ten prosty przyrząd.

– Odwagi, chłopcze, pomyśl o wolności i daj z siebie wszystko.

Wstrzymując oddech, Gavor naparł na drąg z desperacką siłą. Kamień umieszczony jako podpora zaskrzypiał, jakby chciał się rozsypać, ale głaz drgnął, zachwiał się. Ze zręcznością linoskoczka Botro, stojąc na drągu, zdołał przesunąć się o dłoń w stronę jego końca. Jeszcze jeden wspólny wysiłek i ogromny blok skalny z potężnym łoskotem stoczył się po zboczu wzgórza.

Rzucili się w dół po stoku, co rusz potykając się i staczając. Woda lała się strugami, wzbijając bryzgi czerwonawego błota. Botro biegł pierwszy, nie zatrzymując się nawet na chwilę, kierowany niezawodnym instynktem, który zawsze pchał go we właściwym kierunku. Gavor deptał mu niemal po piętach, zdyszany i z trudem wytrzymujący szaleńczy pęd ucieczki.

Po godzinie Botro zatrzymał się, dysząc ciężko. Pochylił się i zwymiotował zielonkawą pianą.

– Mieliśmy szczęście – powiedział Botro. – Burza rozszalała się w najbardziej odpowiednim momencie, po południowym posiłku. Dopiero wieczorem spostrzegą naszą ucieczkę, a z nastaniem zmroku trudno im będzie rozpocząć poszukiwania. Udało się nam, chłopcze. Przed nami sześć godzin dnia, i przez te sześć godzin zmierzać będziemy naprzód, z krótkimi przerwami na niewielki posiłek. Musimy odejść stąd jak tylko zdołamy najdalej.

– W jakim kierunku idziemy? – chciał wiedzieć Gavor.

– Na razie na północ. Potem wykręcimy na wschód, aż do granic Shillpan. A potem na południe, wzdłuż granicy...

– To jakieś błędne koło – zauważył Gavor.

– Wcale nie – zapewnił rabuś. – Kiedy moja banda rozpadła się, zakopałem moją zdobycz sto mil od kamieniołomów w Me-Ghir, ale by tam się dostać, musimy obejść je w pewnej odległości, przemierzając dzikie i pustynne okolice. W razie czego w każdej chwili będziemy mogli przekroczyć granicę i skryć się na terytorium Shillpan.

Słuszność jego planu była oczywista i nic nie można było mu zarzucić.

– Zgoda – powiedział Gavor. – Chcę tylko odzyskać mój amulet. Zaprowadź mnie tam, gdzie go zakopałeś, a zapewniam cię, że będę wdzięczny do końca życia.

*

Ukryty w listowiu słowik śpiewał żałośnie, zwiastując świt. Gavor gwałtownie przebudził się ze snu pełnego nierealnych i groteskowych istot, które dręczyły go przez całą noc, nie pozwalając na chwilę wytchnienia. Opuścił naprędce przygotowane legowisko z gałęzi i liści, zrywając się na równe nogi, jakby zawisło nad nim nagłe niebezpieczeństwo.

Różowe światło sączyło się przez wysokie pędy robinii. Botro spał jeszcze, skulony niczym kot. Gavor zbudził go, trącając nogą w bok.

– Jestem głodny – powiedział. – Daj mi suchara.

Botro przetarł oczy.

– Później – odpowiedział ziewając. – Czeka nas długa droga, musimy oszczędzać nasze zapasy.

Podążali przed siebie cały dzień, przemierzając dębowe i brzozowe lasy, trawiaste równiny, i znów lasy, ponure pustkowia, wrzosowiska. Następnego dnia spostrzegli w oddali stado owiec. Botro skrzywił się, zaniepokojony.

– Odtąd będziemy musieli unikać otwartych przestrzeni – powiedział. – Owczarze też mogą okazać się podstępni. Żeby uniknąć przykrych spotkań, przez jakiś czas będziemy się poruszać lasami, nawet jeżeli trzeba będzie nadłożyć drogi.

O zmierzchu dotarli nad brzeg strumyka, zmienionego przez ostatnie deszcze w rwący potok. Woda wylała się z naturalnego koryta, tworząc w zagłębieniach niewielkie bajora.

– Mamy ryby! – wykrzyknął Botro, tocząc wokół bacznym spojrzeniem człowieka przywykłego do odludnego życia.

Pochylony, zaczął brodzić w bajorku długim na osiem łokci, namawiając Gavora, żeby poszedł w jego ślady. Ryby były już otępiałe i bez trudu można je było chwytać rękoma.

– Kto przejął jego miejsce?

– Jego przyboczny, Griva.

– Prowadźcie mnie do niego. Muszę z nim mówić.

Griva nie wyglądał dobrze: rękę miał obandażowaną, nogę nabrzmiałą i bezwładną.

– Przybywam w imieniu Meklùra – oznajmił Gavor, ledwo znalazł się sam na sam z Grivą.

Griva nie okazał nawet cienia zdumienia.

– Nie musisz mówić więcej – powiedział spokojnym głosem. – Posłaniec Kroneba zdążył nas już powiadomić, a zresztą nie było takiej potrzeby: od dawna Grumak i ja domyślaliśmy się twojego związku z białym księżycem.

Gavor uśmiechnął się. Zerknął na ramię i nogę Grivy i spytał:

– Ilu was zostało?

– Dwudziestu pięciu, tutaj w zamku. I drugie tyle rozstawionych w wysuniętych punktach regionu. Tym razem Thungusi podeszli nas sprytem. Udali, że atakują od południa, a my jak stado baranów polecieliśmy tam, gdzie Bha-Gur wydawało się najłatwiejsze do sforsowania. A oni uderzyli bezpośrednio na Thune, które zostało bez obrońców.

– A oddziały w Górnej Medinie! Też zostały rozbite?

Griva potrząsnął głową.

– Nie. Najemnicy z Górnej Mediny porozumieli się tym razem z Thungusami. Przepuścili ich, nie wiadomo co otrzymując w zamian.

– Przeklęci! – zaklął Gavor zaciskając zęby. – Bądź jednak pewien, że srogo za to zapłacą. Wyruszam teraz do Mediny. Muszę odzyskać moją kobietę, a gdy księżyc rozpocznie nową wędrówkę, będę z powrotem w Bhakrze, żeby dopełnić wielkiej rewolty. Ilu z twoich jest po naszej stronie?

– Prawie połowa, choć niewiele rozumieją. Powiedz lepiej, jaki los zgotujemy Nurko?

– Nurko?

– Tak, syn Khavla. Przeżył rzeź, ale wielu z naszych chciałoby go zabić, choćby za okrucieństwa jego ojca.

– To jeszcze dziecko – westchnął Gavor. – Opowiedzcie mu o białym księżycu i opiekujcie się nim.

Rozdział XXIII

Oglądana z daleka i pod palącymi promieniami słońca Górna Medina wyglądała jak ogromny, wypalony szkielet w samym sercu pustyni. Rząd białych domów z rozłożystymi tarasami i oślepiająco białymi, pozbawionymi okien murami, gdzieniegdzie przerywany był rzucającymi głębokie cienie kolumnadami i ogromnymi palmami.

Gavor napoił konia przy wodotrysku na głównym placu. Była pora sjesty i plac opustoszał. Sprzedawcy siedzieli znużeni w cieniu rozpostartych markiz, niektórzy grali w karty, inni leniwie przewracali zakamarki koszul, wydłubując pchły i przepędzając insekty, które w tej skwarnej godzinie cięły ze zdwojoną energią.

Panowała niemal absolutna cisza. Słychać było jedynie potrząsane w kubku kości, brzęczenie much i stłumione przekleństwa znudzonych graczy.

Gavor uwiązał konia do prętów wodotrysku i zanurzył głowę w wodzie. Przez chwilę zabawiał się jak dziecko.

Obok przechodził starzec wspierający się na sękatym kiju, okryty łachmanami.

– Kiedy zacznie się targ niewolnic? – zapytał Gavor.

Dziad rozdrapał sobie kark i zaczął bełkotać tak bezładnie, że Gavor wolał dać mu spokój.

Nieco później powtórzył pytanie jakiejś starej megierze, która sprzedawała wino z jabłek.

– Targ niewolnic? Licytacja ma się odbyć jutro późnym rankiem.

– Gdzie?

– Tutaj, na tym placu, jak zawsze – uściśliła starucha. Zmarszczyła czoło i utkwiła w nim wzrok pełen niedowierzania i podejrzliwości.

– Jesteś młody i przystojny – powiedziała. – Chcesz, żebym uwierzyła, że przybyłeś do Mediny kupić sobie niewolnicę?

– Jak okrutny jest mój los! – westchnął z żalem. – Walczyłem z Thungusami całe dwa miesiące, żeby utrzymać ich z dala od Shillpan. Byłoby lepiej ulec im i pozwolić, żeby złupili ziemie Hosplunda. Jakiż byłem głupi i ślepy! Opierałem się im, nieświadomy, że tym samym zgotowałem śmierć swoim bliskim. Powiedz mi, dlaczego Thune padła nie próbując się bronić? Gdzie były straże Khavla?

– Thungusi są jak szakale, sprytniejsi od pustynnych lisów. Udali, że atakują od południa i Khavlo wyruszył z głównymi siłami w stronę granic Górnej Mediny, tam zresztą wpadł w zasadzkę i dosięgnęła go śmierć. Wioska i zamek zostały bezbronne. Pozostał jedynie Grumak z garstką obrońców. Wszyscy padli. Kapitan miał jedną strzałę w plecach, drugą w łydce, lecz nim padł, zdołał pozbawić życia dobry tuzin tych dzikusów. A potem, kiedy zdawało się, że na nas wszystkich przyszedł kres, Thungusi nagle odeszli.

– Zawsze tak robią – potwierdził Gavor. – To ich taktyka: uderzają znienacka i znienacka wycofują się. Powiedz mi teraz, co z Duną.

Sjebe wymknął się gest znużenia.

– Już ci mówiłem: Duna żyje, nie zrobili jej najmniejszej krzywdy. Powiedziałem ci też, dlaczego. Thungusi są przesądni. Nigdy, ale to nigdy nie mogliby dotknąć, ani tym bardziej zabić kobiety z rudymi włosami. Są przekonani, że sprowadziliby na siebie tysiące nieszczęść. Oszczędzili ją więc, ale zabrali ze sobą, by ją sprzedać handlarzom niewolników na targu w Górnej Medinie. Tak utrzymuje twój brat Thurno, który słyszał jak wspomnieli o tym, nim wyruszyli...

– Obudź go! – powiedział Gavor wskazując głową na siennik, na którym leżał Thurno. – Chcę usłyszeć to od niego.

– Twój brat żyje jeszcze koszmarem tego, co widział. Wiele dni będzie musiało upłynąć, nim powróci mu mowa. Pozwól mu wypoczywać, Gavor. I zaufaj moim słowom.

Przez chwilę Gavor trwał w milczeniu, po czym spojrzał przyjacielowi prosto w oczy.

– Dbaj o niego – powiedział. – Ja ruszam do Górnej Mediny.

– Teraz?

– Tak, ruszam natychmiast.

– Jesteś szalony – wykrzyknął zaniepokojony Sjebe. – Jest środek nocy, a droga długa i pełna zasadzek.

– Ruszam natychmiast – powiedział Gavor.

Sjebe uniósł się gwałtownie i szybko przesunął do wyjścia z chaty, przesłaniając je całym swoim ciałem.

– Żeby wyjść, będziesz musiał najpierw mnie zabić.

Gavor patrzył na niego otępiałym wzrokiem.

– Jesteś wycieńczony – ciągnął Sjebe. – O twoim stanie ducha lepiej nie mówić, a twój organizm jest u kresu wytrzymałości. Potrzebujesz wypoczynku, Gavor.

Być może Sjebe mówił rozsądnie. Jeśli dobrze się zastanowić, nie było celu gnać do Górnej Mediny: jeśli Thungusi sprzedali Dunę handlarzom niewolników, ci wystawią ją na sprzedaż dopiero wtedy, kiedy księżyc wejdzie w ostatnią kwadrę, zgodnie z dawnym obyczajem. Miał więc trzy lub cztery dni na dotarcie do miasta i odzyskanie dziewczyny: w sakiewce chował siedem złotych monet, a jeśli złota miałoby nie starczyć, zawsze będzie mógł rzucić na wagę swój miecz. W ten czy inny sposób dostanie dziewczynę.

– Masz rację – wymamrotał sennym głosem. – Koniecznie muszę wypocząć.

Wstał od stołu, chwiejąc się ze zmęczenia dowlókł się do posłania i padł bezwładnie.

W przebłysku świadomości poczuł jeszcze, że Sjebe ściąga mu buty.

*

Następnego dnia Gavor ruszył ścieżką wiodącą do zamku Khavla. Kiedy był w połowie wzgórza, drogę zastąpił mu oddział zbrojnych. Niektórzy rozpoznali go i ze zdumieniem spoglądali na miecz u boku oraz przewieszony przez ramię łuk, a insygnia Hosplunda na jego kaftanie wywoływały zmieszanie i nieufność.

– Kto wam rozkazuje? – stanowczym głosem zapytał Gavor.

– Khavlo poległ – odparł dowódca oddziału. – Poległ też Grumak, nasz kapitan.

Wydało się niemożliwością oczyszczenie ich bez noża, lecz Botro, pomagając sobie zagiętą gałązką, poradził sobie z tym, wyciągając wnętrzności przez pyszczek.

Gavor przyglądał mu się z podziwem.

– Pięknie, ale zjeść je surowe i bez krzty soli nie będzie proste, nawet dla tak wygłodniałych ludzi jak my.

Botro roześmiał się. Poszperał w obszarpanej koszuli i z zaszytego brzegu wyciągnął krzemień.

– Nigdy się z tym nie rozstawałem. Schowałbym sobie nawet do tyłka.

Pół godziny później ryby były już usmażone nad żarem niewielkiego ogniska ułożonego z suchych pędów krzewów i uciekinierzy mogli zaspokoić głód, zachowując suchary na dalszą drogę.

– Szkoda, że nie mamy wina – westchnął rabuś między jednym a drugim beknięciem. I dodał:

– Granica Shillpan jest już niedaleko. Jutro ruszamy dalej, zakręcając na południe. Przed nami jeszcze cztery lub pięć dni marszu.

Gavor ledwie go słuchał. Wyciągnął się obok tlącego się żaru i twardy sen pociągnął go w otchłań bez czucia.

*

Podążali wzdłuż strumyka niemal do samych jego źródeł. W miarę jak posuwali się na południe, okolica stawała się mniej dzika: zbliżali się do żyznych rejonów i nawet niekiedy dostrzegali w oddali pojedyncze zabudowania i skrawki uprawianych pól.

Suchary skończyły się. Ale doświadczone oko Botra dostrzegło na skraju rowów grona wodnych kasztanów i wielkie jadalne bulwy, które rosły w pobliżu dziwnych, pnących się lian obwieszonych żółtymi kwiatami.

Raz, pętlicą splecioną z powoju i czerwoną marchwią jako przynętą, udało mu się schwytać dzikiego królika. Cierpliwie ponacinał zębami skórę wokół szyi i ściągnął ją jednym długim szarpnięciem, podczas gdy Gavor przytrzymał łeb zwierzęcia.

Dawno już tak się nie najedli. Botro tarzał się szczęśliwy w trawie, marząc o miarce wina, którego już wkrótce będzie mógł skosztować. „Upiję się jak jeszcze nigdy w życiu" – powtarzał.

– Będziemy potrzebowali ubrań – zauważył Gavor. – Nie możemy pokazać się ludziom boso i w tych łachmanach. Od razu pojęliby, że uciekliśmy z kamieniołomów Me-Ghir.

– Wszystko w swoim czasie, chłopcze. Już coraz więcej zabudowań w okolicy, a w ogrodach zawsze znajdzie się sznur z rozwieszonymi na słońcu ubraniami. Ale najpierw chcę znaleźć się jak najbliżej mojego skarbu.

– Jak daleko jeszcze? – niecierpliwie zapytał Gavor.

– Ze dwa dni.

– W takim razie odtąd i ja śpię tylko jednym okiem.

Botro uniósł szydercze spojrzenie.

– Nie ufasz mi? Powiedz prawdę, boisz się, że kiedy będziemy już blisko, zostawię cię jak bezradne pisklę i sam osiągnę cel naszej wędrówki.

– Właśnie tak, przyjacielu.

– Mylisz się. Tę podróż rozpoczęliśmy wspólnie i wspólnie ją zakończymy.

– Chciałem cię tylko ostrzec – uściślił Gavor. – Jesteś sprytny, i to aż za bardzo. Z łatwością mógłbyś wywieść mnie w pole. Tak, mógłbyś spróbować zgubić mnie gdzieś w drodze. Ale odnalazłbym cię, nawet gdybym musiał ścigać cię na sam koniec świata i jedną ręką przetrąciłbym ci kark.

– Daj spokój – bronił się Botro. – Na mnie możesz polegać, jestem uczciwym rabusiem.

Schodzili krętą ścieżką, ledwie widoczną pośród ciągnących się w nieskończoność krzaków i może chcąc zmienić temat, Botro zaczął pleść jakieś głupawe historyjki.

Gavor stanowczym gestem przerwał mu w pół słowa. Ktoś wspinał się ścieżką w ich kierunku. Gavor i Botro zerwali się niczym dwa zające i zniknęli w gęstych zaroślach.

Obok nich przeszedł z siekierą na ramieniu barczysty mężczyzna z siwą brodą i zaspanymi oczyma. Za nim podążał chłopiec: prowadził na krótkim sznurku szczeniaka, a z tyłu spodni zwisał mu sierpak do przycinania gałęzi.

Kiedy znaleźli się w pobliżu Gavora i Botra, psiak zaczął szczekać i węszyć. Szczęściem chłopiec szarpnął go, pociągając za sobą.

– Idą po drzewo – szepnął Botro. – Ich chata musi być gdzieś blisko. Może już przed zmierzchem dostaniemy nowe ubrania.

Odczekali chwilę i wyszli z zarośli, zbiegając ścieżką w dół.

Botro nie mylił się. Wiejskie chaty ukazały im się nagle, na skraju łąki, ledwie pół mili od nich, schludne i czerwone, jak złudzenie. A obok domu nieodłączny sznur suszących się ubrań.

– Miejmy nadzieję, że to nie same spódnice – zaśmiał się Botro, mrużąc szelmowsko oczy.

★

Koszula była w sam raz, ale zbyt szerokie spodnie musiał podtrzymać uplecionym naprędce paskiem z łoziny. Natomiast na wychudzonego i suchego jak szczapa Botra ubranie, prawdopodobnie chłopca, pasowało doskonale.

Przez cały następny dzień posuwali się jeszcze na południe. Botro ponaglał, nie chciał nawet tracić czasu na złapanie paru ryb czy jakiegoś królika; także i dlatego, że nierozważne wydało mu się rozpalanie w tych stronach ognia. Tego wieczoru musieli więc zadowolić się leśnymi jagodami i korzonkami.

Ale cel ich wędrówki był już bliski.

– Jutro będziemy na miejscu – zapewnił Botro. – O zmierzchu.

Na noc zaszyli się w krzakach czarnego bzu. Leżeli stykając się ramionami w niewielkim zagłębieniu terenu.

– Powiedz mi – odezwał się Botro, który wyjątkowo długo nie mógł zmrużyć oczu – jakim sposobem znalazłeś się w kamieniołomach Me-Ghir?

Tym razem Botro nie dotrzymał reguł. Nigdy nie należy pytać o przyczynę skazania. Można odczekać jedynie aż współtowarzysz sam zdecyduje się na takie zwierzenie, być może w wybuchu wściekłości. Gavor też pozostawał skryty wobec wszystkich. A oto teraz Botro postawił mu bezpośrednie pytanie i trudno było odpowiedzieć wymijająco.

Spróbował je przemilczeć, wydając z siebie senne pochrząkiwania. Lecz Botro nalegał.

– Nie wyglądasz mi na zdolnego do nieprawości. Może kłusowałeś?

– Drobna sprzeczka – od niechcenia rzucił Gavor. – Coś jakbym za dużo powiedział na rynku w Kongarabh. Trafiło się paru strażników, z nimi jakiś pajacowaty oficer. Wystąpiłem w obronie starca, który chyba nikomu nie przeszkadzał. Słowem, skończyło się bijatyką i z miejsca mnie aresztowano.

– Nie trafia się do Me-Ghir z powodu jakiejś bijatyki – mruknął Botro.

– No tak... Skończyłoby się paroma dniami lochu. Ale strażnik więzienny był wyjątkowo okrutny... Rzeźnik, który z upodobaniem pastwił się nad najsłabszymi więźniami, więc ja... A potem, nierozsądnie, próbowałem uciekać.

– Jasne – przerwał mu Botro – Właśnie tak, jak myślałem. Teraz śpij chłopcze. Jutrzejszy etap, już ostatni, będzie długi i ciężki.

★

Przez cały dzień podążali na południe wzdłuż granicy Shillpan, pozwalając sobie na krótkie tylko odpoczynki, żeby posilić się znalezionymi jagodami i wybrać parę bażancich jaj.

Kiedy słońce dawno minęło już zenit, Botro zawahał się chwilę. Rozejrzał się wokół bacznie, stroskanym wzrokiem obserwując krajobraz. Parę razy powracali do tego samego miejsca, próbując coraz to nowych ścieżek. Posuwali się tak, zygzakiem, ponad godzinę, aż wreszcie twarz rabusia rozjaśnił szeroki uśmiech...

– Jesteśmy na miejscu – uradował się. – Teraz doskonale rozpoznaję to miejsce. To tutaj, w tych stronach zeszłej jesieni schwytali mnie siepacze. Ledwie zdążyłem ukryć zawiniątko w piwnicy zburzonego domu.

– Nie widzę tu żadnego zburzonego domu – żalił się Gavor ledwie z krztą zrozumienia w głosie.

– Pohamuj niecierpliwość, chłopcze. Za pół godziny będziemy na miejscu.

pieczono owce wyłapywane w trakcie ich dzikiego najazdu, widział ruiny domostw czarne od dymu i ognia.

Natknął się na trupy czterech żołnierzy Khavla, leżących nie opodal strzeżonego przez nich awanportu. I dalej spalone pola, plony i uprawy, które przemieniły się w czarną magmę spienionych węgli.

Skryło go czarne skrzydło rozpaczy, opadając na niego jak żałobny płaszcz.

Wydał przeraźliwy okrzyk wściekłości. Poderwał chmarę czarnych kruków, które obsiadły zwęglone ścierniska. Spiął wierzchowca jak nigdy przedtem i Ucięte Ucho morderczym galopem uniósł go w najbardziej ponure piekło.

Pędził cały dzień, nie stanął nawet na popas, nie posilał się żądny dotarcia do Thune przed zmierzchem, żywiąc w sercu nadzieję ostatecznego zwycięstwa wojaków Khavla i wycofania się Thungusów za płaskowzgórze, za pustynne ziemie, za Górną Medinę.

A potem w oddali dostrzegł warownię w Thune. I ujrzał nagie drzewce chorągwi, ogołocone z oznak i herbów i spowijającą blanki i baszty zniszczonego zamku gęstą, oleistą mgłę.

Serce waliło mu jak oszalałe, kiedy ukazał mu się ten obraz śmierci. Poza obrębem murów całe jedno zbocze doliny jawiło się jak otchłań usiana czarnymi stosami, gdzieniegdzie jeszcze dymiącymi. Tam, gdzie wznosił się jego dom, pozostała korona zmurszałych murów i zwęglonych belek, rozsianych w morzu popiołów.

Parę kobiet w czerni kręciło się wśród zgliszcz i Gavor od razu zrozumiał, że chowają zmarłych. Zsiadł z konia ledwo trzymając się na nogach. Zobaczył spaloną stodołę, wypatroszony warsztat Obhera i Rakla, podsienie, pod którym stawiał pierwsze kroki pod bacznym okiem Hedriny, matki kochającej i łagodnej. I ujrzał w oddali dom Duny, po którym zostało pogorzelisko.

Chciał krzyczeć, ale coś twardego i gorzkiego ścisnęło mu gardło. Jedna z kobiet dostrzegła go, może nawet i rozpoznała, lecz potrząsała jedynie głową w desperackim i nieodwołalnym znaku zaprzeczenia.

Po cóż ją pytać. Kobieta, przerażona i skamieniała, owinięta szalem niczym całunem śmierci, nigdy, ale to nigdy, nie odezwałaby się, nieme pozostaną też wszystkie inne.

★

– Pierwszy zginął twój ojciec – jakby śpiewając mówił jego przyjaciel Sjebe. – Kiedy Thungusi spostrzegli jego skórzany fartuch i znak kowala nad wejściem, wzięli dwie podkowy i przybili mu je do rąk. Hedrina była w ogrodzie i kiedy krzycząc wbiegła na podwórze, herszt Thungusów jednym cięciem szabli ściął jej głowę. Potem przyszła kolej na Obhera, który zdążył już długim szpikulcem i widłami zakłuć paru łajdaków. Wzięli siodło, nasmarowali je, na nim posadzili związanego postronkami Obhera i podłożyli ogień...

– A Agla? – zdławionym głosem pytał Gavor. – Jak skończyła moja siostra Agla?

Sjebe potrząsnął głową i zamilkł. Podsycany wołowym tłuszczem knot żarzył się w kącie lepianki. Na słomianym sienniku pod ścianą spał niespokojnie jego młodszy brat Thurno.

– Powiedz o Agli – nalegał Gavor. – Chcę wiedzieć wszystko...

– Wszystko już się skończyło – westchnął Sjebe. – Dlaczego chcesz zagłębiać sztylet w ranę? Miej litość nad sobą i nade mną, gdyż kochałem twoją siostrę.

Gavor schwycił go za ramię i ścisnął tak mocno, że Sjebe niemal krzyknął.

– Mnie przy tym nie było, mój druhu. Byłem o pięć mil stąd, polowałem na króliki poza terenami łowieckimi Khavla, nie miałem nawet możności przyjść im z pomocą. Wszystko co wiem, słyszałem z ust twojego brata Thurno, który, skryty za słomianymi belami podsieni, miał w sobie dość sił, żeby być przy tej rzezi.

– Opowiadaj – nieubłaganie powtórzył Gavor.

– Zdarli z niej ubranie – wbrew sobie ciągnął Sjebe zdławionym głosem. – Gonili ją i przerzucali sobie po całym podwórzu. I wreszcie, jeden z przywódców schwycił ją w pół, jedną ręką złamał jej kark i cisnął niby szmacianego stracha na wróble o mur warsztatu.

Gavor przesłonił dłonią oczy. Knot dogorywał, może kończył się już tłuszcz. Słabiutki drżący płomyk rzucał na ściany niewiarygodne cienie.

Powoli uniósł się na łokciu. Słońce stało już wysoko, a jego koń pasł się w pobliżu. Nadbiegł pies, z wywieszonym językiem i świecącymi ślepiami, ukrytymi za długą, kędzierzawą sierścią.

Było ich dwóch, niskich i owiniętych w grube szaty, ich nosy spłaszczone, a twarze ogorzałe od słońca i wiatru. Gavor spoglądał na nich obojętnymi rozespanymi oczami, oni zaś odwzajemniali się podobnie znużonym spojrzeniem, skrywającym cień nieufności.

Barwna zięba przeleciała obok niego i może zwabiona połyskliwym przedmiotem, siadła na rękojeści porzuconego w trawie miecza Gavora.

Widząc to, Gavor uśmiechnął się. Owczarze też zaczęli się śmiać, ukazując duże zęby.

– Bądź zdrów żołnierzu – powiedział jeden z nich. – Co robisz w tym odludnym miejscu, piekielnej ziemi owczarzy?

– Zmierzam do Thune – wyjaśnił Gavor i skłamał: – Wiozę pisma do zamku Khavla, od Hosplunda, pana Shillpan.

– Pośpiesz się więc – radzili owczarze. – Pośpiesz się, nim do Thune nie przybędą Thungusi.

– Thungusi zostali pokonani jak zawsze – zapewnił Gavor. – Odepchnęliśmy ich na ich ziemie, za Shill-Gur.

– Ale pojawili się tutaj, na południu. A my, aby uniknąć niebezpiecznych spotkań, opuściliśmy nasze pastwiska przy granicy i schroniliśmy się tutaj, w głębi regionu.

– Zbędna ostrożność – zauważył Gavor. – O tej porze roku, po obfitych deszczach, Bha-Gur przybiera. Thungusi są jak hieny pustyni, boją się wody...

– Tak, ale dalej na południe rzeka jest wąska i bród staje się dostępny nawet dla hien. Jeśli podążasz do Thune, pośpiesz się. Thungusi mogą zjawić się tam w każdej chwili.

Gavor nie dał im jednak wiary. Poprosił o mleko, przegryzł solonym mięsem, dużym kawałem słoniny i czerstwym chlebem.

Kiedy wyruszył w dalszą drogę, nie pozwolił koniowi na długie zrywy, do których Ucięte Ucho był przywykły. Zmusił go do spokojnego chodu także i dlatego, że droga, którą zmierzał, stawała się coraz trudniejsza i bardziej obfitująca w zdradzieckie przesmyki. Przed sobą miał jeszcze dwa dni drogi i dla paru godzin wolał nie ryzykować upadkiem w przepaść, w której niechybnie skręciłby sobie kark.

Bha-Gur, w miarę jak Gavor podążał w górę biegu rzeki, stawała się węższa, a jej nurt coraz łagodniejszy. Napotykał na miejsca, w których przekroczenie jej mogło być zadaniem łatwym nawet dla Thungusów, ludu niewprawnego w wyszukiwaniu brodów. Owczarze mieli więc sporo racji, ich niepokój okazał się całkowicie zrozumiały. Jednakże łudził się tysiącami wykrętów, chcąc oddalić od siebie tę ponurą myśl.

Kiedy zapadła noc, rozstawił swój biwak w akacjowym lasku. Zdjął z Uciętego Ucha ciężkie siodło i rozpalił niewielki ogień, bardziej z nawyku niż potrzeby: nie czuł chłodu, posiłku też nie musiał przygotowywać. Próbował usnąć, ale sen okazał się jak zapomniane imię, które już, już znajduje się na czubku języka, lecz umyka w nicość, przytłoczone innymi obrazami i wizjami.

Czuł do siebie wstręt za to, jak potraktował wędrownego śpiewaka. Groził mu wręcz śmiercią i to tylko dlatego, że tamten, nieświadom niczego, zasiał niepewność w jego sercu. Wystarczy więc przypasać miecz do boku, żeby ulec demonowi pychy i przemocy?

Noc spędził bezsennie, słuchając śpiewu nocnych ptaków i odgłosów małych zwierząt, które z cierpliwym sapaniem buszowały po lesie, węsząc za odpowiednim łupem lub czmychając przed napastnikiem. A w głowie kołatały mu się myśli, które w innych okolicznościach uważałby za nieistotne i błahe. Nie chciał myśleć o Thungusach: ci zachłanni niczym szakale koczownicy nie zapuścili się przecież nigdy tak daleko na południe, powstrzymywani być może przez strzegące ziem południowych zaciężne oddziały opłacane przez kupców z Górnej Mediny. Thune, położone wewnątrz regionu, jak zwykle powinno być bezpiecznym miejscem.

Już następnego dnia, kiedy jeszcze zaspany dotarł nad wielkie zakole Bha-Gur i ujrzał mglisty brzeg rzeki zryty śladami końskich kopyt, wstrząsnął nim przeciągły dreszcz. Miał przed sobą bezsprzeczny dowód, że Thungusi w tym właśnie miejscu przeprawili się przez rzekę, zmierzając z pewnością w głąb regionu. Widział ślady ognisk rozsiane po całej okolicy, resztki zainspirowanych obozowisk, na których

Wkrótce, jakby zaczarowane, ukazały się im mury domu, wyrastając znad krzaków jeżyny i dzikiej gruszy.

Dach wyglądał, jakby od lat był zwalony, mury wyszczerbione i popękane, po oknach pozostały jedynie otwory, sterty gruzu dumnie porastał oset i jedynie węże prześlizgiwały się wzdłuż nasłonecznionych murów.

– Dawniej była tutaj strażnica i komora celna – wyjaśnił Botro. – Każdy podążający do Shillpan musiał tu opłacić cło.

– Dość tej gadaniny, przyjacielu. Zakasuj rękawy i rozkopuj to, co zakopałeś. Chcę odzyskać mój amulet...

Gavor przysiadł niedaleko, podczas gdy Botro na kolanach rozgarniał kamienie i ziemię, pogwizdując jak skowronek.

– Mam! – zawołał wreszcie.

Podniósł się z niewielkim zawiniątkiem z czarnego płótna. Rozwinął je szybko i w jego dłoni zabłysnął sztylet.

Gavor znajdował się o cztery łokcie od niego. Wzrok utkwił w skierowanym przeciw niemu ostrzu, nieruchomym i groźnym.

– Mógłbym cię zabić – powiedział Botro przez zaciśnięte zęby – i pozwolić, żeby twój trup gnił pomiędzy tymi murami, aż rozszarpałyby go sępy. Lecz Botro zawsze dotrzymuje słowa.

Rabuś cofnął sztylet i wsunął go za koszulę, po czym rzucił pod nogi Gavora płócienne zawiniątko.

– Bierz co twoje, nim się rozmyślę.

Gavor rozwinął zawiniątko. Była tam garść srebrnych monet i dwie sztuki złota, a także amulet.

Wziął swój wisiorek, potarł go palcami o koszulę, żeby nabrał połysku i zawiesił sobie na szyi.

– Weź też jedną złotą monetę – zachęcił rabuś.

– Za fhomera i miedziaki, które mi zabrałeś na drodze do Tharab, wystarczą dwie sztuki srebra. Biorę to tylko, co należy do mnie.

– Jak chcesz – zaśmiał się Botro. – O niecałą godzinę marszu znajduje się wioska. Jest tam gospoda z winem, dobrym żarciem i pięknymi kobietami. Chodź, chłopcze. Idziemy się zabawić.

– Nie. Ja przekroczę granicę i ruszam do Shillpan, może tam znajdę to, czego nie znalazłem w Kongarabh.

– Jak chcesz – powtórzył Botro. – Nasz pakt kończy się tutaj i nawet tego żałuję. Ale to może lepiej. Ja jestem rzezimieszkiem, który napada i ograbia podróżnych. Moim domem są trakty, a moją rodziną banda. Myslę, że podążę w dół, do Bhakry i tam zadbam o to, żeby ściągającym ze wszystkich stron pielgrzymom było lżej. Ty zaś jesteś niewinny jak gołębica, uczciwy i czysty, marzyciel, twoim losem jest naprawianie zła, a drogę wskazują ci obłoki i wiatr...

Dłonią musnął go po policzku, gestem niemal ojcowskim.

– Powodzenia, Gavor!

Nim zdołał odwzajemnić pozdrowienie, Botro zsunął się na drugą stronę zwalonych murów i już wspinał się zwinnym krokiem kozic. Gavor patrzył za nim, aż rozpłynął się w bladobłękitnych oparach zachodu słońca i zniknął w oddali.

I naraz pozostał sam ze swoją niepewnością.

Rozdział XVI

Pod koniec wiosny wszystkie wody otaczające krainę Shillpan wezbrały gwałtownie i toczyły się wartko, przewalając wzdłuż brzegów kamienie, porywając z nurtem na wpół zanurzone gałęzie, żółtą glinę i kępy traw, niosąc to wszystko nie wiadomo skąd.

Ponad spienioną wodą zawisła ulotna, jaśniejąca tysiącami kropel mgiełka; wokół rozciągały się dziewicze ziemie, mieniące się złotem i rubinową czerwienią jak sztandary wszechwładnego Hosplunda, władcy ludzi, pól, osad i stad.

Na polach złotem jaśniało dojrzałe zboże, a czerwienią – gorejące kwiaty maków, którymi usiana była równina. Na sztandarach zaś złoto skrzyło się na zawieszonym w górze hełmie. Poniżej, po lewej stro-

nie, mieniły się tkane czerwienią fale: rzeka krwi symbolizująca bezwzględne okrucieństwo wojsk władcy Shillpan.

Shillpan było właściwie wyspą: od północy toczyła wody Wielka Rzeka. Jej regularne wylewy nanosiły warstwy ciemnego mułu, który czynił te ziemie niebywale żyznymi.

– Wystarczy, że spluniesz, przyjacielu, a w Shillpan wyrośnie drzewo! – z dumą mówił mu Hozas, człowiek, którego spotkał w Kongarabh.

Na wschodzie płynęła Shill-Gur, od której wzięła nazwę stolica regionu. Niebywałe ilości wody, jakie niosła przez tysiąclecia ukształtowały jej koryto niezwykle wyraziście, a ze szczytów wzgórz jej kręty, gigantyczny wąwóz wyglądał, jak ślad po tajemniczej bestii, która w dawno zapomnianych czasach przesunęła się tędy, znacząc drogę skamieniałą wydzieliną.

Na południu – ogromne jezioro Bhakra, znane z gwałtownych burz, dostarczało doskonałych ryb i legend wszystkim mieszkańcom krainy.

Od zachodu, w miejscu, w którym znalazł się Gavor, Fhane-Gur uzupełniała krąg wodny otaczający Shillpan.

Żyzne plony oraz stada bydła stanowiły przynętę dla zachłannych hord barbarzyńców, dlatego też żadna inna kraina nie szczyciła się tak skutecznym systemem fortyfikacji jak Shillpan. Lecz umocnienia z samej ich natury zależne były od pór roku: zimą i do późnej wiosny stanowiły zaporę nie do przebycia; natomiast latem, kiedy wody wysychały, granice Shillpan nie były już tak bezpieczne. Wówczas to każdy bród i każdy most, wiodący do serca regionu, obsadzany był zbrojnymi drużynami i dopiero po długiej, żmudnej procedurze oraz po opłaceniu myta można było przekroczyć granice terytorium. Pomnożone zostały w ten sposób fortuny całych już pokoleń przemytników, którzy zawsze potrafili znaleźć sposób, żeby przedostać się potajemnie, unikając urzędowej opłaty.

Gavor nie silił się nawet na to, by chyłkiem wejść do miasta. Stawił się na jednym z obsadzonych wojskiem przejść i, o dziwo, został natychmiast wpuszczony, bez uiszczania najmniejszej opłaty. Żołnierze, siedzący w niedbałych pozach obok drewnianej strażnicy, która miała stanowić jako takie schronienie przed kaprysami pogody, toczyli leniwe rozmowy, żując źdźbła słomy, spadające z kopiasto naładowanych wozów, polerowali groty pik, próbowali ostrze mieczy, napinali łuki. Na byle jak skleconych podporach prowizorycznej strażnicy tkwiły przygwożdżone setki jaszczurek, z oczami zapadniętymi wewnątrz małych ciałek, zesztywniałych i zasuszonych w śmierci.

Łucznik, stojący na blankach baszty, dawał znak żołnierzom, kogo mogą przepuścić, z kogo ściągnąć opłatę, a kto odesłany ma być z powrotem.

O dziwo, wszyscy mężczyźni, a zwłaszcza młodzi, bezkarnie wpuszczani byli do miasta, podobnie wozy ze zbożem i wszelkim prowiantem, a także kupcy z towarem; wysokie cło pobierano natomiast od całych rodzin, a jeśli przeważały kobiety lub dzieci, były one zmuszane do odwrotu.

I był to pierwszy znak, że dzieje się tu coś nienormalnego.

Drugim była ogromna ilość zbrojnych, sprężystym krokiem przemierzających wszystkie drogi.

A trzecim – samo Shillpan: miasto zdało się wrzącym, przepojonym trwogą mrowiskiem.

Gavor, ledwie znalazł się w mieście, spostrzegł wszechobecną panikę: nawet maleńkie ciałka jaszczurek, które z przerażającą stałością zdobiły wszystkie drzwi i wrota, świadczyły o dziwacznych ofiarach, składanych dla przebłagania jakiegoś kapryśnego bóstwa.

– To boga letnich wód musimy sobie zjednać – wyjaśnił mu jakiś starzec, kiedy spostrzegł jego pełne zdziwienia spojrzenie. – Zwykle służą temu ofiary ze świń i jagniąt, lecz wówczas bóstwo umiera z niepohamowanego pragnienia. Jeśli natomiast posilać się będzie jaszczurkami, nie będzie miał takiego pragnienia i nie wypije całej wody z naszych rzek, jak czyni to zazwyczaj. Potrzebujemy dużo wody tego roku, bo mówi się, że Thungusi już ruszyli.

Nazwa ta groźnym echem pobrzmiewała w ciepłym powietrzu miasta.

– Choć przecież – ciągnął starzec, potrząsając głową – po tylu bezskutecznych próbach powinniśmy już wiedzieć, że na bogów nie wpłyną żadne ofiary, czyny ani prośby ludzi.

– Dlaczego więc? – zapytał Gavor, wskazując na małe, zasuszone zwierzątka.

Starzec zaśmiał się.

Gavor zatrzymał się urzeczony. Ale słowa pieśni były niewyraźne. Wszedł więc do gospody; muzyka i śpiew ustały natychmiast. Zażądał dzbana wina.

Karczmarka, chuda i niska kobieta, niemal karlica, obsłużyła go, wyraźnie strwożona jego barczystą postacią i wiszącym u boku mieczem.

Trzy zapalone świece rzucały niepewny blask i Gavor nie zdołał rozróżnić wśród nielicznej grupki gości śpiewaka i muzykanta. Wszyscy zamilkli i znieruchomieli, jakby zmrożeni jego nagłym wtargnięciem.

– Na drodze słyszałem piękny głos i dobrą muzykę. Chcę jeszcze raz posłuchać tej pieśni – rzucił Gavor.

Ktoś odwrócił się i świeca rozjaśniła jego suchą i gładką twarz. Na chwilę uniósł się też drugi mężczyzna, z przewieszonym tablą i pustym wzrokiem błąkającym się po suficie rudery.

Gavor rozpoznał ich z miejsca: byli to wędrowny śpiewak Mhuma i jego niewidomy towarzysz, których spotkał w gospodzie Daimy i Hibli, w Kusko-Ghoreb, wkrótce po wyruszeniu z Thune. Rozpoznał ich natychmiast, ale nie zdradził się z tym.

Przechylił dzban i czekał w milczeniu, podczas gdy ślepiec przebierał palcami po instrumencie, szukając odpowiednich dźwięków. Po chwili w pomieszczeniu rozległ się łagodny i mocny głos Mhumy:

Duna mówiła głosem zmęczonym
nieszczęsny miły mój, dokąd wyruszysz,
księżyc po cóż uczyniłeś białym,
nieszczęsny miły mój wszystko utracisz,
Piękna, on mówił płacząc,
biel jego odnajdę,
Duna, dla ciebie jedynie,
Duna, powrócę...
Ale nie wracasz, mnie strapioną rzuciłeś,
nieszczęsny, miły mój, co czynić mi,
księżyc białym po cóż uczyniłeś,
nieszczęsny, miły mój, umrzeć przyjdzie mi...

– Dość! – krzyknął Gavor unosząc się gwałtownie. Utkwił w śpiewaku ostre, złowrogie spojrzenie. Opuścił swoje miejsce i zbliżywszy się do Mhumy schwycił go za ubranie.

– Gdzie nauczyłeś się tej pieśni? Mów, psi synu, jeśli nie chcesz, bym przeszył cię mieczem.

Mhuma spuścił oczy.

– Jestem tylko wędrownym śpiewakiem – powiedział drżącym głosem. – Słucham tego, co mówią ludzie, a potem układam moje ballady. Jestem włóczęgą, artystą, chcę jedynie rozweselać, bez urażenia kogokolwiek. Jeżeli moja pieśń ci się nie spodobała, proszę o wybaczenie...

Gavor puścił go. Grający na tablą był ślepy i z pewnością go nie rozpoznał. Podobnie i Mhuma, który tamtego wieczoru był zupełnie pijany.

Zapłacił i wyszedł w samym środku nocy. Aż do świtu popędzał konia po niekończących się ścieżkach, wrzosowiskach i łąkach. Galop konia zlał się z rytmem pieśni wędrownego śpiewaka Mhumy. Słowa ballady smagały go niczym bicz lub jak bezlitosne pchnięcie sztyletem i kołatały mu się w czaszce, ostre i twarde jak kamienie, które wyrastały nagle pod kopytami Uciętego Ucha.

Pierwsze promienie słońca zastały go wciąż na grzbiecie wierzchowca, ale Ucięte Ucho nie reagował już na jego popędzanie. Koń zatrzymał się nagle, zarżał przeciągle i zwalił się w trawę, wyczerpany.

Znużony snem Gavor powoli zsunął się z siodła i legł na zroszonej trawie, z głową i ramionami złożonymi na boku spoconego konia.

Rozdział XXII

W oddali poszczekiwanie psów. Nawoływania i pogwizdywania owczarzy, uporczywe i jednostajne beczenie stada wszędzie wokół. Gavor otworzył oczy, przebudzony wilgotną i słodkawą pieszczotą kozy, która lizała go po twarzy.

Czytelnicy i „Fantastyka"

Trzeci sondaż opinii Czytelników miał jedynie charakter ankiety, podsumowującej nasze działania w roku 1986. Jego wyniki, przypadające na pięciolecie naszego pisma, są jednak o tyle ważne, że to ostatnie wnikliwe spojrzenie wstecz przed wkroczeniem w nowy okres, w czasie którego będziemy próbowali poszerzać krąg naszych odbiorców, wydając obok macierzystego pisma dwa samodzielne dodatki: „Małą Fantastykę" i „Komiks-Fantastykę".



Marek Zaleski

SONDAŻ III

wyniki!

Adam Hollanek
Krzysztof Szolginia

Byliśmy w związku z tymi nowymi perspektywami ciekawi, czy mimo ograniczonego nakładu pisma zdobywamy nowych Czytelników, co wbrew pozorom jest jednak możliwe, gdyż wiele osób – nie mogąc dostać w kioskach czy w prenumeracie egzemplarzy „Fantastyki" – nabywa je we wtórnym obiegu, czy też korzysta z czytelni bibliotecznych. **I oto okazuje się, że nasze przypuszczenia były trafne. Wielu uczestników naszego sondażu pisało, że czyta „Fantastykę" zaledwie od roku, dwóch i nie znając naszych pierwszych numerów stara się je zdobywać w antykwariatach, przez wymianę lub na różnych giełdach czy pchlich targach. Byli to najczęściej bardzo młodzi ludzie.** Jeden z respondentów, pan Ireneusz Materniak, napisał: *„Tematyka pisma wciąga zarówno dorosłych, jak i młodzież i chwała Wam za to, że dzięki „Fantastyce" największych wrogów czytania w klasie, której jestem wychowawcą udaje się namówić do przeczytania chociaż komiksu, a potem już sami dobijają się o resztę..."* To cieszy!

Z radością stwierdzamy też fakt stałego powiększania się grupy chętnych do uczestnictwa w naszych sondażach. W odpowiedzi na pytania ankietowe, ogłoszone w numerze 12/86 nadeszło 1366 listów. Dziękujemy! Przypomnijmy, że w pierwszym sondażu uczestniczyło 379 osób, a w drugim – 768.

Wśród naszych respondentów większość, aż 91%, to przedstawiciele płci brzydkiej (sondaż I – 92%, sondaż II – 89%). Jak widać, proporcje panowie–panie są ustabilizowane. Natomiast osób w wieku do 20 lat jest więcej niż uprzednio – ok. 61% (I sondaż – 52%, II sondaż – 58%). Wydaje się więc, że we właściwym momencie ruszamy zarówno z „Małą Fantastyką", jak i „Komiksem-Fantastyką".

Podobnie jak to odnotowują sondaże zagraniczne, a także nasze poprzednie, czytają nas głównie ludzie uczący się lub ci, którzy osiągnęli co najmniej wykształcenie średnie, jest także sporo z wyższym. Aż 58% respondentów zdobywa wiedzę, przede wszystkim są to uczniowie szkół średnich – 38% (ponadto studenci wyższych uczelni – 7%, uczniowie szkół podstawowych – 10%, uczniowie zasadniczych szkół zawodowych – 3%). Pozostali, czyli 42% Czytelników to pracujący (w bardzo różnych zawodach – od robotników po profesorów akademickich). Wśród pracujących 57% ma wykształcenie średnie, a 26% – wyższe. Lektura SF, wymagająca pewnego przygotowania, pewnych tradycyjnych „podkładów" w postaci wiadomości z dziedziny nauki, sztuki i literatury, nie musi być więc utrzymywana przez nas jedynie na poziomie rozrywki; tak, nasi Czytelnicy nie boją się trudniejszych i ambitniejszych lotów tej nowej fali pop-romantyzmu ogarniającej świat.

Z sondażu ponownie wynika, że „Fantastyka" to przede wszystkim lektura osób z miast dużych i średnich. W miastach liczących ponad 100 000 mieszkańców mieszka ok. 51% odpowiadających na ankietę, a w miastach zamieszkałych przez 21 000–100 000 osób – ok. 22%. W miasteczkach i na wsi tylko po 13%!

Świadczy to o różnych ciągle jeszcze potrzebach cywilizacyjnych i kulturowych naszych miast i wsi, ale także i o różnicach w dostępie do zjawisk kulturowych i cywilizacyjnych w dużych i małych ośrodkach naszego kraju. **Model kulturowy, jak z tego zdaje się wynikać, proponowany przez telewizję czy radio, jeśli taki model w ogóle istnieje, co nie wydaje się pewne, nie oddziałuje w wystarczającym stopniu na usuwanie dysproporcji kulturowych i cywilizacyjnych. Oczywiście przykład fantastyki nie jest w pełni adekwatny, w pełni tłumaczący te wszystkie sprawy, ale sygnalizuje problem dość ważki w skali ogólnopolskiej.** Pan Adam Landowski pisze na przykład: *„...Jestem mieszkańcem wsi i moim skromnym zdaniem dysproporcje wśród czytelników ze wsi i z miasta mają przyczyny głębsze niż niewłaściwy kolportaż pisma. (...) Wiąże się to między innymi z wykształceniem. Większość mieszkańców wsi to ludzie z ukończoną tylko szkołą podstawową lub zawodową, a takich wśród czytelników »Fantastyki« jest bardzo mało. Również dostęp do ciekawej książki (nie tylko SF) jest bardzo utrudniony. Biblioteki i księgarnie, o ile już są, to bardzo źle zaopatrzone. (...) Przyczyną może być też życie kulturalne. Jedyną rozrywką dla większości mieszkańców wsi jest telewizja. Wśród moich kolegów są tacy, którzy od skończenia szkoły nie przeczytali ani jednej książki, w kinie byli tylko na »Wejściu smoka«, a koło teatru tylko przechodzili..."*

Mimo, że czas przeznaczony na nadsyłanie odpowiedzi był krótszy niż przy II sondażu, zdążyły do nas dotrzeć (podobnie jak rok temu) listy od Czytelników spoza kraju (ok. 1% naszych respondentów). Ponownie najwięcej korespondencji nadeszło z Czechosłowacji; ponadto z ZSRR, Bułgarii, Holandii, NRD, Szwecji i USA. Dziękujemy! **O tym, że „Fantastyka" wyszła, mimo twardej bariery językowej, poza granice Polski – świadczą zarówno liczne nagrody międzynarodowe (o najnowszych w tym numerze także piszemy), jak i na przykład oświadczenie przewodniczącego obrad pisarzy z 32 krajów na światowym Kongresie w Moskwie, poświęconym „science fiction i przyszłości człowieczeństwa", że *„miesięcznik literacki »Fantastyka« należy do najlepszych tego typu czasopism na tym globie"*.** Nie chwalimy się – cytujemy jedynie.

Interesujące rezultaty przyniosły odpowiedzi na pytanie: „Ile osób poza Tobą czyta ten sam egzemplarz Fantastyki". Otóż 35% respondentów nie pożycza swego pisma nikomu (wiele uwag: *„boję się, że do mnie nie wróci"*), 33% odpowiedziało, że ich egzemplarz czyta jeszcze jedna osoba, 19% – pożycza swój numer jeszcze dwóm osobom, 8% – trzem, a 5% większej liczbie osób (rekord: 35 osób!). **Oznacza to, że na jeden egzemplarz przypada co najmniej 2,15 czytających. Przy obecnym nakładzie 150 000 daje to liczbę 322 500 Czytelników, a są przecież jeszcze tysiące bibliotek i czytelni oraz Ci, którzy chcieliby nas czytać, a nie mają żadnej możliwości zdobycia pisma!**

Zanim przejdziemy do szczegółów, musimy powtórzyć to, o czym pisaliśmy w zeszłym roku, że kryteria Czytelników oscylują w skali wartości „podoba się – nie podoba" (tak zresztą były postawione pytania) i w ocenach tych brakuje skali j a k o ś c i literackiej czy plastycznej. Nie wszystko bowiem, co się podobało jest rzeczywiście bardzo dobre i nie wszystko, co się nie podobało jest naprawdę złe. Ponadto trzeba brać pod uwagę fakt, że ostateczne wyniki sondażu są jedynie w y p a d k o w ą bardzo zróżnicowanych gustów. Inaczej zresztą być nie może: co innego zapewne podoba się naszemu najstarszemu respondentowi (68 lat, wykształcenie wyższe humanistyczne), a co innego najmłodszemu (11-letni uczeń szkoły podstawowej). Te same pozycje były wymieniane przez jednych jako najlepsze, a przez innych jako najgorsze!

W wynikach tego i poprzedniego sondażu zauważyliśmy pewną różnicę. **Tym razem znalazły się superprzeboje, które skupiły bardzo wiele głosów,** np. na najlepsze opowiadanie zagraniczne głosowało aż 54% respondentów (rok temu numer 1 na liście zebrał tylko 9%!), na najlepsze opowiadanie polskie – 46% (rok temu numer 1 – tylko 12%), a na najciekawszy artykuł krytyczny padło aż 44% głosów!

Musimy też stwierdzić, że wybory dokonane w poszczególnych kategoriach przez naszych Czytelników wydają nam się d o j r z a l s z e, niż dokonywane w poprzednich odpowiedziach na ankiety sondażu pierwszego i drugiego. Przekonajcie się Państwo sami!

Autorzy roku 1986

Czytelnicy mieli wymienić po 3 nazwiska autorów polskich i zagranicznych, których teksty (powieści, opowiadania, artykuły, felietony, recenzje itd.) zamieściliśmy na naszych łamach w 1986 r.

A u t o r z y   p o l s c y (wymieniono aż 51 nazwisk): 1. Maciej Iłowiecki (557 głosów, tj. około 41% respondentów), 2. Janusz A. Zajdel (471), 3. Andrzej Sapkowski (376), 4. Marek Oramus (292), 5. Maciej Parowski (266), 6. Włodzimierz Różycki (167), 7. Andrzej Zimniak (159), 8. Rafał A. Ziemkiewicz (142), 9. Sławomir Mil (141), 10. Adam Hollanek (125). Pozostali uzyskali poniżej stu głosów, a przewodzą im Witold Opat, Andrzej Urbańczyk i Jan Witold Suliga.

Zwraca uwagę fakt, że autor felietonów popularyzujących naukę wyprzedził wszystkich autorów opowiadań! **Ponowne uhonorowanie Macieja Iłowieckiego (rok temu, również pierwszy, zebrał 38% głosów), świadczy o tym, że czytają nas ludzie przygotowani na przyjęcie problemów naukowych i tego typu problematyki spragnieni.** Postaramy się stopniowo – tak żeby nie zubożyć jednak strony literackiej pisma – rozwijać dział nauki, co jak nam się wydaje, stanowi jedno z podstawowych życzeń Czytelników.

Zaskakuje też błyskawiczne wtargnięcie do pierwszej dziesiątki debiutantów Sapkowskiego i Różyckiego. Miejmy nadzieję, że nie będą oni gwiazdami jednego sezonu.

A u t o r z y   z a g r a n i c z n i (wymieniono 38 nazwisk): 1. Harry Harrison (1034 głosy, tj. ok. 76% respondentów!), 2. George R.R. Martin (506),

Wśród biorących udział w III Sondażu rozlosowaliśmy gry i książki SF, które wysłaliśmy pocztą. Oto wylosowane nazwiska: Paweł Badziński z Leszna, Marcin Konrad Dębicki z Marzęcina, Maciej Dubicki z Łobza, Dariusz Jakubisiak z Warszawy, Katarzyna Kledzik z Poznania, Barbara Konarska z Koszalina, Peter Kurul ze Svitu (CSRS), Barbara Ligęza z Łodzi, Marian Naganowicz z Wilna, Grzegorz Niedbalik z Krakowa, Adam Osadziński z Poznania, Grzegorz Piechota ze Świdnicy Śl., Jacek Pogorzelski z Terespola, Jarosław Sosnowski z Węgorzewa, Roman Zaleski z Wałbrzycha.



O plastyce

Błagam o więcej space opera i fantasy w „galerii". Porównajcie chociażby galerie z ubiegłego roku. Dlaczego tak uporczywie lansujecie polskich, nie cieszących się większą popularnością twórców, którzy dążą do abstrakcji: Witolda Popiela, Jacka Kawalerowicza i Marka Karwackiego? Wyjątkiem jest zadziwiająca, bardzo interesująca twórczość Wojciecha Siudmaka... (Sławek Maculewicz z Łomży)

Być może źle zrozumiałem prace Kawalerowicza. Panowie, bez względu na to, czy je zrozumiałem czy nie, jest pewne, że gdybym był w depresji nerwowej to te rysunki by mnie już zupełnie pogrążyły i być może zeszedłbym z tego świata. Wiem, że nie powinienem krytykować tego, czego do końca nie rozumiem. Moim zdaniem jednak, „Galeria" powinna być „prosta", czyli łatwa i bezpośrednia. „Galeria" Kawalerowicza, według mnie, tych warunków nie spełnia... (Andrzej Czerepok ze Zgierza)

Jacek Kawalerowicz jest nie do przyjęcia albo ja go nie rozumiem. Jeżeli to drugie, to błagam: pomóżcie! (Leszek Kot z Bydgoszczy)

Nie podobała mi się okładka do numeru 8(47) – rysunki tego typu są szczere, gdy maluje je dziecko, gdy człowiek dorosły – drażnią. Przynajmniej mnie. (...) A dlaczego nie poko-

---

3. Colin Kapp (417), 4. Frederik Pohl (336), 5. Alfred Elton van Vogt (294), 6. Gene Wolfe (257), 7. Stephen R. Donaldson (238), 8. James Tiptree Jr (127), 9. Ondřej Neff (97), 10. Spider i Jeanne Robinson (71). Bezpośrednio za pierwszą dziesiątką uplasowali się kolejno: Siergiej Sniegow, Gordon Dickson, István Nemere i Karl Michael Armer. Pozostali zdobyli poniżej pięćdziesięciu głosów.

Przy popularności uznanych sław zagranicznych – zresztą prawie tych samych na całym świecie – zaczyna u nas zwracać uwagę zainteresowanie młodymi pisarzami bratnich krajów, np. Ondřejem Neffem z Czechosłowacji, czy Istvánem Nemerem z Węgier. Neff uplasował się wśród dziesięciu najlepszych (jego opowiadanie zajęło bardzo wysokie czwarte miejsce), a Nemere zmieścił się w pierwszej trzynastce – obok Sniegowa. To się liczy.

Powieści

W roku 1986 wydrukowaliśmy 5 powieści. Wszystkie pojawiły się zarówno na liście tych, które się podobały, jak i tych, które się nie podobały. Oto lista czytelniczych plusów: 1. Colin Kapp – „Broń Chaosu", „Fantastyka" nr 1/86 (503 głosy, tj. ok. 37% respondentów), 2. Harry Harrison – „Bill – bohater galaktyki", nr 6 (473), 2. Spider i Jeanne Robinson – „Gwiezdny taniec", nr 10 (163), 4. Gene Wolfe – „Pieśń łowców", nr 9 (126), 5. István Nemere – „Sprawa Kilyosa", nr 3 (101).

Jak widać, dwie pierwsze powieści zdecydowanie górowały nad następną trójką. Przypominamy, że rok temu „Filmowy Wehikuł Czasu" Harrisona nieznacznie wyprzedził „Formy Chaosu" (I część „Broni Chaosu") Kappa. Tak więc i tym razem Czytelnicy głosowali na powieści tych samych autorów, zmienili jedynie kolejność.

Bardzo wielu odpowiadających chwaliło dobór powieści w roku 1986 i uważało, że nie było w nim zdecydowanie złej. Aż 325 respondentów (ok. 24%) nie podało w związku z tym powieści najgorszej. Wielu zaopatrzyło swój wybór komentarzem w rodzaju: *„nie była zła, lecz nieco mniej ciekawa od pozostałych"*. Lista czytelniczych minusów jest w zasadzie odwrotnością listy plusów, z jednym wyjątkiem – miejscami zamieniły się powieści Wolfe'a i Nemerego. Różnica była jednak minimalna: na „Pieśń łowców" padło 290 głosów (tj. ok. 21% respondentów), a na „Sprawę Kilyosa" – 282. Pierwsza z listy plusów „Broń Chaosu" została uznana za najgorszą przez 74 osoby.

Opowiadania zagraniczne

Spośród 38 drukowanych w 1986 roku opowiadań aż 32 znalazły się na liście plusów. Oznacza to, że każde z tych 32 zostało uznane przez kogoś za najlepsze opowiadanie w roku! Udało się więc nam chyba zaspokoić bardzo różnorodne gusty. W tym roku byli jednak zdecydowani faworyci: pierwsze trzy opowiadania skupiły łącznie aż 84% głosów! Oto pierwsza dziesiątka: 1. George R.R. Martin – „Piaseczniki", „Fantastyka" nr 7/86 (734 głosy, tj. ok. 54% respondentów!), 2. Stephen R. Donaldson – „Miłośnik zwierząt", nr 4 (224), 3. Harry Harrison – „Kontrakt za miliard kredytek", nr 9 (185), 4. Ondřej Neff – „Największy szajbus w dziejach swangu", nr 5 (64), 5–6. James Tiptree Jr. – „Człowiek który szedł do domu", nr 8, oraz Alfred Elton van Vogt – „Człowiek o zielonych oczach", nr 12 (po 21 głosów), 7. Claudio Asciuti – „Waleczny Giulio", nr 3 (20), 8–9. Frederik Pohl – „W blasku komety", nr 8, oraz Alfred Elton van Vogt i Edna Mayne Hull – „Abdykacja", nr 8 (po 11 głosów), 10. Gordon R. Dickson – „Genialny głupek", nr 6 (10).

Tak więc „Piaseczniki" uzyskały większość bezwzględną! Przypominamy, że rok temu pierwsza na liście „Wieża Słonia" (Conan) Roberta Howarda zdobyła jedynie 9% głosów.

Znacznie większe trudności mieli Czytelnicy z wyborem opowiadania, które podobało się najmniej. Rozrzut głosów był tu większy – wymieniono wszystkie 38 tytułów, a na uznane za najsłabsze „Życie zelektryfikowane" Alberta Robidy głosowało tylko 218 osób (tj. ok. 16% respondentów). „Piaseczniki" miały jedynie 6 wrogów wśród 1366 głosujących.

Opowiadania polskie

Na liście pojawiło się 26 tytułów na 29 drukowanych. Oto czołówka: 1. Andrzej Sapkowski – „Wiedźmin" (III nagroda w konkursie „Fantastyki"), nr 12 (627 głosów, tj. ok. 46% respondentów), 2. Włodzimierz Różycki – „Weekend w mieście", nr 1 (197), 3. Sławomir Mil – „Odwrót", nr 3 (75), 4. Jan Witold Suliga – „Dwudziesty pierwszy rozdział księgi FU" (wyróżnienie w konkursie „Fantastyki"), nr 10 (65), 5. Witold Opat – „Próba sił" (konkurs „Fantastyki"), nr 6 (51), 6–7. Marek Oramus – „Kompleks Hioba", nr 7, oraz Rafał A. Ziemkiewicz – „Hellas III", nr 11 (po 46 głosów), 8. Andrzej Zimniak – „Ornitologia", nr 2 (35), 9. Marek Pąkciński – „Możliwość wnikania", nr 5 (30), 10. Piotr Bondel – „Kształty w ciemności", nr 3 (27).

Zwraca uwagę fakt, że w pierwszej piątce znalazły się aż 3 opowiadania zakwalifikowane przez nas do druku spośród nadesłanych na nasz konkurs! Świadczy to o dużej zgodności opinii Czytelników z opiniami naszymi. Przypominamy, że pierwszy na liście Czytelników „Wiedźmin", oprócz III nagrody w konkursie „Fantastyki", zwyciężył też w plebiscycie na tegorocznym Polconie (stuprocentowej zgodności nie będzie jednak nigdy – siedem osób uznało „Wiedźmina" za najgorsze opowiadanie roku 1986). W najbliższym czasie wydrukujemy rozmowę z panem Sapkowskim.

Podobnie jak w przypadku opowiadań zagranicznych, większe kłopoty były z wyborem opowiadania na listę minusów. Wymieniono wszystkie tytuły, a najwięcej głosów zebrało tu opowiadanie Marka Oramusa „Kompleks Hioba" (240, tj. ok. 18% respondentów), które znalazło się przecież na wysokiej, szóstej pozycji wśród czytelniczych plusów. Za najlepsze uznawały je zazwyczaj osoby starsze i bardziej wykształcone, mniej podobało się młodszym i tym o niższym wykształceniu. Tego rodzaju polaryzacja głosów (za-

---

Czytelnicy o „Fantastyce"

Niektórzy uczestnicy III sondażu do swoich odpowiedzi na pytania dołączali krótkie komentarze. Przedstawiamy wybór tych często bardzo ostrych i zjadliwych minirecenzji.

O powieściach

„Broń Chaosu" uważam za typowy przykład tendencji: skoro stworzyło się coś na przyzwoitym poziomie („Formy Chaosu"), trzeba czym prędzej napisać (skomponować, nakręcić) drugą część i to nie angażując zbytnio umysłu... (Jerzy Marek Krzemiński z Olsztyna).

„Broń Chaosu" zawiodła mnie i to w stopniu nieoczekiwanym. Toż to tylko polega na epatowaniu czytelnika drastycznymi sytuacjami, rosnącymi zdolnościami zabijania u bohaterów (...), liczy się intelekt i każda forma siły, każdy tylko myśli o tym jak tu drugiego najszybciej unieszkodliwić...(Agnieszka Szprokoff)

„Bill, bohater Galaktyki" to była powieść tak beznadziejna, że ratuje ją tylko nazwisko autora i motywy jej napisania... (Sylwester Piwowarczyk z Proszowic)

W mojej opinii „Bill" Harrisona wygrywa zdecydowanie przede wszystkim dzięki humorowi, którego tak mało w SF. Jego wesołość nie jest płytka, ma drugie i trzecie dno, spod których wygląda prawdziwa rzeczywistość... (J.M. Krzemiński)

Chyba lepiej byłoby poprzestać na wersji pierwotnej „Gwiezdnego tańca", tworzącej zwartą, konsekwentną, wiarygodną i wyrazistą emocjonalnie całość. Im dalej, tym więcej sentymentalizmu, cudownych, wprowadzonych ad hoc rozstrzygnięć trudności (choćby nieoczekiwana miłość homoseksualna – można przez dwa lata nie dostrzegać rodzącego się uczucia, gorzej z niezauważaniem zboczenia – a wszystko tylko po to, aby wszyscy mogli razem lecieć bez poczucia, że coś tracą), nie pogłębionych rozważań nad konflikiem tancerzy i reszty ludzi. No i ten olśniewający happy end: „i odtąd żyli wiecznie i szczęśliwie". (Andrzej Kowalski z Warszawy)

Byłem oczarowany „Gwiezdnym tańcem", zwłaszcza pierwszym odcinkiem. Po przeczytaniu długo nie mogłem nad tym przejść do porządku dziennego. Dla mnie absolutna bomba. Takich więcej. (Bogusław Krężołek z Łarzan)

Od czasów niezapomnianej „Pieśni dla Lyanny" Martina, „Pieśń łowców" to rzecz zdecydowanie najlepsza, jeśli idzie o gatunek z pogranicza fantasy. Dawno nie czytałem tak nastrojowej i sugestywnej prozy, nie tylko w obszarze SF. (Jacek Pogorzelski z Terespola)

Wybrałem „Pieśń łowców", ponieważ jestem zwolennikiem utworów, które tworzą niepowtarzalny nastrój i atmosferę. Wydaje mi się, że takie utwory stanowią najwybitniejszy nurt fantastyki. Miłą niespodziankę sprawiła mi także powieść Istvána Nemerego „Sprawa Kilyosa", ponieważ nie spodziewałem się po pisarzu węgierskim, w Polsce raczej nieznanym, książki napisanej tak sprawnie, z tak interesującą akcją, w bądź co bądź trudnym nurcie fantastyki – politycznym... (Artur Stefanowski z Piły)

Lubię czytać, ale jeszcze bardziej lubię po przeczytaniu zastanowić się nad tym co przeczytałem. Supermądry, supertajny, superprzebiegły (i jeszcze kilka tych super) bohater „Śprawy Kilyosa" do przemyśleń nie skłania... (B. Krężołek)

O opowiadaniach

Drukujcie dalej takie opowiadania jak „Piaseczniki" i „Wiedźmin". Zrobiły one furorę. W mojej

lorowaliście Siudmaka, farby brakło? (Bernard Kiślak z Kielc)

Dobrą i ciekawą kolorystycznie wydała mi się okładka z numeru 12/51 autorstwa M.K. Zalejskiego. Bardzo często brakuje mi na okładkach „Fantastyki" koloru. Mocnego, soczystego koloru. Nie wiem, czy z winy projektanta, czy drukarni, ale okładki często robią wrażenie szarych, a przez to nieciekawych... (Bożena Kryżowska-Sołtysik z Katowic)

Nie podobała mi się okładka nr 12/51. Być może to i sprawne warsztatowo, ale budzące niechęć, żeby nie powiedzieć – odrazę. Nie umieszczajcie na tytułowej stronie takich rzeczy. To już wolę tego Czecha... (B. Krężołek)



leżna od wieku i od wykształcenia) ujawniała się najostrzej w przypadku utworów nieco trudniejszych w odbiorze, będących czymś więcej, niż czystą rozrywką.

Artykuły krytyczne

Zgłoszono 46 tytułów materiałów krytycznych (esejów, szkiców, dyskusji, recenzji). Oto czołówka: 1. Maciej Parowski – „Gremlin-sssy atakują!!!", nr 9 (600 głosów, tj. ok. 44% respondentów), 2. „Sześciu egzorcystów" (polemika z Markiem Oramusem), nr 12 (165), 3. Stefania Beylin – „O fantastyce baśni", nr 8 (81), 4. Adam Hollanek – „Lem – geniusz na miarę epoki", nr 3 (79), 5. Pogranicza, manowce, perspektywy SF (dyskusja), nr 7 (38), 6. Jerzy Jarzębski – „Diariusz Igarza", nr 5 (34).

Najwięcej zastrzeżeń wzbudził natomiast artykuł Joanny Russ – „Ku estetyce fantastyki naukowej". Ze 126 głosami (tj. ok. 9% respondentów) znalazł się on na pierwszym miejscu listy czytelniczych minusów (łącznie zgłoszono tu 54 tytuły).

Jak widać w pamięci utrwalają się raczej większe artykuły niż recenzje. Ponadto Czytelnicy preferują pozycje pisane przez publicystów, a nie przez uczonych. Dotyczy to zresztą nie tylko działu krytyki, lecz także działu nauki. Nasi uczeni zdają się przemawiać nawet w swych popularnych publikacjach językiem nazbyt hermetycznym dla współczesnego czytelnika. Zjawisko to znane jest zresztą w literaturze popularyzatorskiej na całym świecie. Dlatego na przykład, jak kiedyś informowali polskich popularyzatorów redaktorzy pisma o tak wysokiej renomie jak „Scientific American", zespół ten pracuje prawie anonimowo, koncentrując się głównie na uzgodnionych z autorami prac naukowych przeróbkach ich tekstów, takich przeróbkach, żeby nie spłycały i nie zniekształcały treści, lecz przekazywały je w formach strawnych dla czytelnika.

W wielu wypadkach, jak wynika z naszego sondażu, Czytelnicy „Fantastyki" w swych ocenach materiałów krytycznych i publicystycznych kierowali się raczej sympatiami do omawianych utworów, nie zaś samymi ocenami ich wartości.

Nauka i SF

Dział nauki jest bardzo wysoko oceniany przez naszych Czytelników. Aż 505 osób, czyli ok. 37% respondentów nie znalazło w nim żadnego złego tekstu (a wydrukowaliśmy ich 18) lub stwierdziło wprost: „wszystko dobre" (rok temu takich odpowiedzi było 22%). Jak można się było spodziewać, najwięcej głosów (992, tj. ok. 73%) padło na teksty (w roku 1986 było ich 9) najpopularniejszego autora „Fantastyki" – Macieja Iłowieckiego. Na liście plusów zajął on cztery pierwsze miejsca: 1. Całość cyklu „Z tamtej strony lustra" (296 głosów, tj. ok. 22% respondentów), 2. „Wampiry", nr 6 (253), 3–4. „Zabójcze zimno", nr 5, oraz „Coś w kosmosie", nr 11 (po 123 głosy). Kolejne pozycje: 5. Arnold Mostowicz – „Co kryją zwoje z Qumran", nr 3 (119), 6. T. Zbigniew Dworak – „Cywilizacje pozaziemskie w SF", nr 8 (113).

Za najsłabszy (czy też może najmniej interesujący) uznano tekst Amita Goswamiego „SF, nauka, nauczanie" (209 głosów, tj. ok. 15% respondentów).

Galeria

Czołówka: 1. Wojtek Siudmak, nr 2 (607 głosów, tj. ok. 44% respondentów), 2. Muzeum kosmicznych wraków, nr 6 (361), 3. Figury niemożliwe, nr 3 (163), 4. Jim Burns, nr 5 (91). Te cztery wystawy w naszej „galerii" skupiły niemal 90% głosów! Wojtek Siudmak był poza konkurencją, ale już na drugiej i trzeciej pozycji są „galerie" tematyczne, grupujące prace nie jednego, lecz po kilku różnych autorów. Znalazły więc swoje liczbowe potwierdzenie opinie niektórych uczestników sondażu, że prezentacja „galerii" indywidualnej powoduje pewną monotonię plastyczną w numerze.

Najmniej podobały się zestawy prac Jacka Kawalerowicza (nr 8; 689 głosów, tj. ok. 50% respondentów) oraz Alberta Robidy (nr 10; 223 głosy).

Dokończenie na następnej stronie

„Fantastyce" przeczytało je blisko 35 osób! (Krzysztof Heller z Poznania)

„Piaseczniki" były bardzo na czasie (okres kanikuły, wypoczynku) i tak odprężające, w przeciwieństwie do niewątpliwie bardzo dobrego „Kompleksu Hioba" M. Oramusa – tak niewakacyjnego, trudnego dla wielu odbiorców, zwłaszcza dla tych młodszych czy mniej zaagnażowanych. Popuśćcie nam trochę w czasie wakacji. (Lucyna R. Malina z Krakowa)

Może wreszcie „coś drgnęło" w polskiej fantasy. Po dość miernych próbach Jacka Piekary i Andrzeja Drzewińskiego wreszcie trochę literatury wyższych lotów. Może by namówić autora „Wiedźmina" na zajęcie się całą serią przygód Geralta... (Marek Cieślik z Łodzi)

Mam do Waszej Redakcji ogromną prośbę. Przesyłam w liście 1000 złotych dla pana Andrzeja Sapkowskiego, który oczarował mnie opowiadaniem „Wiedźmin". Proszę Redakcję o przekazanie tej sumy... (Rafał Wiemann z Poznania)

Prawie wszystkie utwory z roku 1986 są okropnie poważne, opisujące przeważnie DRRRAMATY, CIERRRPIENIA I BÓÓÓLE. Pamiętam, że na początku, w 1983 r. drukowaliście takie rzeczy, jak „Duch V" czy „Elemelek" (absolutnie doskonały). Teraz oferujecie mi tylko gęsią skórkę przy czytaniu albo włosy stające dęba, a ja mam tego dość i chcę się trochę pośmiać... (Agnieszka Szprokoff)

O krytyce

Najmniej mi się podobał artykuł Joanny Russ „Ku estetyce fantastyki naukowej". Jest to rzecz napisana dla innych krytyków, zbyt specjalistyczna, mało zrozumiała dla przeciętnego czytelnika. (Mirosław Wilkowski ze Złocieńca)

Niektóre artykuły są nie do strawienia, tak są profesjonalnie napisane. Skoro musi być – OK – tylko nie tak drętwo. Przeintelektualizowany język tychże artykułów odstręcza od nich, a nie zachęca do czytania... (uczeń technikum w Chrzanowie)

„Pożółkłe kartki" są tak nudne jak „Powrót do Edenu" czy „Niewolnica Isaura"... (R. Wiemann)

Artykuł „Gremlin–sssy atakują!!!" M. Parowskiego wygrał w moim prywatnym plebiscycie dlatego, że zgadzam się z zarzutami pana Parowskiego. Nie każdego przecież stać na magnetowid i kasety, żeby obejrzeć dobry film SF... (A. Pelikan z Polanicy Zdroju)

Czy podzielacie Państwo te opinie o „Fantastyce"? Na pewno nie wszystkie! Ale przecież każdy może pozostać przy swoim zdaniu.

(KS)

SONDAŻ IV

„Fantastyka" w roku 1987

Zapraszamy do kolejnej oceny „Fantastyki". W przypomnieniu sobie wszystkiego, co mogliście Państwo przeczytać **od stycznia do grudnia 1987 r.** pomoże drukowany na str. 63–64 spis treści całego rocznika.

I. W roku 1987 najbardziej podobały mi się (proszę wymienić po jednej pozycji w każdym punkcie):

a) powieść . . . .

b) opowiadanie zagraniczne . . . .

c) opowiadanie polskie . . . .

d) artykuł krytyczny . . . .

e) pozycja z działu „nauka i SF" . . . .

f) „galeria" . . . .

g) I okładka pisma . . . .

II. W roku 1987 najbardziej nie podobały mi się (proszę wymienić po jednej pozycji w każdym punkcie):

a) powieść . . . .

b) opowiadanie zagraniczne . . . .

c) opowiadanie polskie . . . .

d) artykuł krytyczny . . . .

e) pozycja z działu „nauka i SF" . . . .

f) „galeria" . . . .

g) I okładka pisma . . . .

III. Najlepszy numer „Fantastyki" w roku 1987:

. . . .

IV. Najgorszy numer „Fantastyki" w roku 1987:

. . . .

V. Ulubieni autorzy (proszę podać maksimum po 3 nazwiska autorów polskich i zagranicznych, których materiały – powieści, opowiadania, artykuły, felietony, recenzje, itd. – zamieściliśmy w roku 1987):

a) polscy . . . .

. . . .





WILCZA KLĄTWA

NOWY KOMIKS

Komorowski ● Ziemkiewicz



b) zagraniczni . . . .

. . . .

VI. Ile osób poza Tobą czyta ten sam egzemplarz „Fantastyki"? (proszę podkreślić właściwą odpowiedź) a) nikt poza mną, b) 1 osoba, c) 2 osoby, d) 3 osoby, e) więcej osób.

VII. Zamawiam opowiadanie ... (proszę wymienić po jednym nazwisku pisarza polskiego i zagranicznego)

a) autor polski . . . .

. . . .

b) autor zagraniczny . . . .

. . . .

VIII. Dane o Was:

a) płeć: M K

b) wiek . . . .

c) wykształcenie . . . .

d) miejsce zamieszkania (proszę podkreślić właściwą odpowiedź): wieś, miasto do 20 tys. mieszkańców, miasto 21 tys. – 100 tys., miasto ponad 100 tys.

e) zawód

. . . .

f) imię, nazwisko i adres (podają tylko ci, którzy chcą brać udział w losowaniu upominków)

. . . .

. . . .

. . . .

Odpowiedzi tylko na wyciętym z „Fantastyki" formularzu (z wyraźnym dopiskiem na kopercie SONDAŻ IV) prosimy nadsyłać do **25 stycznia 1988 r.** (po tym terminie będziemy honorować jedynie odpowiedzi z zagranicy, gdzie „Fantastyka" dociera później).

(KS)

Czytelnicy i „Fantastyka"

DOKOŃCZENIE

Podobnie jak w ubiegłym roku Czytelnicy odrzucają „skrajności": zarówno „retro" Robidy i Dulaca (rok temu: Grandville i Hogarth), jak i niekonwencjonalna sztuka Jacka Kawalerowicza, Marka Karwackiego czy Witolda Popiela (rok temu: Marzena Kawalerowicz, Lech Okołów, Berdak i Witkacy) – nie znajdują wielu entuzjastów.

Okładki

Oto komplet okładek „Fantastyki" w roku 1986 w kolejności ustalonej przez uczestników sondażu (głosowano jedynie na I okładkę pisma): 1. Marek Zalejski, okładka nr 12 (335 głosów, tj. ok. 25% respondentów), 2. Marek Zalejski i Andrzej Brzezicki, nr 11 (227), 3. Andrzej Brzezicki, nr 3 (218), 4. Wojtek Siudmak, nr 2 (192), 5. Theodor Rotrekl, nr 9 (142), 6. Katoh Nao Yuki, nr 7 (127), 7. Piotr Łukaszewski, nr 6 (36), 8. Jim Burns, nr 5 (27), 9. Andrzej Brzezicki, nr 10 (18), 10. Grzegorz Stańczyk, nr 1 (11), 11. Jacek Kawalerowicz, nr 8 (7), 12. Tomasz Olbiński, nr 4 (2 głosy).

Na liście „minusowej" na pierwszej pozycji znalazła się okładka nr 8 (584 głosy, tj. ok. 43%), przed okładką nr 4 (216 głosów). Ciąg dalszy tego zestawienia jest (poza drobnymi przesunięciami) w zasadzie odwrotnością listy „plusowej".

Proszę się dobrze przypatrzeć osądom czytelniczym na temat oferty plastyków na okładkach „Fantastyki". W tym roku nasi redakcyjni graficy sami zajęli trzy pierwsze miejsca. To chwalebne, ale dla niektórych będzie zapewne nieco kontrowersyjne – „nie wpuścili" oni bowiem na okładki ani Vallejo, ani Tima White'a, ani Sorayamy, czyli czołówki z listy ubiegłorocznej.

Zwracają też uwagę ciągle dalsze miejsca najambitniejszych realizacji. Burns dopiero ósmy, znakomity Kawalerowicz na końcu. Nie zniechęci to nas jednak i musimy powiedzieć, że – jak to zresztą wynika z całej naszej dotychczasowej praktyki i to nie tylko w dziedzinie sztuk plastycznych – będziemy uparcie nadal lansowali najbardziej ambitne dążenia plastyków.

Najlepszy numer

Wybranie najlepszego i najgorszego numeru „Fantastyki" w roku 1986, sądząc po dodatkowych komentarzach uczestników sondażu, sprawiło im najwięcej kłopotów. Liczni respondenci twierdzili, że nie sposób oceniać numeru jako całości, gdyż w każdym można było znaleźć zarówno coś bardzo ciekawego, jak i nie wzbudzającego specjalnego entuzjazmu. Mimo tych rozterek i wielu zastrzeżeń, większość w końcu dokonała wyboru.

Za najlepszy uznano numer grudniowy (312 głosów, tj.ok. 23% respondentów). Przypomnijmy, że znalazły się w nim m.in.: „Wiedźmin" Sapkowskiego, opowiadania van Vogta i Śniegowa, teksty „Sześciu egzorcystów", a także wyniki II sondażu. Na następnych pozycjach Czytelnicy umieścili numer wrześniowy (190 głosów; zawartość: m.in. „Kontrakt za miliard kredytek" Harrisona, „Pieśń łowców" Wolfe'a, „Gremlin-sssy..." Parowskiego) oraz lipcowy (142 głosy; zawartość: m.in. „Piaseczniki" Martina, „Kompleks Hioba" Oramusa, dyskusja o „Pograniczach, manowcach i perspektywach SF").

Przy wyborze numeru najsłabszego zgodność odpowiadających była większa: na numer październikowy głosowało 531 osób, tj. ok. 39% respondentów. Drukowaliśmy wtedy m.in.: fragment „Życia zelektryfikowanego" Robidy, „Dwudziesty pierwszy rozdział księgi FU" Suligi, rozpoczęliśmy „Gwiezdny taniec" Robinsonów. Cóż, Robida (zarówno tekst, jak i „galeria") rzeczywiście się sporej grupie Czytelników nie podobał. *De gustibus non est disputandum.* Znacznie bardziej się zdziwiliśmy drugim miejscem na liście minusowej numeru sierpniowego (137 głosów), w którym drukowaliśmy m.in. aż trzy opowiadania (Tiptree, Pohl, van Vogt), umieszczone przez naszych respondentów w pierwszej dziesiątce tych, które podobały się n a j b a r d z i e j.

Zamawiam opowiadanie...

Prosiliśmy naszych Czytelników, aby wymienili po jednym nazwisku autora polskiego i zagranicznego, którego opowiadanie chcieliby przeczytać na naszych łamach. Rozrzut głosów jest olbrzymi. I jak tu zaspokoić wszystkie życzenia?

A u t o r z y p o l s c y (wymieniono aż 76 nazwisk): 1. Janusz A. Zajdel (166 głosów, tj. ok. 12% respondentów), 2. Marek Baraniecki (135), 3. Andrzej Sapkowski (126), 4. Andrzej Drzewiński (76), 5. Marek Oramus (75), 6. Stanisław Lem (61), 7. Krzysztof Kochański (60), 8. Włodzimierz Różycki (43), 9. Andrzej Zimniak (41), 10. Konrad Fiałkowski i Marcin Wolski (po 30 głosów).

W pierwszej dziesiątce zamówień zmieściło się zaledwie trzech autorów ze starszych pokoleń. Jest w tym i nasza wina, że publikujemy ich za mało, ale oni przeważnie piszą powieści. Jak to zmienić?

A u t o r z y z a g r a n i c z n i (wymieniono aż 105 nazwisk!): 1. Harry Harrison (236 głosów, tj. ok. 17% respondentów), 2. Robert E. Howard (136), 3. George R.R. Martin (104), 4. Roger Zelazny (93), 5. J.R.R. Tolkien (87), 6. Henry Kuttner (60), 7. Ursula Le Guin (49), 8. Arthur C. Clarke (47), 9–10. Brian W. Aldiss i Colin Kapp (po 45 głosów).

Jeżeli chodzi o naszych najbliższych sąsiadów, to najwięcej próśb dotyczyło Kira Bułyczowa, braci Strugackich i Ondřeja Neffa.

Będziemy się starali stopniowo realizować obie listy zamówień, ale oczywiście nie możemy zagwarantować, że we wszystkich przypadkach szybko to się uda. Niektóre życzenia spełniliśmy już w tym roku: wydrukowaliśmy powieść Strugackich „Fale tłumią wiatr" (numery 5, 6, 7), dwa opowiadania Aldissa (nr 3 i 11), opowiadanie Zajdla (nr 7), a także fragment nowej powieści Oramusa (nr 11). Nie zamierzamy oczywiście osiąść na laurach, ale cieszy nas fakt, że w zasadzie wszyscy autorzy wymienieni w czołówce tego „koncertu życzeń" gościli już (co najmniej raz) na naszych łamach.

Niektórzy Czytelnicy swoje zamówienia opatrywali dodatkowymi komentarzami. Najczęściej dotyczyło to Zajdla (prośby o przypomnienie starszych utworów), Lema (prośby o nowe opowiadania, ale...w „starym" stylu) i Sapkowskiego (prośby o cały cykl przygód Wiedźmina).

Zwrócił naszą uwagę też fakt, że o autorach pojedynczych tekstów (nawet dobrych) Czytelnicy szybko zapominają. Na przykład Grzegorz Drukarczyk (autor polskiego opowiadania numer jeden w poprzednim sondażu) znalazł się na liście zamówień poza pierwszą dziesiątką, a Timothy Zahn (rok temu zagraniczne opowiadanie numer dwa, po Conanie) jest z zaledwie 4 głosami aż na 47 pozycji.

□

Na zakończenie wypada się nam rozliczyć z tego, co obiecywaliśmy rok temu, publikując wyniki II sondażu. Przypominamy, że przyrzekaliśmy nie zmieniać profilu pisma, leczu wprowadzać jedynie drobne modyfikacje, zgodnie z sugestiami Czytelników. Prosili oni zaś przede wszystkim o wprowadzenie stałego działu filmowego oraz o zamieszczanie więcej prozy z gatunku fantasy.

Wydaje się nam, że dotrzymaliśmy słowa. Materiały filmowe znalazły się w roku 1987 we wszystkich numerach! W miarę możliwości staraliśmy się dawać więcej fantasy: wydrukowaliśmy opowiadania Tadeusza Meszki (nr 1/87), Zbigniewa Prostaka (nr 2), Gene'a Wolfe'a (nr 4), Feliksa W. Kresa (nr 10), a także powieść Lino Aldaniego i Danieli Piegai (nr 11–12). Oczywiście zdajemy sobie też sprawę, że n i g d y wszyscy jednocześnie nie będą w pełni zadowoleni.

Nasze sondaże to nie tylko okazja do zdobycia przez nas orientacji w tym co się podoba, a co mniej, czego domagają się od nas Czytelnicy, a co zdecydowanie pragnęliby odrzucić. To przecież także kontynuacja – jak gdyby – naszych „Lądowań", naszych nieustających dyskusji z Czytelnikami, a także – co równie ważne – dyskusji Czytelników między sobą.

Publikowanie sondaży pozwala tym, którzy nas czytają dowiedzieć się co większość aprobuje i dlaczego tak się dzieje. Jest to znakomity sposób na konfrontację poglądów i na orientację w tym, co my z tej konfrontacji wykorzystujemy budując profil „Fantastyki".

Bardzo prosimy, żeby Czytelnicy i pod tym kątem spojrzeli na nasz miesięcznik, aby ich pomoc w redagowaniu przez nas pisma stawała się coraz bardziej przemyślana, oparta na wiedzy, na rozeznaniu poglądów nie jednego, nie pojedynczych, lecz sporej liczby Czytelników.

Za uwagę dziękujemy i zapraszamy do kolejnego sondażu.

Adam Hollanek
Krzysztof Szolginia

– Botro, stary łupieżco! – zakrzyknął głośno. I wybuchnął gromkim śmieczem, widząc, że ten go nie rozpoznaje.

Botro przecierał oczy. Podszedł do niego i nagle twarz rozjaśnił mu pełen zdziwienia uśmiech.

– Patrzcie tylko! Marzyciel Gavor! Co tutaj robisz tak wystrojony?

Dobre dwie godziny opowiadali swoje perypetie od dnia, w którym się rozstali po ucieczce z kamieniołomów w Me-Ghir. I popijali bez umiaru: za każdą kroplę brudnej wody, którą musieli gasić pragnienie w niewoli.

– Dziś jest mój szczęśliwy dzień – powiedział Gavor. – Odzyskałem mojego pierwszego konia, tego cenniejszego. Nie fhomera, którego zabrałeś mi w drodze do Tharab i na którym w ogóle mi nie zależało. I spotkałem ciebie, stary huncwocie, przyjaciela, na którym zawsze mogę polegać. Czyż nie?

Botro potakiwał nieznacznymi ruchami głowy z roześmianymi oczami.

– Co będziesz robił teraz? Thungusi odstąpili. Zamierzasz zostać w służbie Hosplunda?

– Dni Hosplunda są już policzone – odparł Gavor poważniejąc. – A razem z nim dni wszystkich tyranów na świecie...

Botro zagwizdał ze zdziwienia.

– Co ty wygadujesz! Postradałeś zmysły? Zdaje się, że wino uderzyło ci do głowy.

Słysząc to Gavor wzruszył ramionami, obruszony.

– Dni Hosplunda są policzone – powtórzył. – Wkrótce zobaczysz jego głowę zatkniętą na najwyższej iglicy zamku Shillpan... I wszystkich władców czeka ten sam los. Już wkrótce rachunki się wyrównają.

– Źle się czujesz, chłopcze! – wykrzyknął Botro, wyraźnie przejęty. Schwycił butelkę i żeby Gavor nie mógł jej dosięgnąć, postawił na posadzce obok siebie, pod ławą.

– Kto może się odważyć na coś takiego? Kto zdoła pokonać i obalić panów?

– Biedacy – spokojnie odparł Gavor. – Biedacy, których przebudzą i którymi pokierują ludzie, posiadający prawdziwą wiedzę.

Botro potrząsał głową.

– Mówisz zagadkami.

– Nie mogę powiedzieć więcej, przynajmniej na razie. Ale jeśli mi ufasz choć trochę, jeśli masz już dość, jak mi się zdaje, samotnego złodziejskiego życia i jeżeli ty też tęsknisz do świata słusznego i czystego, w którym życie znaczy coś więcej niż świętokradcze przekleństwa... to usłuchaj mnie Botro. Kiedy dopełni się cykl księżyca, pójdź na wzgórze świątyń i pytaj o mnie w świątyni deszczu. Zastaniesz mnie tam pod innymi już znakami i będziesz mógł wraz ze mną wyruszyć w pole przeciw kapłanom i tyranom.

Botro wciąż potrząsał głową, strużka śliny sączyła mu się z otwartych ze zdziwienia ust.

– Teraz ruszam – powiedział Gavor i klepnął go po ramieniu. – Muszę pośpieszyć do Thune, do mojej kobiety. Nie zdradź się przed nikim. I nie zapomnij o świątyni deszczu... za miesiąc.

Gavor rzucił na stół srebrną monetę i śledzony ogłupiałym wzrokiem Botra, opuścił karczmę.

*

Całe popołudnie podążał wzdłuż zachodniego brzegu jeziora Bhakra. O zachodzie zatrzymał się pod ogromnym kasztanem rosnącym nad potokiem o chłodnej, kryształowej wodzie. Garściami wyrywał kłącza ciemiernika, który porastał całą okolicę, i przecierał nimi opuchnięte pęciny Uciętego Ucha. Potem, w niepewnym blasku księżyca, którego fiolet nabrał tego wieczoru niepokojących krwistoczerwonych cieni, jeszcze dwie godziny przedzierał się ścieżkami w kurzu zraszanym wilgocią potoku.

Żadnych złych spotkań po drodze. Tylko raz, kiedy przeprawiał się przez mostek, zdawało mu się, że widzi czające się w mroku czarne postacie. Ale obnażony miecz rzucał płomienne blaski i nikt nie odważył się wychylić i zagrozić mu drogę.

O północy znalazł się w ciemnej, zniszczonej wiosce. Na jedynej drodze miotały się stada wychudzonych, kosmatych świń i pochrząkiwały ryjąc ziemię w poszukiwaniu odpadków, których już prawie nie było. Na drugim końcu opustoszałej wioski blady kaganek, przesłonięty czerwonym jedwabiem, rzucał drżące światło u wejścia do walącej się gospody. Przez wypaczone okiennice i byle jak przysłonięte pergaminem okna dochodził męski melodyjny głos i wtórujące mu dźwięki tablà.

– Uganianie się za jaszczurkami stanowi doskonałe zajęcie dla dzieci, a przygważdżanie ich zajmuje kapłanom cały ich czas, a to już dużo w naszej sytuacji.

Starzec nie przestał się jeszcze śmiać, kiedy dał się słyszeć odległy hałas, który szybko przerodził się w szaleńczy tętent: grupa rycerzy w powiewających płaszczach i z obnażonymi mieczami pędziła w niewiadomym kierunku i celu, tratując każdego, kto znalazł się na drodze.

– „Poszaleli" – wykrzyknął w duchu Gavor, przyklejony do muru.

Na chwilę wszystko jakby zamarło, utrwalając scenę, której Gavor już nie zapomniał. Na ulicy bawiła się okryta łachmanami dziewczynka. Kiedy usłyszała galop koni, uniosła się niepewna i jeszcze mniejsza, z wyciągniętymi rączkami w bezskutecznej próbie zatrzymania rzeczywistości. W chwilę później pozostała tylko sterta zakrwawionych gałganów, na których powoli osiadał uniesiony przez konie kurz. I tylko skrawek sukienczyny i długie, delikatne, ciemne włosy miękko poruszały się z wiatrem, w dziwnej parodii życia.

Również starzec, który jeszcze chwilę wcześniej rozmawiał z Gavorem, nie zdążył uskoczyć i leżał teraz na ziemi dziwacznie pokrzywiony.

Wyniośli rycerze z szalonym płomieniem w oczach pomknęli dalej, galopem, którego nie było już nawet słychać.

– Kto... kto to? – wymamrotał Gavor. Obok niego odchyliła się okiennica i przejęta grozą kobieta patrzyła na martwe ciało dziewczynki.

– Rycerze Hosplunda... – powiedziała kobieta. Jej głos był twardy i zimny.

*

Później, włócząc się ulicami Shillpan, Gavor przeszedł obok sklepiku zielarza. Przy wejściu, na niskim stołku, siedział skulony mężczyzna. Za nim stała kobieta, a jej szybkie ręce przeczesywały jego włosy z wprawą zdradzającą doświadczenie w tego typu zabiegach.

Gavor odczekał cierpliwie i, kiedy przyszła jego kolej, równie cierpliwie poddał się zabiegom starej kobiety.

– Na wszystkich bogów – wykrzyknęła zielarka. – Jeszcze nigdy nie widziałam tak zawszonej głowy. Będziesz musiał zapłacić podwójnie, cudzoziemcze.

Wzruszył ramionami. Nieruchomo i bez słowa trwał tak całą godzinę, podczas gdy kobieta, zręcznie strzelając palcami, rozgniatała pasożyty, które zagnieździły się w jego bujnej czuprynie. W końcu wciągnęła go do pomieszczenia.

– Uwolniłam cię od tego, co żyło – powiedziała. – Ale zostało jeszcze pełno jajeczek. Nałóż tę maść na głowę i cierpliwie znieś piekący ból. A potem dobrze wymyj się w Shill-Gur, póki nie brakuje wody.

Gavor zapłacił i podziękował jej. Wyszedł z głową wymazaną maścią i skierował się w stronę rzeki.

Wieczorem, już obmyty, zatrzymał się w gospodzie.

– Co przywiodło cię w te strony, chłopcze? – zapytał go właściciel gospody.

– Chcę zobaczyć, czy znajdę kupców na mój towar – na poczekaniu wymyślił Gavor.

– Co takiego sprzedajesz?

– Siodła i uprząż wszelkiego rodzaju – odparł Gavor. Była to rzecz, na której się znał i żadne pytanie nie mogło go speszyć.

Karczmarz uśmiechnął się jednak dobrodusznie, a błysk oczu świadczył, że to dla niego żadna nowina.

– Wyglądasz mi bardziej na najemnego żołnierza niż na kupca, chłopcze.

Kupiec czy żołnierz, jego monety brzęczały równie dobrze i właściciel gospody nie dręczył go dalszymi pytaniami.

– To niespokojne czasy, czasy, w których potrzeba krzepkich ramion, a widzę, że tych ci nie brak – zakończył i powrócił do swoich zajęć.

Że czasy były niespokojne, nie mogło być wątpliwości: wystarczyło zerknąć na ciągły ruch rycerzy Hosplunda i wsłuchać się w ciężki krok przechodzących oddziałów. Ludzie i zwierzęta błyskali białkami oczu i wybuchali z byle powodu, bezmyślnie i dziko.

Jakiś czas później wysoki i donośny głos zwołał wszystkich na publiczną egzekucję.

Gavor nie lubił takich widowisk, pomyślał jednak, że w tłumie, jaki z pewnością się zbierze, łatwiej mu będzie zebrać informacje: strzępy zdań, rzucone półsłówkami aluzje, imiona i kto wie, co jeszcze.

★

Główny plac Shillpan oświetlony był dziesiątkami zapalonych pochodni. Łagodny, fioletowy księżyc, gdzieś w górze, roztaczał baśniową i przejrzystą jasność. Dwóch wędrownych śpiewaków zdobyło miejsca w pierwszym rzędzie; ludzie plotkowali i zajadali czerwone plastry arbuzów, oczekując tych, którzy mieli zginąć.

Pośrodku placu ustawiono już prosty drewniany podest, uderzany przez jakiegoś chłopca bęben wydawał głębokie i nierówne dźwięki.

Z daleka doszedł odbijający się echem donośny tętent galopujących rycerzy Hosplunda.

Tłum rozstąpił się niczym przecięty ognistym pługiem śnieg.

Rycerze dotarli do placu, wlokąc za sobą pięciu mężczyzn, pozbawionych już twarzy i kobietę, która nawet z daleka, rozjaśniona jedynie bladym światłem pochodni, wydawała się niezwykle piękna.

Chłopiec walił teraz w obciągnięty wyprawioną skórą bęben równo i w coraz szybszym rytmie.

Pięciu mężczyzn ukazało puste i zakrwawione oczodoły. Szli zataczając się, popędzani biczami.

– Już ich torturowano! – zawołał jakiś rozczarowany głos.

– Cóż, będą jedynie straceni – dodał ktoś inny.

– Ale jej muszą jeszcze wszystko zrobić – szemrał tłum. Kobieta miała jasne oczy, które na chwilę przywiodły Gavorowi na myśl wróżkę Uljanę.

– Zdawało jej się, że jest bóg wie kim, ale i ona musi wejść na podest śmierci – mruczała mlaskając jakaś starucha. – Jest jeszcze sprawiedliwość na tym świecie.

– Przyznaj jednak, że to była piękna dziewczyna – odpowiedziała inna.

Gavora uderzyło, że wszyscy mówili o niej „była", jakby już nie istniała na tym świecie, choć dziewczyna jeszcze żyła.

– Kiedy się zacznie? – ktoś krzyknął. I to był jakby sygnał. W ciężkiej ciszy, która nagle zaległa, jeden z rycerzy schwycił najbliższą pochodnię i powoli zbliżył ją do włosów dziewczyny. Uniósł się drżący płomyk i przez chwilę zdał się zawieszonym jaśniejącym motylem, jeszcze jedną ozdobą rozpuszczonych włosów. Po chwili motyl przeobraził się w rój pszczół na szacie dziewczyny, by stać się ognistym wężem, którego dziewczyna chciała z siebie strącić gwałtownymi ruchami uniesionych konwulsyjnie rąk.

Drugi z rycerzy Hosplunda chlusnął w nią wodą z cebrzyka. Ognie sycząc zgasły. Postać, którą jeszcze przed chwilą spowijały płomienie, była teraz skręcona i poszarzała, bez włosów. Jej śmierć musiała być powolna, żeby długo przyciągać uwagę tłumu i żeby na niej mogły się skupić wszystkie cierpienia, wszystkie zgryzoty, ślepe przerażenie wstrząsające całym Shillpan. A męka była tak nieodwołalna i ostateczna, że każdy poczuł się lżej, dziękując, że nie znalazł się na miejscu dziewczyny.

Ledwie rozpoczęły się tortury, Gavor rzucił się w stronę drewnianego podestu, nie wiedząc nawet dobrze, co zamierza uczynić, pchany jedynie nagłą potrzebą przeciwstawienia się. Stojący obok mężczyzna powstrzymał go.

– Jestem handlarzem noży, chłopcze i jeśli zamierzasz dać się ukatrupić, będę miał o jednego klienta mniej – wyszeptał do ucha Gavora. Jego ręce były mocne i w pewien sposób ten uścisk przywołał w pamięci chłopca siodlarza, którego przez tyle lat uważał za swojego wuja. Może to wspomnienie go uspokoiło. A może sprawiła to świadomość, że nie jest w stanie uczynić niczego dla skazańców.

Handlarz noży nie rozluźnił uchwytu przez cały czas trwania okrutnego widowiska, dopóki dziewczyna jeszcze żyła. Nawet później, kiedy wszystko się skończyło, jeszcze go trzymał, gestem jakby przyjacielskim, lecz skutecznym jak chwyt zapaśnika.

– Stój spokojnie, chłopcze – powtarzał. – Stój spokojnie, albo skończysz tak samo.

Tłum skutecznie zasłaniał ich przed podejrzliwymi spojrzeniami siepaczy Hosplunda, przed dzikimi spojrzeniami rycerzy.

– Już jestem spokojny – powiedział Gavor.

Razem z handlarzem noży oddalił się powoli, jak najdalej od zbroczonego krwią placu. Nie potrafił

Gavor, zbrojny w miecz i z godłem władcy, mógłby postawić na swoim, wolał jednak posłuchać rady starego nędzarza.

Sędzia cierpiał na podagrę i sporo czasu minęło, nim zszedł ze schodów i zjawił się w sali przyjęć.

– Kiedy i od kogo kupiłeś konia? – zapytał zwracając się do kupca.

– Zeszłej jesieni, na drodze wiodącej z Agu-Snosko tutaj do nas, do Bhakry. Odstąpił mi go handlarz skórami za trzy sztuki srebra. Dobra cena za wierzchowca, choć siodło było już stare i porwane...

Sędzia odwrócił się do Gavora, rozkładając ramiona.

– Żołnierzu – rzekł – czuję respekt dla twego miecza i insygniów, które nosisz. Słyszałeś jednak, co rzekł ów kupiec. Czy jesteś w stanie wykazać fałsz jego słów?

– Wiem tyle tylko, że koń został mi zabrany zeszłej jesieni przez człowieka wiozącego futra z glishas, niedaleko Samarabh. Jeszcze nie byłem wówczas rycerzem, byłem prostym podróżnym...

Sędzia przeciągnął ręką po niemal całkowicie łysej czaszce.

– Możesz to wykazać? – odezwał się śpiewnym wyuczonym głosem. – Jesteś w stanie przedstawić dowody?

– Siodło – powiedział Gavor. – Jeśli nie było zmieniane, jego zawartość może wskazać prawdziwego właściciela konia.

– Mów jaśniej – zachęcił go sędzia.

– Zapytaj kupca, czy wie, co kryje się w siodle pod siedmioma miedzianymi guzami i w podwójnie zszytym skrzydle.

Kupiec nie wiedział, co odpowiedzieć. Spoglądał niepewnie to na Gavora, to na sędziego.

– Pod siedmioma guzami – ciągnął Gavor – znajduje się siedem złotych monet, a w siodle ukryta jest złożona mapa, a w niej kosmyk rudych włosów.

Służący sędziego pośpieszył sprawdzić wiarygodność jego słów i ci, którzy stawiali na żołnierza, wznieśli radosne okrzyki: spod miedzianych guzów wysypały się złote monety, znalazła się też mapa wuja Obhera, a w załamaniach mapy czerwone ogniki włosów Duny.

– Koń jest twój – zawyrokował sędzia. – Twoje jest też siodło. Ale kupiec nabył go w uczciwy sposób i nie ponosi za to winy. Ruszajcie w pokoju. Przesłuchanie zakończone.

★

Teraz mieczem mógł bronić złotych monet, nie było więc potrzeby skrywać ich i Gavor wsunął je do sakiewki u pasa, a mapę schował za kamizelę.

Śpieszno mu było wrócić do Thune, do swoich bliskich i do Duny. Odległość – powiedział mu kiedyś wuj Obher – jest jak wiatr: gasi małe płomyki, a rozdmuchuje duże. Teraz, po roku spędzonym daleko od swojej wioski i od rudowłosej dziewczyny, Gavor nie miał żadnych wątpliwości. – „Mam tylko nadzieję, że Duna nie zmęczyła się oczekiwaniem na mnie" – powtarzał w duchu.

Dokładnie sprawdził podkowy i rzemienie przy siodle, nabył nieco zapasów i namiot, który przytroczył za siodłem. Potem, chcąc się posilić, wybrał oberżę, nieco odosobnioną i położoną w głębi zaciemnionej, spokojnej uliczki.

Wewnątrz zastał nielicznych gości, niemal wszyscy siedzieli samotnie lub po dwóch, co najwyżej trzech. Karczmarz drzemał w rogu sali, ledwie jednak Gavor stanął w progu, uniósł się z ławy i ruszył mu naprzeciw, a za nim sunęła młoda dziewczyna: godło Hosplunda wzbudzało szacunek i bojaźń nawet w Bhakrze, pomimo iż było to miasto wolne, położone daleko od Shillpan.

– To najlepszy stół w całym lokalu – zapewniał karczmarz i ulokował go pod szerokim oknem wychodzącym na ulicę, z daleka od hałasów i zapachów dochodzących z kuchni.

Gavor jadł z umiarkowaniem, lecz zażądał rzadkich i drogich win, w odwecie za wodę, jaką musiał pić w chacie Kroneba i w świątyni Zosthara.

Sączył swoje wino tocząc wokół obojętnym spojrzeniem, myślami powracał do tysiąca przeszkód, jakie musiał pokonać w trakcie długiej wędrówki.

W głębi pomieszczenia, odwrócony tyłem, jakiś samotny człowiek w milczeniu popijał wino. W zarysie jego ukrytej w półmroku twarzy, w linii szyi i łopatek, które wystawały spod zgrzebnego turkusowego płótna koszuli, było coś znajomego. I kiedy człowiek, opróżniwszy swój kubek, rzucił na stół monetę, uniósł się i odwrócił w stronę wyjścia, Gavor nie miał wątpliwości: fioletowa plama na twarzy stanowiła nieomylny znak.

Raz jeszcze poprowadził go podziemiami świątyni, wprost do ukrytego pomieszczenia, w którym zgromadzono płócienne woreczki wypełnione czymś tajemniczym.

– Otwórz jeden z nich – polecił stary mnich.

Gavor usłuchał w milczeniu. Zosthar wsunął do woreczka niewielką czarkę i nabrał szarego proszku.

– To proch grzmotu. Meklür w niektórych swoich pismach nazywa go „salpitah". Meklür nauczył nas, jak go otrzymywać; trzeba wymieszać w odpowiednich proporcjach drobno zmielony węgiel, żółty proszek ze wzgórz Fanarabh i białą sól, jaka osiada na ścianach naszych stajni.

– To magiczny proszek?

– Magiczne proszki nie istnieją – zniecierpliwił się Wielki Akolita. Pchnął Gavora z powrotem i poprowadził długim korytarzem, który kończył się w szerokiej na dziesięć łokci niszy. Wzdłuż ścian poustawiano gdzieniegdzie kamienne bloki skalne wysokości człowieka.

– Wybierz największy z nich – polecił Zosthar – i sztyletem wydrąż pod nim otwór, taki by zmieścić się mogła ta czarka.

Gavor szybko wykonał polecenie, a kiedy otwór był już gotowy, Zosthar wsunął weń czarkę z proszkiem. Potem rozciągnął na ziemi skręconą bawełnianą nić, długą na trzy dłonie, i zakrył otwór kamiennymi odpryskami.

– Oddal się – nakazał Wielki Akolita. – Pędź na sam koniec korytarza, ja uczynię podobnie, kiedy tylko zapalę kordonek.

Gavor usłuchał z drżącym sercem, po paru chwilach stary mnich sapiąc stanął przy nim. I potworny huk wstrząsnął podziemiem. Kiedy w dymie i pyle, który tamował oddech, wrócili do groty, po potężnym bloku skalnym nie pozostał ślad: rozsypał się na tysiące kawałków.

– Grzmot Meklüra! – zakrzyknął podniecony Wielki Akolita. – Tą właśnie bronią pokonamy tyranów.

Rozdział XXI

Następnego dnia, kiedy słońce wysoko wzniosło się nad horyzont, Gavor zszedł ze wzgórza świątyń. Koń, którego dała mu Hancla, zgubił jedną podkowę i wyraźnie kulał. Torował sobie drogę w tłumie biedaków w łachmanach i żebraków, daremnie poszukując kowala. Znalazł się wreszcie na wielkim placu targowym.

Ludzie miotali się jak oszaleli, błagając choć o krztę strawy, o parę okruchów, którymi mogliby oszukać głód. Sklepikarze i handlarze zza pełnych żywności straganów przepędzali kijami wychudłe ramiona, sięgające po pierwsze z brzegu towary.

Znajdował się już w samym środku tego zgiełku i wszystko wokół wrzało od jęków, przekleństw i błagalnych lamentów, gdy ujrzał uwiązanego przed karczmą swego wiernego konia – Ucięte Ucho. A właściwie to koń go rozpoznał: donośnie zarżał i gwałtownie stanął dęba.

Mały tłusty człowieczek z zieloną opaską na ramieniu, oznaką pośredników handlowych, wybiegł z karczmy sprawdzić, co się dzieje. Ujrzał konia, który zerwawszy postronek, oddalił się i lizał teraz dłonie Gavora.

Zbliżył się, czerwony ze wzburzenia, lecz Gavor zmroził go jednym spojrzeniem.

– Ten koń jest mój – powiedział młodzieniec, skandując słowa. – Moje jest także siodło.

– Oszczerca! – gniewnie wrzasnął pośrednik. – Nosisz miecz i herb Hosplunda, ale nie daje ci to prawa do rozgłaszania fałszu.

– Koń jest mój – spokojnie, acz z naciskiem powtórzył Gavor.

– Kupiłem go uczciwie – zapewniał człowieczek. – Dałem za niego wraz z siodłem trzy sztuki srebra i nie pozwolę, byś mi go odebrał.

Wokół nich zebrał się już tłum nędzarzy i włóczykijów.

– Idźcie do sędziego – zaproponował jakiś siwobrody żebrak z orlim nosem. – Jedynie sędzia może rozwikłać spór.

jednak wymazać z pamięci okrutnych scen, których był świadkiem. Żeby odwrócić jego uwagę, kupiec zaczął opowiadać mu historyjki o miastach, które widział, ludziach, z którymi się zetknął, o towarach, jakie sprzedawał: bogato zdobionych sztyletach z południa, wygiętych ostrzach z północy, o puginałach z kościaną rękojeścią i z wizerunkiem fortuny wyrytym na pochwie, o trójkątnych jelcach z rowkiem na truciznę.

– Wy, kupcy, jesteście niby igła, która zszywa całe terytorium – stwierdził Gavor, zapominając, że sam nazwał się kupcem.

– Właśnie tak – potwierdził jego rozmówca. – My, kupcy, przenosimy się z regionu do regionu i o wszystkim wiemy najlepiej.

Gavor już zamierzał zapytać go o biały księżyc, wolał jednak nie ryzykować i nie zmieniać podjętego wątku.

– Widziałeś wiele egzekucji? – zapytał.

Kupiec z powagą potwierdził skinieniem głowy.

– Powiedz – nie ustępował Gavor – czy nigdy nie próbowałeś interweniować?

– Miałoby to opłakane skutki.

– Opłakane? Dlaczego? Może dla twoich interesów?

– Nie bądź cyniczny – uśmiechnął się kupiec. – Dla moich interesów z pewnością, ale także i dla wszystkich.

– Nie rozumiem ciebie.

– Jesteś uparty, chłopcze. Ale dzisiaj moim towarem niech będzie cierpliwość, z tego choćby powodu, że zgodnie ze starym przesądem, kiedy komuś uratuje się życie, jest się za niego odpowiedzialnym.

Zamilkł na chwilę, jakby szukając odpowiednich słów.

– Widzisz, wszystko, co się dzieje, ma swoją przyczynę. Także zadawane ludziom cierpienie.

– Jakaż może być przyczyna stosowania tak okrutnych kar? – przerwał mu Gavor.

– Kim jesteś, byś mógł osądzić, czy to skuteczna metoda? Czyżbyś studiował nauki prawnicze, skoro sądzisz, że możesz przyrównać karę do winy?

– Ale jakie może być usprawiedliwienie kaprysu władcy? Słyszałeś przecież, jak ogłaszano, że wszystko zostanie wykonane z rozkazu i woli Hosplunda, znudzonego i żądnego rozrywki.

– Władca Hosplund jest panem ludzi, ich domostw i stad, jest też panem swoich kaprysów, tylko dlatego jednak, że my wszyscy postanowiliśmy, że może mieć taką władzę – odparł kupiec, a jego głos był suchy jak piasek pustyni. – Gdybyśmy wszyscy... wszyscy, chłopcze, doszli do wniosku, że czas powiedzieć dość, nikt nie stanąłby w obronie Hosplunda, nie znalazłby się nikt, na kim mógłby wypróbować choćby najbardziej niewinny kaprys.

– Na co więc czekamy? – wybuchnął Gavor.

– Młody i porywczy przyjacielu – uśmiechnął się kupiec. – Czekamy, aż wszyscy razem, jak ci mówiłem, będziemy przekonani, że nadeszła ta chwila. Bo jeżeli nie, to tylko wystraszymy tyrana, pozwolimy mu wzmocnić siły i w nieskończoność przedłużymy jego dziwactwa i kaprysy.

– W tym czasie jednak – gorzko stwierdził Gavor – wielu musi znosić podobne męki.

Kupiec wzruszył ramionami. Jego twarz skurczyła się.

– Są różne rodzaje bólu, chłopcze, różne... i można nauczyć się z nim żyć – zakończył.

– No tak: o ile zachowa się życie.

Chmury przesłoniły łagodny fiolet księżyca, a gwałtowne lecz krótkie porywy wiatru oznajmiały zbliżanie się burzy.

– Widzisz, woda przemyje skrwawione bruki – wymamrotał kupiec, ze wzrokiem utkwionym w chmurach.

– Woda?...

Rozdział XVII

– Co się dzieje? – pytał Gavor, który nie zdążył jeszcze otrząsnąć się ze snu.

– Dzieje się, że dziś rano wyruszyliśmy na połów – szyderczo zaśmiał się człowiek, który ściągnął go z łóżka – i wpadłeś w nasze sieci!

– Ale... ale... co to znaczy?

– Jesteś głupi jak wszystkie ryby, więc bądź przynajmniej niemy jak i one – rzucił mu zbir, zmuszając go do ruszenia się rozdzielanymi od niechcenia razami.

„Łowcy" uzbrojeni byli w długie miecze i to wystarczyło, żeby rozpoznać w nich żołnierzy w służbie władcy Shillpan.

– Wszyscy do zamku! – zarządził człowiek, który był zapewne dowódcą.

– Brakowało nam tylko przymusowego wcielenia – wymamrotał jeden z więźniów i natychmiast spadła na niego rękojeść miecza.

– Cisza! – wrzasnął ten, który go zdzielił. – Czas zacząć uczyć się posłuchu. Odpowiadać tylko, gdy się jest pytanym.

I w ten sposób Gavor znalazł się na żołdzie Hosplunda, tyrana Shillpan, tego samego, który panował nad wszystkimi możnymi ziem ościennych. Wzburzone miasto oczekiwało pojawienia się najeźdźców, setki tysięcy jaszczurek szeroko otwierało pyszczki w niemej agonii, nadziane na ostrza krat bram i okien, na ciemnych pniach drzew.

★

Nadeszło lato. Pomimo jaszczurek i ropuch, przygwożdżonych na progach domów, bóg wód wchłonął wszystkie rzeki wokół Shillpan. Oddziały stojące na wschodniej granicy ponuro spoglądały na wyschnięte rany, które przekształciły się w wygodne prowadzące w głąb regionu drogi.

W zamku Gavora czekał jeden z dziwniejszych okresów życia. Po przestronnych kamiennych komnatach kręciło się mnóstwo mężczyzn i kobiet, zupełnie różnych od tych, jakich dotychczas znał. Zdawało się, że wśród zamkowych murów nie istniało inne prawo poza uporczywą chęcią życia: nakazem nadrzędnym był pościg za przeżyciem wszystkiego, co się da, nie wykluczając najbardziej nawet wyuzdanych doświadczeń. W tym pełnym przepychu, acz ponurym i noszącym piętno śmierci świecie, zagrożenie, jakie nieśli ze sobą Thungusi, dodawało jeszcze pikanterii mieszaninie rozpusty i okrucieństwa.

Dwie tylko postacie zdawały się rzeczywiste pośród tego orszaku masek. Pierwszą był wędrowny śpiewak, tragicznie blady, który bezskutecznie starał się ująć w karby rymów to, co się działo. Druga miała rysy młodej faworyty Hosplunda. Nieledwie dziecko, z upartą iskrą niewinności w oczach, wypukłym czołem, długimi jak u źrebaka nogami i z niewyrażalnym wdziękiem, który czynił ją lekką jak motyl w chwili podrywania się do lotu.

Każdego wieczoru zmuszona była zająć miejsce u boku Hosplunda, pana ludzi, domostw i stad, podczas gdy wędrowny grajek intonował pieśń o wyjątkowo smętnych rytmach i nieprzyzwoicie goliardycznych słowach, wywołując dziwny dreszcz trwogi tym niezrozumiałym kontrastem.

Wina w pucharach ubywało, a szaleństwo dworzan sięgało szczytu. W kadzielnicach tliły się zioła suszone wedle tajemniczych rytuałów i cała rzeczywistość rozwiewała się w odurzających oparach, spowijała tajemnicą, ulatywała w upojny wymiar zapomnienia.

Urodziwy Gavor często odbywał służbę w zamkowych komnatach. Młodzieniec z Thune, wyprostowany, z piką wspartą o posadzkę, w milczeniu obserwował rozpasanie świata, dla którego nie istniał głód, świata dziko oddającego się bezwstydnym przyjemnościom, przyjmującego za nadrzędne prawa kaprysy i dziwactwa na wpół obłąkanego władcy.

Podczas jednej z takich służb jego wzrok napotkały oczy faworyty, Havy i zatopiły się w nich.

Być może wiodła go gorączkowa pogoń za uczuciem pełnym ryzyka, przeżywanym na granicy możliwości, a może bezwstydny i słodki zarys ust dziewczyny, który kontrastował z blaskiem niewinności w jej oczach lub też niebieskawy i gorzki dym tlących się ziół, który przywodził mu na myśl Uljanę. Ale w zamku Uljany, w świeżym powietrzu przesyconym zapachem śniegu wszystko wydawało się zbawienne, nawet magia ziół stanowiła część tego, co zwało się miłością. Na dworze Hosplunda zaś czuć było odór zepsucia i strachu.

Mimo to Hava pociągała go z siłą, która przeradzała się w ból. I nadszedł wieczór, kiedy wpatrzona w niego ułożyła czerwone usta w niemym słowie – „Jutro".

Gavor nigdy nie zdołał odtworzyć męczącego wyczekiwania tamtej niekończącej się nocy: myśli

z niewielkiego otworu po przeciwnej stronie wysunął się metalowy punkcik. Stary mnich przeciągnął nim po otwartej dłoni i Gavor ujrzał na skórze wykwitający niebieskawy ślad.

– To pędzel Meklùra. Widziałeś już coś podobnego?

Drugi przedmiot był złotą bransoletą z niewielkim płaskim puzderkiem, niewiele większym od monety. Zosthar dotknął go i nieznany blask rozjaśnił blady napis wytłoczony niezrozumiałym pismem.

– Co to takiego? – zapytał oszołomiony Gavor.

– Ta bransoleta jest przyrządem służącym do odmierzania czasu, choć nie ma w sobie nic z naszych zegarów słonecznych. Jeszcze nie wiem, jak działa, choć Meklùr pozostawił na jednym z tych zwojów pergaminu dokładny opis. Chciałbym teraz, byś uważnie przyjrzał się trzeciemu przedmiotowi.

Była to niewielka płytka, szeroka jak dłoń, pokryta czerwoną skórą i złożona w pół. Gavor rozdarł ją i na jednym skrzydle ujrzał ciąg maleńkich rysunków, bardzo podobnych do tych, które zdobiły jego amulet, a na drugim... Na drugim boku umieszczony był wizerunek: niewielki rysunek przedstawiający głowę młodzieńca. Portret Meklùra – wyjaśnił Zosthar. Kapryśny artysta wykonał go w białych i czarnych barwach, ale portret choć mały, z niezwykłą precyzją oddawał wszystkie szczegóły.

– To niemożliwe – wzdrygnął się Gavor. – Żaden artysta nie zdołałby namalować podobnego wizerunku, choćby posługiwał się najdelikatniejszymi pędzlami.

– I rzeczywiście, podobizna ta jest dziełem maszyny – wyjaśnił Zosthar, Wielki Akolita. – Przyjrzyj mu się dobrze, Gavorze. Nie zauważyłeś podobieństwa do siebie? Kiedy stawiłeś się przed nami wczoraj, wystarczyło mi jedno spojrzenie i nim jeszcze zacząłeś mówić, rozwiały się wszelkie moje wątpliwości.

★

Na klasztornym dziedzińcu, chronieni wysokim murem i z dala od niedyskretnych spojrzeń pielgrzymów mnisi ćwiczyli się w strzelaniu z łuku i władaniu mieczem.

Gavor przyglądał się z boku. Minęły cztery dni od jego przybycia do świątyni i zaczynał mieć dość rozwodnionego wina i skromnych posiłków. Lecz ciekawość nie została wcale zaspokojona. Zosthar wprowadził go w najbardziej skryte tajniki zapisów, pomijając wszystkie stopnie wtajemniczenia. W porównaniu z młodymi adeptami, wciąż mierzącymi się z podstawami sztuki czytania, posiadł on umiejętność biegłego śledzenia pisma. Zawdzięczał to wujowi Obherowi, który od dzieciństwa, kiedy świat jego ograniczał się do zabaw, z niebywałą gorliwością dbał o wykształcenie w nim tej umiejętności.

Ale trapiły go nie tylko przeszkody natury doktrynalnej. Kiedy myślał o realizacji ogromnego przedsięwzięcia Meklùra, nachodziło go tysiące wątpliwości. Żeby osiągnąć podobny cel, należało mieć w gotowości bez porównania więcej zbrojnych i dysponować potężniejszymi środkami. Zosthar, a wcześniej Kroneb, mówili mu o adeptach, rozsianych we wszystkich liczących się miejscach, nawet w odległych regionach. Również w Thune, wyjawił mu Wielki Akolita, była dwójka ludzi gotowych do wzniecenia buntu i zajmowali oni wcale nie poślednie miejsca w zamku tyrana Khavla. W osłupienie wprowadziła go wiadomość, że byli to kapitan straży Grumak i jego adiutant Griva. Ale pole działania wydawało się przeogromne i obejmowało wszystkie ziemie od Górnej Mediny po Wielką Rzekę, nie wyłączając doskonale obwarowanych miast Kongarabh i Shillpan. Gavor widział w tym zamysł szalony, z góry skazany na niepowodzenie.

Przyglądał się młodym mnichom, bladym, wychudłym, bez krzepy w mięśniach, którzy z trudem utrzymywali miecz w dłoni oraz starszym, z ciężkimi brzuchami i wątłymi nóżkami, niezdolnym należycie napiąć łuk. Smutny i komiczny widok.

Ktoś dotknął jego ramienia. Wielki Akolita uśmiechał się ufnie.

– Wiem, o czym myślisz – powiedział, a twarz jego nagle poszarzała. – Myślisz, że zwycięstwo nie uśmiechnie się do nas nigdy.

Gavor ruchem głowy wskazał mnichów na dziedzińcu.

– Ci ludzie nie potrafią utrzymać nawet miecza, padną wszyscy przy pierwszym starciu.

Wcale nie – ostro zaprotestował Zosthar. – Miecze i łuki dobrze nam posłużą, nie mam wątpliwości. Lecz nasza zwycięska broń jest innej natury. Chodź, człowieku małej wiary. Chcę pokazać ci tajemniczą broń Meklùra, tę, która przyniesie nam zwycięstwo, nim upłynie miesiąc.

Bóg czarnej puszczy powiedział: Nawet gniew powodowany nieprawością burzy oblicze. Żyjemy w ciemnych czasach, więc nie możemy być dobrzy.

A ja, Meklùr, mówię wam, że broń należy do ludu, mówię wam, że kapłani i władcy to perz świata, chwasty, które żywią się życiodajnymi sokami innych. Pozbawieni korzeni, mają tylko zachłanne ręce, którymi chcą czerpać. Ja, Meklùr, mówię wam, że bogowie to ludzie, lecz człowiek jest bogiem wtedy tylko, gdy występuje w imieniu nie tylko swoim, lecz wszystkich.

Mierni despoci odległych czasów wiatrem spisali swoje triumfy. Złotem można opłacić najemnych zbirów, przekupić motłoch. Lecz woda zawsze zmierza ku morzu, lawina schodzi w doliny i nikt nie zdoła jej powstrzymać, tak jak żaden wybieg, żaden spisek uknuty przez możnych, żadna nikczemność kapłanów nie stanie na przeszkodzie ludowi w odziedziczeniu ziemi.

★

Następnego dnia Gavor ponownie zszedł do podziemi, tym razem w towarzystwie Wielkiego Akolity.

Noc spędził bezsennie, przewracając się z boku na bok na posłaniu maleńkiej celi, którą wyznaczył mu usługujący mnich. Przez długie godziny tajemnicze słowa Meklùra niby ogniste duchy przesuwały się przed jego oczami w niekończącej się sarabandzie. I usłyszał jakby przepowiednię, uroczystą i dumną, która dopełniała magię pulsującego wokół niego ognistego pisma.

– Nie masz powodu, żeby się zniechęcać – powtarzał mu Zosthar, stojąc obok pulpitu. – Słowo Meklùra pozostaje niejasne również i dla mnie, choć całe życie spędziłem pochylony nad tymi pergaminami.

Gavor potakiwał, być może pocieszony.

– Wygląda, jakby napisał to ktoś niespełna rozumu – powiedział, tracąc na chwilę panowanie nad sobą. I natychmiast zganił się w duchu za słowa, które nieopacznie wymknęły mu się z ust, słowa kłopotliwe niczym przekleństwo.

Wielki Akolita uśmiechnął się.

– To dlatego, że szukasz konkretnych wyobrażeń – powiedział pobłażliwie. – Meklùr pozostawił nam obraz swego świata i są w nim niezrozumiałe miejsca, lecz my musimy skupić się na konkluzji jego wywodu, w której nakłania nas, byśmy przygotowali się do wielkiego buntu, żeby odmienić losy świata.

– W tym miejscu zapis jest dla mnie zupełnie jasny – zgodził się Gavor – być może dlatego, że taką prawdę nosiłem w sobie na dnie serca od dawna. Ale nic więcej nie rozumiem! Kim są bogowie, o których mówi Meklùr? Bóg narodu żółtego... bóg narodu czerwonego... bóg czarnej puszczy... i pozostali...

– To nie byli bogowie – cierpliwie tłumaczył Zosthar. – Byli to ludzie wielkiej mądrości i od nich właśnie posiadł swą wiedzę Meklùr, a później próbował przekazać ją nam.

– Ludzie? Gdzie i kiedy żyli?

– To byli ludzie ze świata Meklùra.

– Tak, ale świat, o którym mówi Meklùr... gdzie on się znajduje?

– Poza czasem i przestrzenią – westchnął Wielki Akolita.

– Poza czasem i przestrzenią... Nie pojmuję. A gdyby to było oszustwo? – zatroskał się Gavor. – Może z nas zadrwił lub może to wytwór chorej wyobraźni?

Twarz Zosthara nagle spoważniała.

– Moje oczy widziały, jak Meklùr spłonął żywcem na placu w Fanarabh. Żaden człowiek nie ruszy naprzeciw śmierci z samej chęci zadrwienia... Meklùr miał żółte oczy, oczy, które nie mogły być z tego świata. A ty jesteś jego potomkiem, w twych oczach jarzą się dziwne złociste punkciki, nie powinieneś więc okazywać takiej niewiary. Amulet, jaki nosisz na szyi... to moneta. Czy wydaje ci się, że mógł wybić ją rzemieślnik z naszego świata?

Zosthar wysunął spod pulpitu szkatułkę i wyjął z niej trzy dziwne przedmioty.

– Przyjrzyj im się dobrze – powiedział twardym głosem.

Pierwszy z nich był drążkiem, nieco krótszym od dłoni, sześciokątnym jak komórka pszczelich plastrów, wytworzony z połyskliwej żółtej substancji. Zosthar przycisnął kciukiem jeden z końców drążka i

mąciły mu się w głowie i nieustannie spoglądał w ciemne, wąskie okienka zamkowych murów, wypatrując pierwszych przebłysków świtu.

– „Jutro" – powiedziała mu faworyta Hosplunda. Dlaczego świt nie nadchodził? Ręce zesztywniały mu na drzewcu piki, palce pobielały od dręczącego napięcia. Świt wciąż nie nadchodził, a Hosplund szarpał brudnymi łapami włosy dziewczyny i jej drobna głowa poddawała się jak targany burzą kwiat, jej oczy były magnetycznym wichrem, usta śmiały się i zdały się wyzwaniem dla Hosplunda, Gavora, dworu, dla całego niewiarygodnego życia, na jakie została skazana... a może, jakie sama wybrała.

– „Jutro" – Gavor czuł suchość w gardle, ręce miał mokre, w trzewiach ból jak brzemienna kobieta.

Hosplund spał. Już spał... Spał! Jasnoszara mgła wciskała się w wąskie otwory strzelnicze. Damy dworu zrzucały suknie i zataczając się znikały w swoich komnatach. Znużeni rycerze z okrutnie wykrzywionymi twarzami i nogami jak z waty po całodziennym siedzeniu w siodle, podążali za swoimi wybrankami. Niepostrzeżenie młoda faworyta wyślizgnęła się spod ramienia Hosplunda i wyprostowana, lekka, wdzięcznym, niezdecydowanym krokiem sarny podeszła do Gavora, ofiarowując jego zamglonym oczom lubieżny czar powiewających welonów i hipnotyzujący blask naszyjników i diademów.

Zioła o barwie mułu tliły się jeszcze w kadzielnicach: w wielkiej komnacie lekki dym układał się w długie, urzekające arabeski. Życie napływało i odpływało jak ziejący oddech straszliwego potwora. Z nieartykułowanym okrzykiem Gavor dotknął wyciągniętych rąk dziewczyny.

– Zaczekaj... – wyszeptała, rozglądając się po niemal już pustej sali. – Idź za mną, ale uważaj, żebyś nie stracił mnie z oczu, gdyż w pewnym miejscu jest sekretne przejście...

Gavor zostawił opartą o mur pikę i ruszył za dziewczyną. Spódnica Havy unosiła się wokół kostek w rytmie oddechu Gavora. Mgła spowijała wszystko wokół: jego oczy rozpoznawały ledwie kontury komnat, choć słońce już wzniosło się nad horyzont i zalało wnętrza złotym blaskiem. W galerii, którą przemierzali, odciskało się słoneczne piętno: wiernie przycięte cienie ostrzy na posadzce, kurz, który unosił się bezgłośnie w powietrzu, wzmagając wrażenie, że przechodzą przez ruchome, niematerialne zasłony.

Dziewczyna odwróciła się i posłała mu uśmiech, który zajaśniał wszystkimi obietnicami świata. Gavor na oślep przeszedł ostatnią już zasłonę.

★

Obudził się z ciężkiego snu, wypełnionego absurdalnymi zjawami. Havy nie było obok niego. Początkowo Gavor nie zdawał sobie sprawy, gdzie się znalazł: narzuty i jedwabne szale rozłożone na posadzce tworzyły jego posłanie. Żadnych sprzętów: jedynie miękkie tkaniny, brokaty i bezładnie porozrzucane szaty. Izba była niezwykle mała, z jednym tylko niewielkim okienkiem w górze, przez które sączyło się fioletowe światło księżyca.

– Garderoba Havy – szepnął. Nie pamiętał, jakim sposobem tam się znalazł. Po chwili, powoli powróciła mu pamięć tego, co się wydarzyło, krótkimi przebłyskami wypełniając próżnię między snem a rzeczywistością. Gavor nigdy nie zdobył pewności, czy posiadł sarenkę Hosplunda, choćby dlatego, że dziewczyna, co nie stanowiło nowości na dworze, zniknęła nagle, z dnia na dzień, uduszona we śnie lub wrzucona do jakiegoś lochu, a może po prostu zabita nadmiarem rozpusty i narkotyków.

Wydarzenia potoczyły się teraz szybko. Niepewność Gavora, co do jego własnych przeżyć nałożyła się na niepomyślne wieści o nadciągających Thungusach. I pewnego wieczoru w oddali dały się słyszeć donośne dźwięki: larum, grane przez długie trąby z brązu, świadczyło, że barbarzyńcy rozprawiali się z przygranicznymi pułkami i przygotowywali się do oblężenia samego Shillpan. Wokół białych murów miasta pojawiły się ognie biwaków, czarny niczym przekleństwo dym wzbił się ku niebu.

★

Nastąpiły długie dni szturmów, wypadów, zasadzek, potyczek, które z wysokości murów zdawały się mało zażarte, lecz okrutne i krwawe były dla tych, którzy ścierali się w obłokach kurzu tam w dole, na spustoszonej równinie.

Na zewnętrznych tarasach umocnień bezlitośnie jaśniejące słońce przeszywało na wskroś nabite na pale ciała Thungusów. Taką właśnie okrutną mękę zgotował Hosplund tym, którzy w impecie ataków dostali się do niewoli. Thungusi nie okazali się gorsi: wokół murów, poza zasięgiem strzał, również wznieśli niekończący się rząd zaostrzonych pali, czekających na żołnierzy Hosplunda, którzy nieopacznie dostawali się w ich ręce podczas codziennych wycieczek. Niejeden z pali gościł już na swoim wierzchołku sine i wrzeszczące ciała niefortunnych żołnierzy. Najszczęśliwsi umierali natychmiast, dla wielu jednak agonia trwała długo, z jednej i z drugiej strony znaleźli się tacy, którzy krzyczeli cały dzień i noc, nim drewniany pal zagłębił się ostatecznie w trzewia.

O świcie czarne chmary kruków wzbijały się do lotu, wypierając nocnych drapieżników. Rzeź skaziła powietrze i w najbardziej skwarnych godzinach dnia, kiedy walki ustawały, słychać było natarczywe brzęczenie much, obsiadujących otwarte rany żołnierzy.

Wkrótce do tych okrucieństw dołączyło widmo głodu. Nieliczni zamożni mieszkańcy zajadle bronili zgromadzonych zapasów, jednak większość znalazła się w godnym pożałowania położeniu: kobiety gotowały zielska, porastające dziedzińce, starcy wyłapywali myszy, wygrzebywali robaki i skorpiony spod bruku ulic, gdyż nawet koty i psy dawno zniknęły.

Słowem, panował głód, nieubłagany i bezwzględny, głód, który wywoływał halucynacje i doprowadzał do obłędu.

Jedynie zamek Hosplunda, władcy ludzi, domostw i stad, zdawał się nietknięty przez fetor bitwy, krew, nędzę. Szaleńczo tętniło w nim życie: orgiastyczne, wyszukane uczty, podczas których psy Hosplunda zżerały tyle, że starczyłoby dla tuzina rodzin, rozpusta, zachcianki ludzi pozbawionych wszelkich hamulców, ostentacyjne manifestowanie czczych kaprysów, zakłady, niedorzeczne próby zręczności. Grajek, także pijany, próbował wydobywać szaleńcze dźwięki: jego muzyka, bezładna i pełna fałszywych nut szyderczo odzwierciedlała upadek dworu, zepsucie dam i plugawą upadłość rycerzy jak groteskowe maski dyszących nad winem i pieczystym.

Wszystko kręciło się nadal, bez ustanku, jak przekleństwo. I trudno było nawet uwierzyć, że kiedyś przyjdzie kres.

Wreszcie, niespodziewanie, Thungusi przypuścili decydujący szturm.

Dzień zapowiadał się parny, bez najmniejszego podmuchu wiatru. Czerwone opary wilgoci wisiały w powietrzu, rozleniwieni żołnierze rozłożyli się w niedbałych pozach w zacienionych zakamarkach. Dwójka dzieci, mających może pięć lub sześć lat, wymknęła się spod opieki starszych i nie wiadomo jakim sposobem wdrapała się na szczyt baszty, dłubiąc między kamieniami dwoma białymi i płaskimi przedmiotami – może były to wypolerowane żebra jakiegoś dawnego obrońcy – i rzucały w dół drobiny ziemi z kamykami, udając, że odpierają atak wymyślonego wroga. Ale głos, który wybuchnął tłumionym przekleństwem, był rzeczywisty. I należał do muskularnego wroga o szerokiej i żółtej od pyłu twarzy: przedostał się przez górną krawędź muru i strącił dzieci w próżnię wewnętrznego dziedzińca.

Gavor ujrzał ciała spadające niby puste, niewielkie sterty szmat. I zdało mu się, że spadają nieskończenie długo. Potem usłyszał głuche plaśnięcie i na bruku rozlały się dwie czerwone kałuże krwi.

Jak opętany rzucił się, by powstrzymać Thungusów, którzy dzikim wrzaskiem oznajmiali radość ze sforsowania murów. Niechybnie byłby padł, jeden przeciw wszystkim, gdyby inni obrońcy nie pospieszyli mu z pomocą i nie odciągnęli poza krąg śmierci.

Oszalałe walki rozgorzały na basztach i dziedzińcach. Thungusi wychylali się poza obrzeże murów i razili niewielkimi strzałami, maleńkimi jak zabawki, ale dokładnymi i śmiercionośnymi. A potem przeszli do walki wręcz, wymachując długimi, wygiętymi szablami, którymi jednak nie byli w stanie pokonać toporów żołnierzy Shillpan.

Zwodzony most, solidnie zamocowany do murów, poddał się z trzaskiem i głuchym łoskotem, od którego zadrżała ziemia. Thungusi zwartymi szeregami niemal wtargnęli do niższego zamku, lecz rycerze Hosplunda, zbrojni w piki i maczugi, pospieszyli z odsieczą, od tyłu atakując napastników.

W obrębie murów i poza nimi bitwa toczyła się aż do zmierzchu, szale zwycięstwa wciąż przechylały się to na jedną, to na drugą stronę. Cały obszar usłany był trupami i dogorywającymi, ramię Gavora słabło, oczy zaślepione kurzem i krwią błagały o koniec tej bezsensownej rzezi.

Dlaczego Thungusi chcieli zawładnąć fortecą? Żeby zdobyć zgromadzone tam skarby i żyć lepiej.

– Słusznie – zgodził się Zosthar. – Nie zapominaj jednak, że władza święta i bezsporna prowadzi do rządów absolutnych i przeradza się w tyranię, źródło wszelkiej nieprawości.

Tymczasem zakonnicy wstali od stołu i oddalali się małymi grupkami do swoich cel.

– Zrobiło się późno – zauważył Wielki Akolita, chowając ręce w szerokich rękawach habitu. – Tobie też potrzebny jest odpoczynek...

– Kroneb wspomniał mi o relikwiach Meklûra – przerwał mu Gavor. – Za twoją zgodą chciałbym je zobaczyć, natychmiast.

– Pojmuję twoją niecierpliwość – uśmiechnął się Zosthar. Skinął na młodego zakonnika, który pozostał jeszcze w końcu stołu. Kiedy ów stanął przed nim, Zosthar wręczył mu klucz.

– Zaprowadź brata Gavora do tajnego sanktuarium świątyni.

Wielki Akolita uniósł się, pozdrowił Gavora ruchem dłoni i opuścił pustą już salę.

Zakonnik wziął ze stołu grubą zapaloną świecę i dał znak Gavorowi, żeby podążył za nim. Długim korytarzem przeszli wzdłuż podwójnego rzędu cel i stromymi kamiennymi schodami zsunęli się w dół. W głębi, ukryte za dębową płytą, otwierało się przejście wąskie na łokieć i tak niskie, że Gavor musiał posuwać się zgięty w pół.

Po dwudziestu krokach prowadzący go zakonnik zatrzymał się. Gavor ujrzał niewielkie drzwi z masywnego drewna, wzmocnione ćwiekami i sztabami z polerowanego metalu.

Zakonnik obrócił klucz w zamku i otworzył drzwi.

– Jesteś w sanktuarium Iduòra Meklûra – wyszeptał. – Nazywamy to miejsce pępkiem świata.

Znalazł się w ciasnej, okrągłej komnacie, z ławą i małym pulpitem pośrodku, a w szafach, jakie ją otaczały, zgromadzono zwoje pergaminów. W niskim, zamkniętym kopułą sklepieniu znajdowały się niewielkie otwory umożliwiające swobodny przepływ powietrza.

– Umiesz czytać? – zapytał mnich, stawiając świecę na pulpicie.

– Tak, ale od czego zacząć? – odparł, wskazując otaczające go zwoje. – Wszystko to napisał Meklûr?

– O tak, to jego dzieło – przytaknął mnich. – Wystarczy, jeśli dziś wieczór poznasz najważniejszy zapis. W najbliższych dniach będziesz mógł przeczytać całą resztę.

Na pulpicie leżała metalowa szkatuła. Mnich wyjął z niej cienki zwój pergaminu i rozwinął go w świetle świecy.

– Testament Meklûra! – powiedział podniosłym głosem. – Jeśli znaczenie tych słów nie będzie wystarczająco jasne, nie proś mnie o wyjaśnienie, zwróć się bezpośrednio do przeora. Ja jestem młodym adeptem, osiągnąłem ledwie pierwszy stopień wtajemniczenia...

Drżąc z wrażenia, które ściskało mu gardło, Gavor pochylił się nad pulpitem.

Ja jestem Mac Lure heretyk. Mój świat znajduje się po tamtej stronie przestrzeni i czasu, za wszystkimi dolinami i górami, dalej niż sięga jakakolwiek kraina ziemska lub niebiańska, niemożliwy do osiągnięcia.

Ja jestem Mac Lure, rzucony pod wasze niebo niedorzecznym czarem. Tutaj, uwięziony na zawsze, dożyję moich dni w marzeniach o niemożliwym powrocie.

Ja jestem Mac Lure, okryty mrokiem bezkresnego wygnania, ale także światłem prawdziwego poznania. Mój świat jest światem, w którym księżyc jest biały, w którym żelazne ptaki latają szybciej niż głos, gdzie ludzie mogą rozmawiać i widzieć się na odległość tysiąca tysięcy mil, gdzie zagładę zwiastuje głos grzmotu, w proch przemieniając całe miasta, a pył śmierci unicestwia i czyni bezpłodnymi dziesięć generacji.

Ja jestem Edward Mac Lure, który żył w Fanarabh jako Iduòr, i przemawiam do wszystkich w imieniu prawdy i prawości.

Bóg Protagoras powiedział: Człowiek jest miarą wszechrzeczy.

Bóg znad Sekwany powiedział: Ludzie rodzą się i żyją wolni i równi w prawach.

Bóg Czterech Kantonów powiedział: To lud dyktuje prawa.

Bóg Iljcz powiedział: Żaden bunt bez świadomości buntu.

Bóg narodu żółtego powiedział: Bunt opiera się na ostrzu miecza.

Bóg narodu czerwonego powiedział: Ziemi nie można ani kupić, ani sprzedać, należy ona do ludzi wolnych.

gaj laurowy i znalazł się po przeciwnej stronie pagórka. Od razu też rozpoznał świątynię, kruchy i dziwaczny budynek, otwarty na wszelkie kaprysy pogody.

Deszcz przeszedł w ulewę. Gwałtowne podmuchy wiatru wstrząsały dziwną konstrukcją świątyni. Jej filary i delikatne łuki celowo nie były zwieńczone sklepieniami, żeby oczyszczający deszcz mógł rytualnie obmywać nawy świątyni. Woda spływała strumieniami po smukłych kolumnach z czarnego bazaltu i wsiąkała we wszechobecny mech. Z powodu wilgoci i mchu budowla przypominała skamieniały las, choć częściowo zachowała swój pierwotny kolor.

Gavor przekroczył próg świątyni. Wewnątrz, z powodu szalejącej burzy i późnej już pory, z trudem odróżnił duży kwadratowy blok kamienny, stojący pośrodku budowli oraz widniejący pod murem rząd niewielkich nisz, w których leżały złożone wota.

– Czego szukasz, synu wszechświata, bracie nieszczęścia, ojcze nieprawości? – cicho zapytał go mnich, który zjawił się u jego boku. Jego okryta płaszczem zakonnym postać zlewała się z nastającą ciemnością.

– Dlaczego nadajesz mi te wszystkie imiona? – spytał zaintrygowany Gavor.

– Wszystkich tak zwiemy: póki nie nadejdzie odpowiednia chwila, wszyscy będziemy ojcami nieprawości. Wszechświat powołał nas do życia, jesteśmy więc jego synami. Co do nieszczęścia zaś, jest ono nieodłącznym naszym towarzyszem... Ale nie odpowiedziałeś mi. Pytałem, czego szukasz, gdyż noc już blisko, a grzmot przetacza się po niebieskich bezdrożach.

– Szukam białego księżyca.

Zakonnik zamarł na chwilę, która zdała się niezwykle długą, potem gwałtownie uskoczył w bok i zwinnie stanął przed nim. W tym momencie błyskawica rozjaśniła ciemność świątyni: Gavor ujrzał młodą i gładką twarz, błyszczące i duże oczy, które wpatrywały się w niego ze zdziwieniem.

– Księżyc jest biały tylko dla tego, kto posiada klucz do wiedzy – zawyrokował młody zakonnik, a cień, który znów go skrył, wydał się po nagłym, oślepiającym błysku jeszcze bardziej nieprzenikniony. I dodał głosem niepewnym i podejrzliwym:

– Ale ty może nie wiesz jeszcze wystarczająco dużo. Kto ciebie przysyła, żołnierzu?

– Przysyła mnie Kroneb, mędrzec z jaskini i chcę mówić z Zostharem, Wielkim Akolitą. Powiedz mu, że przybywam w imieniu Meklûra.

Sala była długa i przestronna, wydrążona w żywej skale, rozświetlała ją nieskończona ilość świec. Czterdziestu zakonników zasiadło wokół długiego stołu, a przed każdym stała misa i dzban. Gavor siedział pośrodku, obok Wielkiego Akolity, człowieka, który z pokorą i wyrzeczeniami przyjął na siebie ciężar całego zakonu.

– To, co widzisz, stanowi tylko zewnętrzny pozór, maskę, która umożliwia nam kierowanie sektą. Kroneb powiedział ci, że mnichami jesteśmy tylko z nazwy. Dla najmłodszych z nas to tylko habit, nic więcej. A ja i wszyscy starsi... cóż, nie jesteśmy już zakonnikami, a raczej jesteśmy nimi w odmienny sposób: ojciec twojej matki nauczył nas, że prawdziwa religia jednoczy się z prawdziwą nauką, a prawdziwa wiedza to ta, którą nam przekazał, nim umarł...

– Wiedza, której ja nie znam – z zakłopotaniem zauważył Gavor.

– Będziesz miał cały twój czas na jej poznanie – uspokoił go Zosthar. Zmierzwił sobie długą brodę i dodał: – Jedno musi być jasne. Jesteś spadkobiercą Meklûra, żyjącym dowodem jego ludzkości, ale dziedzictwo krwi nie daje ci żadnych praw. Od nikogo nie możesz spodziewać się tutaj żadnych przywilejów. Nie jesteś bowiem potomkiem boga: Meklûr zawsze podkreślał, że bogowie nie istnieją i że on sam jest tylko człowiekiem.

– Ale ja... – nieswojo wyjąkał Gavor, rozglądając się wokół – ja nie żądam niczego. Jestem tutaj po to, żeby służyć. Komu winien jestem posłuszeństwo?

– Teraz mnie – odparł Zosthar. – Ale dlatego tylko, że ja jestem głosem woli wszystkich lub prawie wszystkich. Moja władza trwać będzie dopóty, dopóki oparta będzie na powszechnej aprobacie i ty sam, lub ktokolwiek inny, będziesz mógł jutro przejąć moją funkcję, jeśli większość adeptów tak zdecyduje.

Gavor uśmiechnął się, nie potrafiąc ukryć sceptycyzmu.

– W ten sposób autorytet władzy nigdy nie będzie pewny...

A dlaczego obrońcy Shillpan musieli odepchnąć Thungusów? Żeby zachować swoją własność i żyć w bogactwie.

Śmierć stanowiła cenę, którą każdy gotów był zapłacić. Każdy, nie licząc najwyższych kapłanów i panów, którzy zaszyli się w celach świątyń lub w warownych basztach fortec.

Rozdział XVIII

– Zdążyłem się już przyzwyczaić – powtarzał stary żołnierz, ocierając przedramieniem pot. – Co rok lub prawie co rok historia się powtarza. Thungusi przybywają, palą zbiory, grabią bydło. I, nienasyceni, próbują splądrować miasto, żeby powrócić na swoje pustynie obładowani złotem i z naszymi kobietami. Zawsze jednak wracają z niczym. Shillpan jest niezwyciężone.

– Ale tym razem niewiele brakowało – uśmiechnął się Gavor. Opatrywał swoje draśnięcia i kontuzje, odniesione w ostatnim, decydującym starciu. Doglądał przy tym prac ziemnych przy fosach, do których stawili się wszyscy mężczyźni okręgu.

– Stara historia – powtórzył żołnierz, spluwając w ręce i łapiąc się za łopatę. – Żeby już na tym zjadłem.

Złapał za nogi ciało poległego Thungusa i wrzucił je do fosy.

– Pas ziemi wokół murów – powiedział, zwracając się do Gavora – jest najżyźniejszy w całym regionie. Ziemia tak tłusta, że mogłaby dawać podwójny plon. Bylibyśmy jednak szaleńcami, gdybyśmy ją uprawiali: ze zbiorów cieszyliby się Thungusi lub poszłyby na zmarnowanie.

– Mają właściwie do tego prawo – zażartował Gavor – skoro ich własne ciała służą za nawóz.

Może starzec nie pojął ironii, a może nabrał niejasnych podejrzeń. Rzucił na Gavora niepewne spojrzenie i bez słowa wziął się do pracy.

★

Thungusi wycofali się, pozostawiając jak zwykle za sobą spalony krąg lasów, rozpacz i nędzę: pola uprawne wokół Shillpan zostały spustoszone, zbiory zapowiadały się mizernie, nawet w części nie mogły zaspokoić potrzeb ludności.

Kupcy, którzy zjawili się w Shillpan po zakończeniu oblężenia, opowiadali o podobnej nędzy na północy i o krwawo stłumionych buntach: o żołnierzach podstępnie pomordowanych i rzuconych świniom jako strawa, o buntownikach strącanych wraz z odpadkami z murów zamków.

– Żołnierze są silniejsi, lepiej uzbrojeni – opowiadali kupcy. – Wprawiają się w sztuce wojennej całymi dniami i są w stanie walczyć, tak jak chłopi orać. Tylko człowiek niespełna rozumu może sądzić, że zdoła ich pokonać.

Gavor przysłuchiwał się tym rozmowom i przypominał sobie opowieść o Durkalu z Thumby, zasłyszaną od drwala Andiraqa w borach Wilczych Dołów.

Heroldzi Hosplunda przemierzali kraj. Obwieszczenie było jasne i nieodwołalne: połowa zbiorów, jakkolwiek mierne by one były, należała się pod karą śmierci władcy Shillpan.

W sytuacji, jaka panowała, nakaz brzmiał jak okrutna kpina. Pewien chłop uniósł motykę i rozwalił głowę wysłannikowi z zamku. Podziałało to jak iskra na rżysku. W jednej chwili zewsząd zerwał się krzyk, polała się krew, żołnierze ginęli hańbiąco przebici widłami lub od ciosów sztyletów w plecy. Ale, rzecz jasna, za wszystko zapłacili wieśniacy.

Gavor został wysłany z poleceniem stłumienia jednego z wielu ognisk buntu, dwadzieścia mil na południe od stolicy. Przyparty do muru, starał się nie zabijać ludzi, którzy znaleźli się przed nim: bił płazem, nikogo nie raniąc, odrzucał od swojej piersi zęby wideł i sinawe ostrza wąskich rydli. Taka forma obrony niezbyt długo przynosiła rezultat. Szybko znalazł się z daleka od swojego oddziału, otoczony rannymi buntownikami, którzy nacierali na niego z dziką desperacją.

Jakaś motyka z całą mocą spadła na jego ramię, otwierając głęboką ranę. Zwalił się z konia na ściernisko i ujrzał nad sobą żelazo wideł i ramiona tuzina szyderczo wrzeszczących wieśniaków. A potem ruda grzywa Duny oplotła go niby całunem. Znów stał się dzieckiem w Thune, w stodole pachnącej

świeżo zwiezionym sianem. A Duna, towarzyszka jego zabaw, rzuciła się na niego, przewracając go ze śmiechem.

★

– Duna... – wymamrotał Gavor w gorączkowych majakach. Chłodna ręka jego dziewczyny musnęła mu czoło. – Brakowało mi ciebie... tak mi ciebie brakowało.

– Nic nie mów, jesteś jeszcze słaby – mówiła. Ale głos nie należał do Duny. Był inny, oschły, nie miał śpiewności ludzi z Thune.

– Ty nie jesteś Duną... – załkał Gavor. Rozczarowanie było silniejsze od niego: płakał jak dziecko i gorzkie łzy płynęły mu po policzkach. Uniósł rękę, chcąc je osuszyć, i przeraził się: To nie mogła być jego ręka: to była ręka umarłego. Biała, chuda, z widocznymi pod przeźroczystą skórą żyłami, niebieskimi i delikatnymi jak rzeki na mapie wuja Obhera.

– Leż spokojnie, nie mów i nie ruszaj się – nakazał stanowczy głos dziewczyny, którą wziął za Dunę. – Zobaczysz, że wyzdrowiejesz, ale musisz robić to, co ci nakażę.

Być uległym wydało mu się mniej męczące od dyskutowania.

Tego dnia obudził się ponownie, a ona jeszcze raz nakazała mu wypoczywać. Ale za trzecim razem zdało mu się, że nabrał nieco sił i spróbował unieść się na sienniku.

– Gdzie ja jestem! Kim jesteś?

– Jesteś w lesie, w kryjówce Hozasa, człowieka, którego spotkałeś na rynku w Kongarabh. Ja jestem jego córką.

– Hozas? – wymamrotał Gavor z zamętem w głowie. – Co tutaj robię?

– Byłeś ranny, leżałeś bez czucia całe osiem dni, a ja opiekowałam się tobą jak matka swoim noworodkiem. Ale widzę, że szybko przychodzisz do siebie i już chciałbyś gdzieś pędzić – powiedziała z dąsem. – Wbrew moim poleceniom. Kazałam ci leżeć spokojnie, nie mówiłam ci przecież, żebyś unosił się i trwonił tę odrobinę sił, którą dzięki mnie odzyskałeś.

– Chcę... chcę wiedzieć, dlaczego tu jestem, co tu robię. Chcę wiedzieć, kto mnie ranił, od kiedy...

W głowie mu się zakręciło. Zamknął oczy i osunął się na posłanie. Kiedy tracił czucie, usłyszał jeszcze głos dziewczyny:

– Już ci mówiłam...

★

Gavor spędził w leśnej kryjówce więcej czasu, niż mógł i chciał pamiętać. Za każdym razem, kiedy próbował stanąć na nogi, przewracał się, a Hancla, córka Hozasa, musiała pielęgnować go dokładnie jak noworodka.

– Miałeś szczęście, że mój ojciec był w pobliżu, kiedy cię raniono – mówiła mu. – W przeciwnym razie zostałby już z ciebie wydziobany przez kruki szkielet.

– Nie miałyby wielkiej uczty – śmiał się Gavor, patrząc na swoje sterczące kości.

– Wtedy wyglądałeś inaczej, byłeś postawnym chłopcem – prowokująco mówiła Hancla. – Teraz żadna by cię nie chciała, nawet ta Duna, o której mówiłeś w majakach.

– Duna tak, Duna mnie zechce – spierał się. Wtedy twarz Hancli chmurzyła się i nie chciała więcej rozmawiać. Jej twarz była zacięta i nieprzenikniona, rzadko znikał z niej surowy mars, ale jej silne, nawykłe do pracy ramiona potrafiły być delikatne, a jej grube palce poruszały się z łagodnością i uczuciem.

Hozas prawie zawsze był poza domem. Po stłumieniu buntu żołnierze Hosplunda zwerbowali go razem z innymi do prac przy naprawianiu zamkowych murów. Wracał raz na pięć lub sześć dni, na lichej, wychudzonej szkapie, przesypiał noc i o świcie wyruszał z powrotem.

– Możesz być spokojny – powiedział mu pewnego wieczoru, podczas skromnego posiłku. – W Shillpan wszyscy sądzą, że zginąłeś, nikt nie będzie cię szukał.

– Za parę dni wyruszam – próbował tłumaczyć Gavor.

– Ja też ruszam – powiedziała Hancla.

– Z nim?

– On mnie nie chce. Ruszam sama, w tundrę, na północ od Wielkiej Rzeki.

wszystkim musimy wytępić prześladowców, a nie będzie to rzeczą prostą, gdyż stanowią oni jedność z kapłanami, a sprzyja im prostactwo ludu.

– Co mam czynić?

– Wyruszysz do Bhakry, do sanktuarium boga deszczu i zapytasz o Wielkiego Akolitę. To on trzyma nici wszystkiego. Staw się przed nim i wyjaw, kim jesteś.

– Wyruszę jutro skoro świt...

– Nie. Zatrzymasz się tutaj jeszcze parę dni. Zbyt wielu rzeczy jeszcze nie wiesz... Ja jestem tylko pośrednim ogniwem. Nim jednak zapoznasz się z relikwiami po Meklurze, pozwól, bym ja zadbał o twoją inicjację.

– Zgoda – przytaknął Gavor. – Powiedz mi jeszcze: dlaczego biały księżyc?

Kroneb uśmiechnął się.

– W świecie Meklura księżyc nie jest fioletowy. Jest biały, iskrzy się jak śnieg w promieniach słońca.

Rozdział XX

Niezdrowy odór na milę otaczał miasto. Cała nędza świata, nieuleczalnie chorzy, mierni szarlatani i oszuści skupili się wokół Bhakry i jej świątyń oczekując cudów.

Wielki portal z czarnego kamienia prowadzący do miasta wieńczył zatarty, choć jeszcze czytelny napis:

By pozyskać łaskę bogów
cztery rzeczy są niezbędne
spłodzić syna
wykopać studnię
zasadzić drzewo
odbyć pielgrzymkę do Bhakry

– Dawniej napis brzmiał inaczej – zaśmiał się jakiś kaleka, wlokący się obok Gavora. – Trzy były rzeczy potrzebne dla uzyskania łaski bogów, nie było mowy o pielgrzymce do Bhakry. Ale w miejscu tym, niechaj niebo je przeklnie, aż roi się od karczmarzy i jeden z nich, syn dzikusa z lasu i ulicznej dziewki, zmienił napis, po wsze czasy nabijając sobie w ten sposób kabzę. Nie mogę uwierzyć, że bogowie mogliby upatrzyć sobie podobne miejsce!

– Dlaczego więc przybyłeś tutaj? – zapytał Gavor. Także i jemu miasto wydało się nędzne i ponure, mimo otaczającego je tłumu. A może właśnie ów tłum tworzył tak ponurą atmosferę.

– Nie wierzę w cuda – odpowiedział kaleka z grymasem – ale nigdy nic nie wiadomo... Słyszałem o ślepcach, którzy odzyskali wzrok, tutaj, w Bhakrze, i o niemowach, którym wróciła mowa. Kto wie, może znajdzie się zaklęcie dla nóg, które nie mogą się poruszać...

Wzgórze sanktuariów było strome, tłumnie oblegane przez nędzarzy i Gavor stracił kalekę z oczu. Ale zdawało się, że wszystkich przygnała tutaj taka sama mieszanina niedowiarstwa i nadziei, a w przekleństwach unoszących się w cuchnącym powietrzu pobrzmiewał ton groźby i upokarzającego błagania. Zimny wieczorny wiatr wciskał się pod łachmany, przewiewał otwarte rany, powodował drżenie u tych, których nie trzęsła jeszcze febra. A czarne kruki, wysoko w górze, krakały z ponurą rozpaczą.

Tymczasem niskie i ciężkie chmury zawisły nagle jakby ściągnięte magią nad szczytem wzgórza. Gavor rozglądał się, próbując odgadnąć, która ze świętych budowli wznoszących się na zboczach może być świątynią boga deszczu.

– Jej mury są z błękitnego kamienia – powiedział mu Kroneb – a kopuła szeroko otwarta na niebo.

Żadna ze świątyń nie odpowiadała temu opisowi. Chciał dowiedzieć się czegoś od obdartych pielgrzymów, którzy wraz z nim wdrapywali się stromymi ścieżkami wzgórza: w odpowiedzi obrzucono go wrogimi przekleństwami. Starucha z twarzą ospeczoną koroną ropiejących wrzodów zachichotała szyderczo.

– Zaraz będziemy mieli potop – powiedziała z wyraźną ironią – a ty chcesz modlić się do boga deszczu!

Gavor przyśpieszył kroku i skręcił w boczną ścieżkę z zamiarem obejścia wzgórza. Przeszedł przez

nego i niegodnego ucznia. Gavor i już brzemienna Margret byli prześladowani i musieli uciekać. Ale siepacze kapłanów wyśledzili ich i zadali im śmiertelne rany. Ciało Margret znaleziono w lasach pod Samarabh, ciało Gavora niedaleko zachodniej bramy miasta. Po dziecku żadnego śladu.

– Mój ojciec zdążył powierzyć mnie kowalowi...

– Wiem, powiedziałeś mi to we śnie, jaki sprowadziły na ciebie moje zioła...

Gavor parę chwil milczał. I wybuchnął:

– A teraz? Co mam czynić?

– Teraz jesteś jak łuk napięty do granic wytrzymałości. Czytam w twoich oczach tysiące pytań, ale musisz posilić się i wypocząć. Później będziemy mieć dużo czasu na dalsze rozmowy.

★

Zapadła noc i wylot jaskini otwierał się na nieprzenikniona ciemność. Koń Hancli grzebał kopytami, niespokojny, choć uwiązany był w pewnym miejscu i nie brakowało mu paszy. Para nietoperzy miotała się między ścianami jaskini w niemej i ślepej gonitwie, pozornie bez celu.

– Stawiasz za dużo pytań – mówił spokojnym głosem, który drżał głęboko, odbijany od ścian jaskini. – Iduór Meklúr zaczął nauczać dopiero w ostatnich latach życia. Ja byłem jednym z pierwszych jego uczniów, zafascynowały mnie jego smutne i niewiarygodne opowieści. Iduór nie nauczał na placach, wolał zaciemnione kąty tawern, leśne polany, na których miał zwyczaj pogrążać się w medytacjach.

– Ty go znałeś! – westchnął Gavor z nutą żalu.

– Tak, znałem go. Miał żółte oczy krogulca, ale głos łagodny i drżący niczym głos turkawki. Kiedy wpadał w melancholię, intonował dziwaczne melodie, tajemnicze i niezrozumiałe pieśni swoich stron...

– Skąd przybył?

Kroneb rozłożył bezradnie ramiona.

– Nawet on tego nie wiedział. Żył sobie spokojnie w swoim świecie, świecie odmiennym od naszego, ale także i podobnym, jeśli trzymać się jego opowieści, i nagle... ot tak, w jednej chwili, poczuł, że oplata go mroczny płaszcz, a kiedy znów ujrzał światło, znajdował się pośrodku lodowej tundry, za Wielką Rzeką.

– Na bogów – wykrzyknął Gavor. – Co to za historia? Jak może być, że sam Iduór nie był w stanie określić swego pochodzenia! No właśnie: ten jego świat musi przecież gdzieś istnieć, może za Kordylierą Smoków, może za wschodnią pustynią, a może za ogromnym, lodowym morzem północy...

Kroneb cały czas potrząsał głową.

– Bezowocne jest szukanie tam, gdzie myślisz. Iduór miał swój pogląd na tę kwestię. Mówił, że jego świat znajduje się tutaj, przemieszany z naszym, a jednak niewidoczny. Mówił, że przestrzeń jest jedna, ale jest nieskończona ilość światów, a wszystkie zajmują tę samą przestrzeń, choć pozostają sobie nieznane. Światy, które mogą nie wiedzieć o swoim wzajemnym istnieniu, tak jak nie wiedzą o sobie sowy i gołębie, choć zamieszkują ten sam obszar. To bardzo odległe porównanie, lecz trudno znaleźć mi odpowiedniejsze. Iduór rzekł, że pewnego dnia ludzie odnajdą klucz do otwarcia wszystkich drzwi i będą mogli przechodzić ze świata do świata zgodnie z własną wolą, a nie tak, jak sprawi ślepy los, wbrew nim samym. Ten dzień jest jednak bardzo odległy, nie wystarczy, być może, wiedza stu pokoleń uczonych...

– To szaleństwo – Gavor przygasł nagle. – Szukałem cały rok, cały rok cierpiałem niewolę, udrękę, nadludzkie trudy. I po to tylko, żeby usłyszeć teraz o świecie, który jest i którego nie ma, o świecie, który otworzy swoje wrota, kiedy kości moje staną się prochem...

– Dość – przerwał mu Kroneb. – W sekcie Meklúra są uczniowie, którzy zajmują się teorią, ale są i inni, większość, którzy dbają o sprawy namacalne.

– Co to znaczy?

– Powiedziałeś, że cierpiałeś niewolę, trudy i udrękę. Cierpiałeś też pewnie głód i znosiłeś niesprawiedliwość. A więc dobrze, bliski cel, ku któremu dąży nasza sekta, to wykorzenienie głodu i niesprawiedliwości. Jesteś młody, porywczy i jak wszyscy młodzieńcy zbyt mało oddajesz się refleksji, wolisz działać. Jeśli chcesz do nas przystać, jeśli zamierzasz uszanować pamięć ojca twojej matki, człowieka, który rozbudził nasze umysły, znajdzie się dla ciebie zajęcie. Czas wielkiego buntu jest już bliski. Przede

Hozas potrząsnął głową z wyraźną niechęcią.

– Moja córka ma złe w głowie – powiedział. – Któregoś dnia rzeczywiście mnie zostawi i skaże na samotną starość.

– Zawsze możesz osiedlić się w Kongarabh, u mojej siostry, tej, która miała więcej szczęścia ode mnie i znalazła sobie męża.

Stary Hozas potrząsał cały czas głową, ale nic nie odrzekł.

Następnego dnia, kiedy podawała Gavorowi dzban z wodą do umycia, powiedziała, wskazując na jego amulet:

– Kroneb ma taki sam.

Gavor aż podskoczył, wytrącając jej dzban z rąk.

– Kto to jest Kroneb? Jesteś pewna, że jego amulet jest taki sam? Możesz zaprowadzić mnie do niego?

– Wszystko po kolei! – zaprotestowała urażona, zbierając skorupy. – I co teraz zrobisz z dzbanem? Sam będziesz chodził do studni?

– Powiedz mi, kim jest Kroneb! – Gavor mocno złapał ją za rękę.

– Ho, ho, myszołów pokazał swoje szpony – Hancla rozmasowywała sobie nadgarstek, na którym pojawiły się dwa wyraźne, czerwone ślady. – Zadałeś mi ból. Nie umiesz mówić tylko językiem, musisz pomagać sobie rękoma?

Próbował wytłumaczyć się, pośpiesznie i niezręcznie: ciekawość usłyszenia czegoś o Kronebie była zbyt silna.

– Proszę cię, powiedz mi, kto to jest, gdzie mieszka, co robi. Powiedz, jak mogę go zobaczyć.

– Rozumiem – pogodziła się Hancla. – Czas ci już ruszać.

Gniewny dreszcz wstrząsał jej potężnymi ramionami. Zaskoczony Gavor patrzył na jej zmarszczoną płaczem twarz. Delikatnie wziął ją za rękę i pocałował czerwone ślady na nadgarstku, jak pociesza się dziecko, gdy upadnie. Hancla uwolniła się gwałtownie, odwróciła i wybiegła z chaty.

– Nie ośmielaj się nigdy więcej dotykać mnie twoimi brudnymi łapami – zawołała zdławionym głosem. I zniknęła w lesie. Kiedy dwie godziny później wróciła, była tą samą Hanclą, surową i opanowaną jak stary towarzysz broni.

Gavor obawiał się powrócić do rozmowy o tajemniczym Kronebie, ale ona sama zaczęła, tonem najzupełniej normalnym.

– Jeśli jutro będziesz czuł się na siłach, mogę zaprowadzić cię do niego.

I dodała:

– Kiedyś pracowałam u Kroneba, sprzątałam tę obrzydliwą norę, którą on zwie domem. To stary mędrzec, nie stąd, myślę, że jest też jasnowidzem: w naszych stronach nikt nie wie tyle co on. Wybrał jednak życie w odosobnieniu, z daleka od wszystkich. Niektórzy mówią, że jest kapłanem jakiegoś tajemniczego kultu, ale może to tylko pogłoski. Jedno jest pewne: Kroneb ma dokładnie taki amulet, jaki ty nosisz na szyi.

Tej nocy Gavor nie zdołał zasnąć. Kręcił się na sienniku, wyobrażając sobie moment spotkania ze starcem w jego kryjówce. Zdawało mu się, że w świetle księżyca widzi plecy Hancli jakby wstrząsane płaczem.

– Przekonasz się, że życie to nieustanne rozstania – powiedział mu wuj Obher. – I zrozumiesz, że każdy twój gest, każde twoje postanowienie, nawet najmniej znaczące, wpłynie nie tylko na twój los, ale także na losy innych.

★

Następnego ranka Hancla zaryglowała drzwi chaty. Przez ramię przewiesiła worek z pożywieniem i ubraniem. Wyprowadziła konia i zaryglowała też wrota stajni.

– Trochę pójdziemy razem – powiedziała dziewczyna. – A potem, na rozstaju w Lilienthal, ja ruszę traktem północnym, a ty skierujesz się na południe, aż do Zwalonego Mostu. I tam już nie zabłądzisz: jest tylko jedna ścieżka i prowadzi ona do jaskini Kroneba.

Przez całą drogę już nie rozmawiali. Koń nie był rasowy, ale dobrze utrzymany i wykarmiony, raźno posuwał się naprzód. Już wkrótce dotarli do Lilienthal, wioski otoczonej gęstym lasem drzew poziomkowych.

– Zsadź mnie tutaj – powiedziała Hancla. I dodała: – Powodzenia!
Parę chwil patrzył na nią, zaskoczony.
– Koń – powiedział. – Zostawiasz konia?
– Zabraliby mi go rabusie – wyjaśniła. – Jestem tylko bezbronną kobietą. Zatrzymaj konia. Nosisz szaty Hosplunda i masz miecz przy boku. Możesz się bronić.
Gavor sięgnął ręką do sakwy, zawieszonej przy pasie i wyjął parę monet.
– Pozwól przynajmniej, bym cię wynagrodził za konia, którego mi dajesz.
– Nie, nie chcę pieniędzy. Z nich też by mnie ograbiono. Wolę podróżować w swoich łachmanach, nie będę miała nic do stracenia.
Gavor okazał zniecierpliwienie.
– Powiedz mi chociaż, po co ruszasz w tundrę, na koniec świata.
Zimny uśmiech wykrzywił usta Hancli.
– Jesteś głupi, Gavor. Pytasz, po co ruszam w tundrę. Idę poszukać sobie męża wśród pastuchów. Ja też chcę mieć męża, nawet jeśli jestem brzydka. I chcę rodzić dzieci. Tam daleko owczarze potrzebują kobiet, a ja jestem zdrowa i silna, choć nie mam włosów twojej Duny...
Gavor w napływie czułości spróbował ją zatrzymać.
– Nie dotykaj mnie, potworze!
Pobiegła niezgrabnym i ciężkim krokiem. Ale kiedy odwróciła się, żeby przesłać ostatnie pozdrowienie, uniosła dłoń w geście wdzięcznym i lekkim, subtelnym jak rozpływająca się mgła nad polami.

Rozdział XIX

– Wejdź, cudzoziemcze – z głębi jaskini doszedł go zmęczony głos. Miejsce było ponure i niewiele widział, ale sądząc po tym, jak rozbrzmiewały zasłyszane słowa, musiało być przestronne. Głos ów był jak echo podziemnego źródła, donośny i odległy: każde wypowiedziane słowo odbijało się od ścian jakby uwięzione w pudle rezonansowym.
Oczy powoli przywykły do półmroku. Ujrzał duże zwierciadło rtęciowe, oparte o boczną ścianę jaskini; była tam długa drewniana skrzynia pełna bladych, podobnych do zboża kłosów, był kobierzec utkany jaskrawymi barwami; i wszędzie zwoje pergaminu. Kawał solonego mięsa zwisał w rogu, gdzie wysokie na sto stóp sklepienie opadało niemal pionowo.
I wreszcie, siedzący ze skrzyżowanymi nogami na owczej skórze człowiek. Człowiek bardzo stary, blady i chudy, z ogromną brodą i białymi jak śnieg włosami.
– Tylko jedno pytanie – powiedział Gavor, stając przed starcem, który ani drgnął. Zdjął z szyi amulet i rzucił do stóp Kronebowi. – Jakiego koloru jest księżyc?
Długą, bardzo długą chwilę stary Kroneb wpatrywał się w niego. Nie drgnął mu żaden mięsień, lecz w jakiś sposób jego sztywna surowość nabrała odmiennego wyrazu. Tak jakby wstrzymał oddech, niepewny odpowiedzi, którą jednak dawało się odczuć.
Potem Kroneb podniósł amulet i potrzymał go na otwartej dłoni. Jego orle spojrzenie przesuwało się niepewnie pomiędzy niewielkim przedmiotem, a ogromną postacią Gavora.
– Hancla, córka Hozasa, powiedziała mi, że masz taki sam. Odpowiedz, na wszystkich bogów: jakiego koloru jest księżyc?
– Księżyc jest biały – odpowiedział starzec. Uniósł się z trudem i rozpalił ogień w kręgu poczerniałych kamieni, zajmujących środek jaskini. Potem z misy chlusnął na kamienie trochę wody, która skwiercząc natychmiast wyparowała. Gavor poczuł, że zapada się w powolny gwiaździsty krąg.
– „Dorzucił coś do wody – pomyślał resztkami świadomości – i przez oddech..."
I odżyło silne wspomnienie Uljany, czarownicy, która omotała go na długie miesiące. Ona też paliła wonności i uciekała się do mnóstwa podobnych sztuczek, kiedy chciała wywołać oszołomienie, wspomnienie, sen lub przyjemność.
Gavor miał uczucie, jakby nagle zapadł się w lodowaty całun pośrodku zawieruchy i spadał w nieznanym kierunku. Ogarniał go ciężki, nieubłagany, zaborczy sen i nie próbował nawet opierać się, przeciwnie, poddał mu się ufnie. Księżyc jest biały, powiedział mu starzec i w jednej chwili opuściła go

wszelka nieufność. Księżyc jest biały. Osunął się na ziemię całkowicie pewien, że nareszcie osiągnął cel.

*

Kiedy powróciła mu świadomość, poczuł, że starzec stoi nad nim i pochylony bacznie go obserwuje. Kościste palce Kroneba przesuwały się lekko po jego czole i karku; poczuł je na skroniach i wyczuł lekki ucisk u nasady nosa i za uszami.
– Wiem już, kim jesteś – powiedział głosem spokojnym i głębokim, w którym jednak znać było podniecenie. – Spałeś krótko, ale wiele powiedziałeś, otrzymałem odpowiedź na wszystkie moje pytania.
Pomógł mu się unieść, namówił do wypicia palącego likworu, który z krwią obiegł całe ciało, i powtórzył:
– Wiem już, kim jesteś, cudzoziemcze.
Gavor spoglądał na niego oszołomiony.
– Ja jestem Gavor, syn Gavora.
– Bez wątpienia – zgodził się Kroneb. – Ponad dwadzieścia lat temu zaginął wszelki ślad po tobie. Nie wiedzieliśmy nawet, czy Margret wydała na świat chłopca czy dziewczynkę. Ale oto przybywasz w najbardziej odpowiednim momencie i jesteś jak najszlachetniejsze błogosławieństwo. Jesteś niby pieczęć, żyjący dowód, jesteś tym, który może uwierzytelnić wszystkie nasze żądania...
– Nie rozumiem...
– Słuchaj mnie uważnie, a wszystko stanie się dla ciebie jasne, przejrzyste jak źródlana woda.
Góry okrył odległy i mroczny deszcz, jedynie jaskinia stanowiła oazę spokoju, a wszelkie odgłosy z zewnątrz dochodziły jak zamierzchłe echo. Wilki opuściły swe legowiska, podobnie jak sokoły, potężne górskie orły, czerwone lisy ze spłaszczonymi pyskami i gęstymi, puszystymi ogonami. Świat istniał na zewnątrz, poza grotą Kroneba. A wewnątrz tylko głos starca, gdy odsłaniał tajemnice.
– Mówię do ciebie w imieniu Meklùra, słuchaj mnie chłopcze. Więcej niż czterdzieści lat temu, w tundrze, która rozciąga się na północ do Wielkiej Rzeki, owczarze zapuszczający się ze swoimi stadami na sto mil od osad znaleźli na ścieżce umierającego człowieka. Mężczyzna ów, cudzoziemiec, ubrany był na sposób nigdy u nas nie widziany i leżał skostniały z zimna, pod byle jak skleconym schronieniem z gałęzi. Na ręce miał dziwną bransoletę, a w kieszeniach różne tajemnicze przedmioty...
– Kim był ten człowiek? – przerwał Gavor.
– Milcz i słuchaj, chłopcze. To historia długa i zawiła, nie każ mi wyprzedzać rzeczy, które wypowiedzieć muszę we właściwym porządku... Był więc ten człowiek. Owczarze przenieśli go pod namiot i nie skąpili mu należnej troski, ale człowiek ten wyglądał, jakby postradał rozum, mówił niezrozumiałym językiem i w napadach szału płakał zrozpaczony. Choroba, która nim owładnęła, powoli ustępowała. Nauczył się języka owczarzy i pozostał z nimi ponad dwa lata. Człowiek ten zwał się Iduòr i w niejasny i dziwaczny sposób określał miejsce swojego pochodzenia...
Iduòr – wykrzyknął Gavor. – Mówisz o heretyku, który zginął na placu w Fanarabh?
Kroneb przytaknął szybkim ruchem głowy.
– Owczarze uznali go za boga, który spadł z nieba, tak jak deszcz, ale on bronił się przed tym, utrzymując, że jest tylko człowiekiem. Potem Iduòr wywędrował z tundry, przekroczył Wielką Rzekę i przybył na południe, do świata bardziej rozwiniętego: odwiedził Kongarabh i Shillpan, poznał rzemieślników, świątynie, opanował nasze pismo, sztukę znaną prawie wyłącznie kapłanom...
– Ja też umiem pisać – wymamrotał Gavor.
– Wiem, wyjawiłeś mi to we śnie. Ale milcz i słuchaj. Po paru latach wędrówek, Iduòr osiadł w Fanarabh, nad brzegiem rzeki Fane-Gur, żył z czarów i zapisywał dziesiątki zwojów pergaminu: całą wiedzę swojego świata. Poślubił młodą dziewczynę imieniem Kadmia, dała mu ona dwie córki. Pierwsza, Liza, umarła bardzo młodo podczas szalejącej zarazy, która zdziesiątkowała całą krainę. Druga, Margret, wyszła za Gavora z Kongarabh.
– Mój ojciec...
– Tak, twój ojciec. Ale pozwól mi skończyć, chłopcze. Minął rok i kapłani zabili Kadmię i przywiedli na stos Iduòra pod zarzutem herezji: nieznanymi praktykami wyleczył zbyt wielu chorych, przede wszystkim zaś występował przeciw prawu kapłanów i panów. A stało się to przez zdradę jego zawist-

PRZYPADEK EWARYSTA

ciąg dalszy ze str. 20

ile zdołałem dojrzeć, było dużo roślin doniczkowych, stojących pośród byle jak rozstawionych sprzętów. Rzucało się w oczy, że już od dawna pokoje te nie były przez nikogo sprzątane. Sprzęty rozstawiono chaotycznie, bez żadnego pomyślunku. Nozdrza atakował wciskający się wszędzie zapach stęchlizny i kurzu. Czy możliwe, żeby Ewelina weszła właśnie tutaj?

Nagle usłyszałem ciche pstryknięcie, przedpokój zalało jasne światło. Liście roślin w pokojach poruszyły się. „Zasiani Ludzie" – pomyślałem z lękiem, tak, jakby w mojej głowie otworzyła się nagle jakaś mała, lecz groźna szufladka. Czyżbym był w pułapce? Błyskawicznie podążyłem ku zbawczemu wyjściu – dziurce od klucza. Zdążyłem w ostatniej chwili, bo zaraz zakrył ją jakiś mięsisty liść. Byłem tak przerażony, że uciekałem w formie dymu aż do chwili, gdy zmiarkowałem, że jestem na ulicy. Wtedy dopiero, w jakimś zaułku, przybrałem ludzką formę.

Za wszelką cenę postanowiłem jednak doprowadzić do końca te peregrynacje. I jakież było moje zdziwienie, gdy po dość długim czasie, zziębnięty już i wściekły, dojrzałem wychodzącą z bramy kamieniczki Ewelinę wraz z... Ewarystem Galois. Byłem tak podekscytowany, że śledząc ich zapomniałem niemal o elementarnych regułach szpiegowania. Próbowałem zamienić się w jakiś przedmiot, zwierzę lub roślinę, ale bezskutecznie; skonstatowałem to z niezadowoleniem, lecz bez zdziwienia. Moja niespodziewana wizyta w przdstawicielstwie Wenus musiała niekorzystnie wpłynąć na stosunek duchów planetarnych do mnie.

Na skutek wymienionego zaniedbania znalazłem się kilkakrotnie w polu widzenia Ewarysta; nie mogłem śledzić ich dłużej. Zdołałem jednak zauważyć, że Galois jest zmieniony, ruchy ma bardziej zdecydowane a zarazem precyzyjniejsze. Ewelina zachowywała się normalnie, jakby nigdy nie znała innego Ewarysta Galois. Właśnie to zdecydowanie ruchów, brak najmniejszych zawahań nasunęły mi podejrzenie co do domniemanej sztuczności Ewarysta numer dwa. Może był artefaktem, stworzonym w prowadzonych przez duchy planetarne fabrykach? Na razie nie mogłem tego sprawdzić.

Przez jakiś czas rozważałem, czy nie będzie roztropniej ostrzec „Ewarysta numer jeden", uprzedzić go jakoś o pojawieniu się sobowtóra. Zauważyłem, że odwiedza on te same miejsca, w których często przebywał również „prawdziwy" Ewaryst. Bywał u tych samych ludzi, odwiedzał te same kawiarnie, a także – równie często, a nawet chyba częściej – Ewelinę.

Śledziłem tych dwoje, tak, przyznaję; rozpoznawałem natężenie tego, w czym pogrążali się, a co było przeciwieństwem umysłu samego w sobie i dla siebie. Jednocześnie rozpoznawałem w nich to wszystko, co pozwala – poprzez milczącą zgodę – na istnienie takich abstraktów jak liczby czy równania. (Niezrozumiana dotąd potęga Liczby, która jest aż nazbyt dotykalna). Jak niezbędne uzupełnienie, jak fakt bez znaczenia przyjąłem spotkanie Ewarysta numer jeden z sobowtórem. Przywitali się i rozstali jak najlepsi przyjaciele. Nie usłyszałem nic z tego, co mówili do siebie. Dokonało się między nimi najbardziej niepokojące z misteriów – misterium lustra. Jak sądzę, obaj byli republikanami. Potwierdzili to obecnością na zebraniach (przy czym nigdy nie zjawiali się tam razem), ożywioną działalnością, której sensu i celów mogłem się tylko domyślać. Wówczas właśnie, w ich tajnym kole republikanów odbyła się dziwna uroczystość, którą nazwano Losowaniem. Nawet wtajemniczeni adepci mówili o niej tylko szeptem i z wyczuwalnym w głosie lękiem.

Zdało mi się to cokolwiek trochę dziwne, bo jakże ci, którzy zmierzają ku powszechności, demokratyzmowi prawdy, tworzyć mogą koła i kółka, dla których właśnie prawda w niejednakowym stopniu jest dostępna? Ta rzecz należała do dziwów, o których nie śniło się filozofom.

Stało się wówczas to, czego lękałem się najbardziej: duchy planetarne usiłowały mnie zgładzić, jako człowieka posiadającego nadmierną wiedzę, a zarazem im nieprzyjaznego. Rozpoczęły od zmącenia mojej świadomości. Zerwano wszelkie kontakty łączące mnie ze światem żywych, nie wiedziałem, dokąd mam się udać i po co. Zostałem więc na miejscu, a mój umysł gnębiły omamy. Najpierw wyłoniła się zeń światłość niebieska, będąca światłością strachu. Potem pojawiło się dwanaście przedstawień, z których sześć było obrazem słońca i planet, pozostałe zaś – zwierząt runicznych. Wówczas uznałem, że nie ma sensu dłużej pozostawać w tym stanie i udałem się do poselstwa Wenus w celu przeprowadzenia pertraktacji.

Przyjęto mnie tam bez zdziwienia. Właściwie nic się nie zmieniło od mojego poprzedniego pobytu, tylko dziwne rośliny rozprzestrzeniły się jeszcze. W kolejnych pokojach poselstwa nie odnalazłem żadnej wskazówki. (Jak rozmawiać z roślinami, nawet rozumnymi? Jak skłonić je do przeistoczenia?) Krocząc korytarzem odkryłem jeszcze jeden pokój, który był pusty. Gołe ściany, sufit i podłoga były odnowione, bez śladów zacieków i brudu, jak w pozostałych pokojach. Być może była to „komnata wizytowa". Zdecydowanie, choć nie bez lęku wszedłem do środka. Drewniane drzwi zatrzasnęły się za mną. Czekałem. Czekałem długo, tak długo, że prawie zatraciłem poczucie czasu. Przez okno widać było jedynie kwadratową studnię obskurnego podwórza, pogrążoną w absolutnym bezruchu.

W końcu drzwi zaskrzypiały i otwarły się na oścież, do pokoju niemal bezgłośnie wsunął się stół i dwa krzesła. Za nimi wszedł zakapturzony człowiek, niosąc dzban wina i dwa puchary. Postawił je na stole, napełnił winem, po czym usiadł na krześle. Potraktowałem to jako zaproszenie i uczyniłem to samo. Wychylił wino nie odrzuciwszy głębokiego kaptura, kryjącego całą głowę. Odstawił puchar i siedział, wyraźnie na coś oczekując. Zrozumiałem że i ja muszę wypić wino, więc uczyniłem to bez wahania. (Cóż w końcu miałem do stracenia?) Milczący gnom wyjął zza pazuchy kopertę i podał mi ją. Wstał od stołu, odwrócił się do mnie plecami i wyszedł z pokoju. Dałbym głowę, że zaraz za progiem rozpłynął się w powietrzu.

Obejrzałem kopertę. Zaopatrzona była w napis: „SPR. NR. 268/4. ZAMACH NA EWARYSTA GALOIS – 31 V 1832". Roztropność nakazywała mi schować kopertę, wyjść stąd i odczytać jej zawarość w jakimś bezpiecznym miejscu. Ciekawość okazała się silniejsza. Gwałtownym szarpnięciem otworzyłem kopertę. Była pusta.

Obudziłem się na ławce naprzeciwko kamienicy – siedziby ambasady. Długie cienie oznajmiały późne popołudnie. Mogłem już tylko rozważać, czy to, co przeżyłem, było snem. Prawdopodobnie tak, ale równie prawdopodobne, że był to sen znaczący. Lecz czyim był dziełem i czy nie miał posłużyć zwiedzeniu mnie na manowce?

Powróciłem do śledzenia Ewarysta. W jego zachowaniu odkryłem zmianę, już nawet nie subtelną. Zachowywał się teraz jak błazen, jarmarczny aktor. Przesiadywał całe godziny na bulwarze nad Sekwaną, zaczepiając

przechodniów, śmiejąc się i mówiąc do siebie. Tłumaczył im coś, klarował, w jego monologach pojawiały się strzępki matematycznych dowodów. Ale – co dziwne – jego przyjaciele republikanie jakby tego nie dostrzegali. Co więcej, w sposób oczywisty traktowali go teraz jak przywódcę. Galois przyjmował na siebie tę rolę (działał, organizował spotkania, redagował odezwy) ale wszystkie pozostałe chwile jego życia były jak wyrwane z innego porządku, zaczerpnięte z lichego przedstawienia. Również Ewelina zdała się tego nie zauważać. Lecz jak miałem to wszysko pogodzić z przekazem o przygotowywanym na niego zamachu?

Podejrzewałem, że jeśli miał się zdarzyć, to z pewnością pozostawał w związku z pojawieniem się sobowtóra. Śledziłem więc również i jego. Nie był obiektem ciekawym. W miarę, jak nasilało się szaleństwo Ewarysta rósł chłodny racjonalizm sobowtóra. Odwiedzał Ewelinę, którą traktował jednak bez żadnej czułości, niemal bez miłości. A im bardziej pogrążał się w występku, tym szybciej posuwały się badania prawdziwego Ewarysta, dotyczące teorii grup.

I wtedy Ewelina opuściła go. Gdy przychodził do niej, zawsze zastawał drzwi zamknięte. Nie było jej, oddalała się od niego, tak jak on oddalał się od niej.

Potraktowałem to jako ostrzeżenie, ostateczny sygnał. Zbliżał się naznaczony przez kogoś termin zamachu. Postanowiłem go ostrzec. Napisałem anonimowy list, który podrzuciłem u niego w mieszkaniu. Zwróciłem w nim uwagę na niebezpieczeństwo, a także na to, że koniecznie musi zerwać kontakty ze swoim sobowtórem. List podpisałem patetycznie: „Bezimienny Przyjaciel". Nie bez ciekawości obserwowałem, jak na to zareaguje.

Pod postacią bezwonnego dymu penetrowałem jego pokój. Obserwowałem obliczenia, ziarenka kurzu, niewidzialne ślady rozpadu. Najbardziej niesamowite było to, że bezruchu nie mącił najlżejszy nawet podmuch. (Tak, jakbym nie istniał...?) Unosiłem się nad jego piórem, opartym bezwładnie o grzbiet książki, zbliżałem się doń, obserwowałem mikroskopijne zadrapania na stalówce. Wiedziałem, że była to wyższa jeszcze forma daru, udzielonego mi przez istoty z planet. Unosiłem się kilka centymetrów nad powierzchnią biurka, będącego teraz nieskończoną prawie równiną, podzieloną kanionami słojów drewna. I właśnie przez tę szerokość perspektywy omal nie przegapiłem olbrzymich liter, ciągnących się przez biały spłacheć, splątany po wierzchu grubymi łodygami celulozy: „BEZIMIENNY PRZYJACIELU, OBŁĘD PRZEKSZTAŁCA OFIARNIKA W OFIARĘ".

Natychmiast moje myśli przestały unosić się swobodnie nad zgromadzonymi tu przedmiotami. Wypłynąłem z pokoju, usiłując rozumować racjonalnie. Nie mogłem jednak połączyć tego wszystkiego w logiczną całość. (I to ja, teraz idealny szpieg!). Z wydarzeń wyłaniała się całość absurdalna, nielogiczna. Czy jest możliwe – spekulowałem – że Galois został wyłoniony drogą jakiegoś losowania na przywódcę domniemanej radykalnej rewolucji, przywódcę, który ma zostać stracony dla dobra tejże rewolucji? A jego następcą miałżeby zostać sobowtór, któremu teraz Galois przekazywał tajniki swoich planów i zamierzeń? Czy ewentualne zgładzenie Ewarysta miałoby się dokonać na drodze jakiejś walki między nim a sobowtórem, walki o sukcesję lub po prostu o władzę? Czy Ewaryst miał być w tej walce zabity? Skonstatowałem, że przychodzą mi już do głowy zupełne fantazje. Najprostszym rozwiązaniem byłoby spotkanie z samym Ewarystem, które jednak zapewne nie dałoby wiele, gdyż Galois kryłby swoje rzeczywiste zamiary. Cóż oznaczało odejście Eweliny? Czy było zdradą, czy też pogodzeniem się z nieuchronnym faktem? Wszystko to kłębiło mi się w głowie, stwarzając przeraźliwy mętlik bez jakiejkolwiek szansy na rozwiązanie.

Niejako „z rozpędu" nadal śledziłem Ewarysta. Nawet na jotę nie zmienił swojego postępowania, kontynuował realizację sekretnego planu z żelazną konsekwencją. (Lub bez żelaznej konsekwencji robił po prostu to, co uważał za stosowne). Jego ciemne, długie włosy powiewały na trasie pomiędzy uniwersytetem, tajnymi zebraniami a mieszkaniem Eweliny, z którą wciąż próbował się skontaktować. Kilkakrotnie zdawało mi się, że uśmiechnął się do mnie i pozdrowił przyjaznym gestem.

Wówczas zdarzyło się coś, co skłoniło mnie do działań energicznych, niemal rozpaczliwych. Przypadkiem podsłuchałem w kawiarni rozmowę dwóch mężczyzn.

– Wzorzysty dywan naszych zamiarów układa się w doskonałym porządku – powiedział jeden z nich. – Ostatnią maską człowieka, który nosił tysiące masek, będzie śmierć.

Niemal się roześmiałem, tak absurdalnie to zabrzmiało. Kwiecisty styl, jak wiadomo, właściwy jest istotom z planet nadmiernie zbliżonych do słońca. Cierpią tam na rozmiękczenie mózgu.

– Tak – odpowiedział drugi. – Wszystko już gotowe do pojedynku i złożenia ofiary.

Ponieważ Ewaryst lekceważył ostrzeżenia, postanowiłem działać sam. (Teraz zastanawiam się często, po co to robiłem? Czyżbym rzeczywiście uważał, że Galois jest władny przybliżyć ideał, wskrzesić republikę? Czyżbym wierzył, że jest on posłuszny nakazowi nie od ludzi – lub nie tylko od ludzi – pochodzącemu?). Wybadałem dokładnie, jakimi trasami i w jakich godzinach porusza się sobowtór Ewarysta. Ponieważ byłem przekonany, że jest on maszyną, przygotowałem specjalny ładunek eksplozywny. Zaopatrzyłem się również w żelazną pałkę.

Był późny wieczór. Bulwar nad Sekwaną opustoszał. Znad rzeki docierał do mnie delikatny, świeży powiew. „To miasto stworzone jest, aby kochać i aby być kochane" – pomyślałem banalnie. W ręku ściskałem żelazny pręt, czułem ciężar ładunku w kieszeni. Spojrzałem na niebo, gdzie pełgały gwiazdy. Na zachodzie jaśniał spokojny, stały ognik Wenus. Poprosiłem planetę o wsparcie, nie próbując jednak przekształcić się w cokolwiek. (Wówczas agresywny zamiar mógłby obrócić się przeciw mnie samemu). Przyczaiłem się w krzakach, cicho, zwierzęcokształtnie.

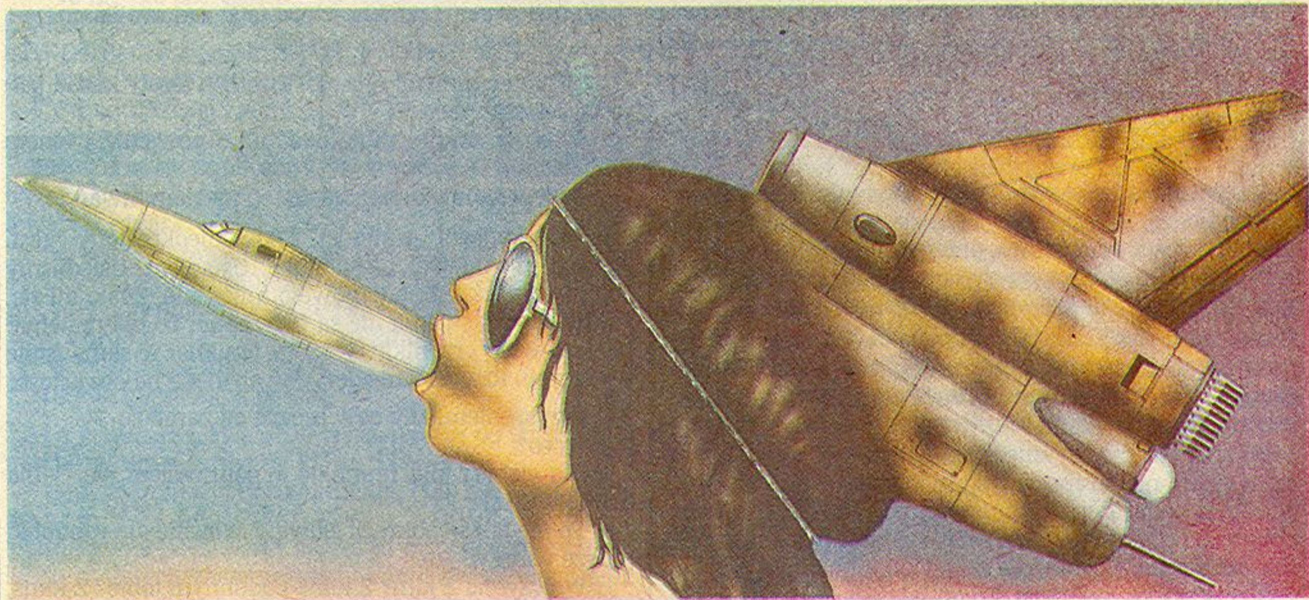
Choć mam za sobą długą praktykę, jego równe kroki nieomal mnie poraziły. Przekonanie, iż jest on automatem i i że to właśnie on ma zabić Ewarysta, stało się pewnością. Kiedy przechodził obok, wstrzymałem oddech...

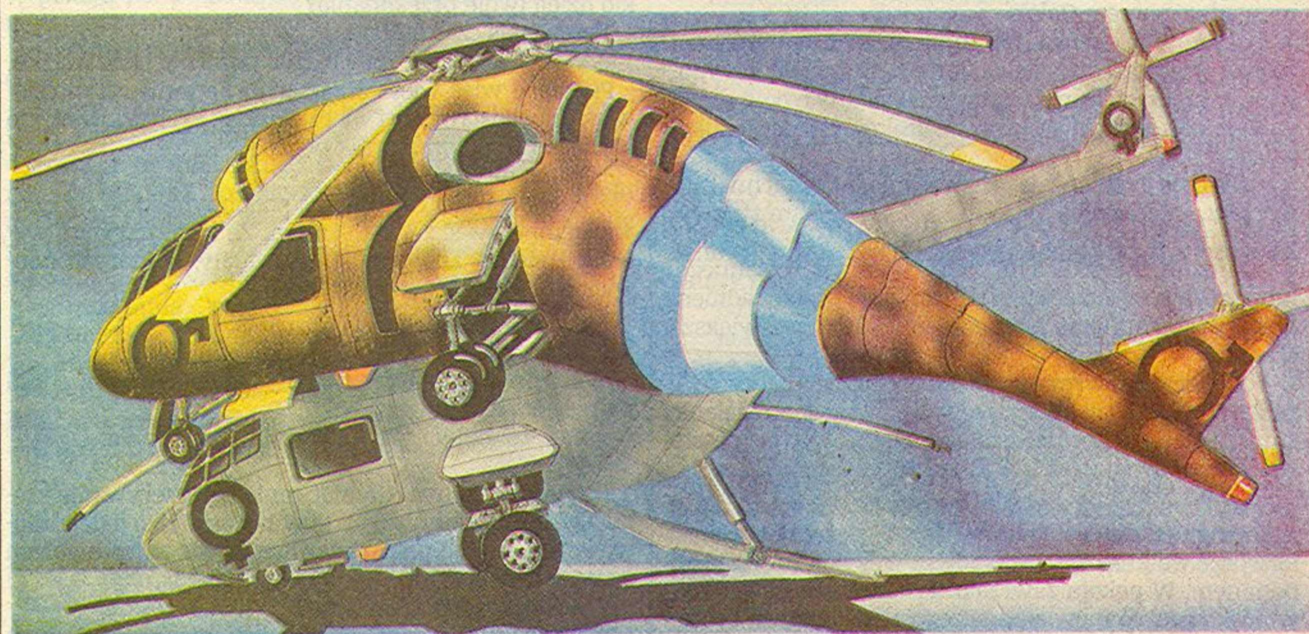
Atakując, nie mogłem powstrzymać się od krzyku. (Ja, stary wywiadowca i węszyciel!). Zareagował tak, jakby przygotowany był na tę sytuację od dawna. Spokojnie sparował mój cios żelazną pałką (o, gdybym miał karabelę, nie poszłoby mu tak łatwo!) i stalowym uściskiem dwóch palców lewej dłoni schwycił mnie za nos... po czym poszedł dalej bulwarem, wlokąc mnie za sobą w ten haniebny sposób.

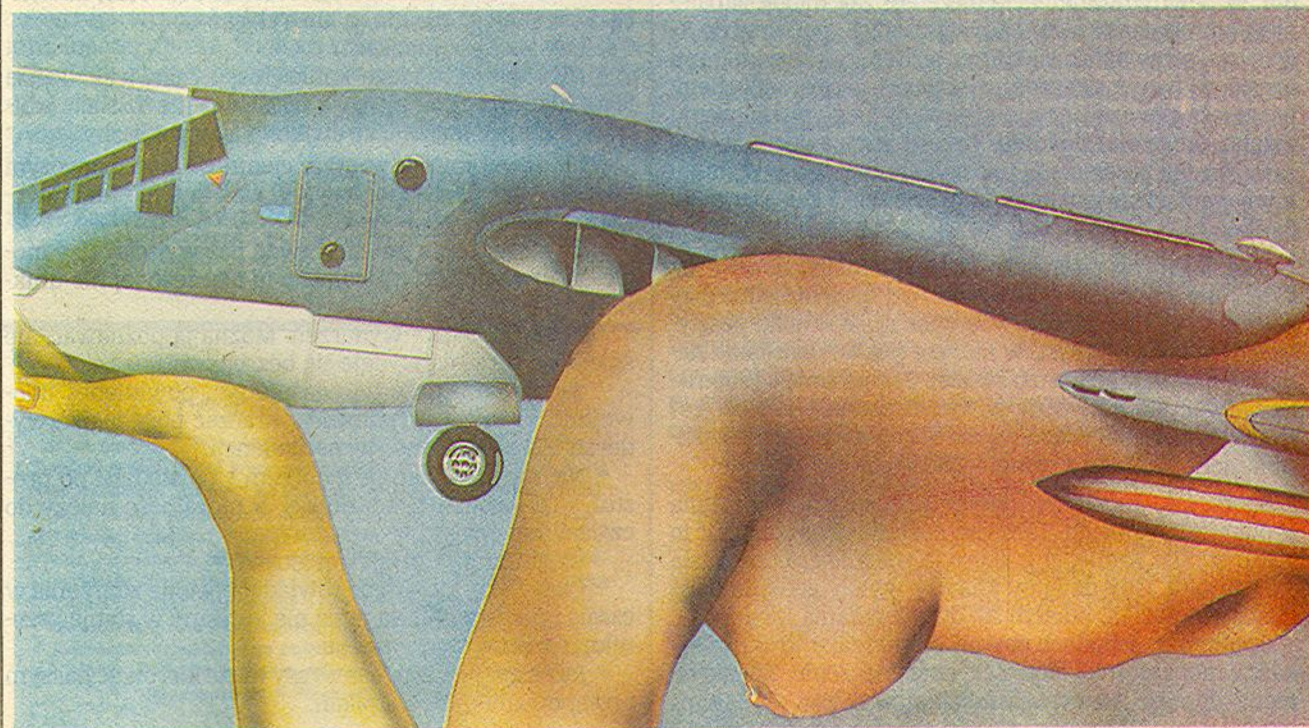
Bodajbym nigdy nie dożył takiego upodlenia, ja, szlachcic, com nie wypadł sroce spod ogona! Był tak silny, że nijak nie mogłem wyzwolić się z uścisku. W odruchu ostatecznej desperacji wyciągnąłem z kieszeni bombę i podpaliłem lont. Ładunek wrzuciłem mu za kołnierz.

To mnie uratowało. Bestia, słysząc syk, turbować się poczęła i puściła mój nieszczęsny nos. Ledwiem zdążył jednym susem przesadzić murek i plusnąć w nurt Sekwany, gdy powietrzem targnął potężny huk. Woda zakotłowała się, myślałem, że już nigdy nie zdołam wychynąć na powierzchnię. Szczęściem, uchwyciłem występ muru i powoli wygramoliłem się na bulwar. Rzuciłem tylko okiem na płonące żelazne szczątki i czym prędzej dokonałem metamorfozy wróbla; zewsząd poczęli się zbiegać zaalarmowani eksplozją ludzie. Odpoczywając na drzewach i dachach domów, powoli dofrunąłem do schronienia. Wyciągnąwszy się na łóżku skonstatowałem, iż jestem cały poobijany. Z lubością pomyślałem, że spełniłem swe zadanie, ratując Ewarysta od niechybnej śmierci, i to z wyprzedzeniem, bo termin zamachu upłynąć miał pojutrze.

Piotr Łopalewski







Następnego dnia kurowałem się z ran i odpoczywałem. Pozwoliłem sobie na zjedzenie obiadu w bardzo dobrej restauracji. I wtedy dojrzałem właśnie przez szybę Ewelinę, idącą gdzieś szybkim krokiem. Podążyłem za nią.

Jakież było moje zdziwienie, gdy stwierdziłem, że Ewelina zmierza wprost do Ewarysta. Czyżby chciała zawiadomić go o śmierci sobowtóra (choć raczej powinienem mówić „o zniszczeniu"), lub też jego samego o tę śmierć posądzała? Jeszcze raz przyszło mi skorzystać z przywileju metamorfozy.

I znowu – zdziwienie. Bo przecież jakiejś rozmowy wyjaśniającej nie spodziewałem się, a tu nic, tylko wyznania miłości, czułe słowa, przeprosiny... Dlaczego? Jaki był związek między tymi dwoma faktami: śmiercią sobowtóra a powrotem Eweliny? Wreszcie czułe pożegnanie.

Zaraz po wyjściu Eweliny zaczęli pojawiać się spiskowcy. Rozpoczęto dysputę, dotyczącą jak zwykle sposobów i form działania.

Wyznać muszę, że zmęczyłem się już cokolwiek tym czuwaniem na parapecie pokoju Ewarysta, tam bardziej że zaczął padać deszcz. Znużony, przysnąłem chyba na chwilę, bo gdy otworzyłem oczy, sytuacja była już zupełnie odmienna. Pojawił się nowy republikanin, młody, chyba w wieku Ewarysta. To on właśnie był teraz głównym adwersarzem Galois.

– ... to nie ma sensu, nie służy niczemu – mówił ten ostatni. (Jego głos dobiegał do mnie przez szybę, przytłumiony i zniekształcony). – Działanie na niwie politycznej wydaje nas na pastwę losu, nieuniknionej przypadkowości...

– Nie czas teraz na takie rozważania! – wybuchnął adwersarz. – Teraz albo nigdy, jeżeli nie uda nam się zwyciężyć, przegraliśmy...!

– Zrozum, rzecz w tym, żeby stworzyć coś innego, inną możliwość, a zarazem uchronić się przed widmem nienawiści, konfliktu, eliminowania siły przez większą siłę...

– A ty zrozum wreszcie, że nie zdołasz tego uczynić w żaden inny sposób! Wszelka walka, wszelkie działanie zmusza nas do pewnej brutalności... to jest po prostu właściwość świata, tak było i będzie zawsze.

– To wszystko nie ma sensu...

Zapewne dyskusja trwałaby długo, gdyby nie to, że w ferworze walki któryś z rozmówców użył argumentu ad hominem. W pokoju zawrzało. Trudno było nawet wywnioskować, co mówią poszczególni członkowie zebrania. W pewnym momencie ujrzałem, jak młody zapaleniec, którego nazwałem „adwersarzem", podbiegł do Ewarysta, schwycił go za klapy surduta i wykrzyknął mu prosto w twarz straszne oskarżenie: jesteś szpiegiem, pragniesz powrotu arystokratów. W nagłym milczeniu głucho zabrzmiał policzek. Przeciwnicy zwarli się, ale zaraz zostali rozdzieleni. Już spokojnie, lecz z wyczuwalnym napięciem ustalono datę, godzinę i miejsce pojedynku.

Siedziałem na parapecie jak skamieniały, dopóki nie strącił mnie stamtąd i nie uniósł nad dachami silniejszy podmuch wiatru. A więc wszystkie moje wysiłki poszły na marne? Ewaryst, w którym pokładałem takie nadzieje, miał zginąć jutro o świcie? Czy po śmierci sobowtóra Ewarysta ktoś inny otrzymał zadanie zabicia go? (Najwyraźniej tak właśnie było). Czy jego śmierć jest nieunikniona, wynika z samej logiki faktów?

Skoro tak, musiałem podjąć jeszcze jedną, ostatnią próbę uratowania go. Zarazem postanowiłem uczynić to otwarcie, bez żadnej gry, skoro to właśnie gra domagała się gambitu. Gdy dzwony Katedry wybiły godzinę dziewiątą wieczorem, udałem się do mieszkania Ewarysta.

Szedłem po schodach powoli, odmierzając kroki, jakby każdy mój gest miał teraz sekretne znaczenie. Kilkakrotnie, z namaszczeniem zastukałem w drzwi. Po jakimś czasie uchyliły się ze skrzypieniem. To był on. Nasze oczy spotkały się, w jego wzroku nie dostrzegłem zdziwienia.

– Kim jesteś – zapytał spokojnie.

– Kupiec korzenny.

Kiwnął głową, jakby ta odpowiedź zadowoliła go.

– Czekałem na ciebie. Wejdź.

W pokoju panował nieład. Wszędzie leżały kartki pełne obliczeń.

– Właśnie kończę moje badania – powiedział tonem wyjaśnienia.

– Przygotowujesz się? Na co? – spytałem otwarcie.

W odpowiedzi wykonał jakiś nieokreślony gest, wskazał mi miejsce na kanapie. Usiadłem. Usiedliśmy obaj. Przez jakiś czas panowało milczenie. Zdało mi się, że żadne wyjaśnienia nie są potrzebne. To był matematyk, człowiek przenikliwy, który wniknął w samą istotę wydarzeń. Raz jeszcze zdecydowałem się na otwartość.

– Przyszedłem, aby odwieść cię od zamiaru.

– Po co?

– Dla ciebie... dla republiki – poprawiłem się. – Dla twojej wiedzy.

– To nie tak.. – pokręcił głową. – Właśnie dla republiki muszę walczyć.

– Walczyć?... Z kim? Z kimś podobnym tobie? Z kimś, kto dzieli twoje przekonania?

Przez jakiś czas milczał.

– Pisałeś do mnie – powiedział pozornie bez związku. – Pisałeś, a więc wiesz o zamachu na mnie... Ten człowiek jest podstawiony i wiemy to obaj... Ten człowiek – to rojalista i współpracownik policji.

– Mimo to... czy warto...

– Zawsze walczymy z kimś podobnym sobie... z człowiekiem. A więc z sobą samym. Ze złem ukrytym wewnątrz siebie. To wszystko są rytuały, w których człowiek odnosi się do siebie samego.

– Ale gdy zabijamy...

– Jeśli zabijamy...

– A jednak, mimo wszystko... ludzie są równi... jeśli patrzeć odpowiednio głęboko.

– Tak, równi w tym co dobre i w tym, co złe.

– Więc...

– Myślałem o tym. Nie stać mnie na przerywanie kręgu zła. Dotychczas uczynił to w historii tylko jeden człowiek. Nie pragnę poklasku. Chcę czynić to, co uważam za prawdziwe.

– A ludzkość? Matematyka?

– Abstrakcje. Zresztą moje badania dochodzą do końca. Idee istnieją, ale nie są abstrakcjami.

– Czy kochasz ludzkość?

– Nie. Miłuję każdego konkretnego człowieka. Także tego, z którym będę jutro – a właściwie już dzisiaj – walczył. Taka jest logika tego świata. Tak chcą liczby.

Nasz dialog snuł się poprzez ciemność poza ożywczym światłem lampy, niepochwytny, złożony, nie do odtworzenia. Nie rezygnowałem.

– Czy ta sytuacja jest naprawdę bez wyjścia? Czy mogłeś ją przewidzieć, a jeżeli tak, to dlaczego jej nie uniknąłeś?

– Taka jest logika wydarzeń. Można ją poznawać, ale spieranie się z nią wydaje się bezsensem.

– Sądzę jednak, że ty, właśnie ty... powinieneś udowodnić, że człowiek potrafi wykraczać poza logikę wydarzeń. Może dokonać transcendencji.

– Nie mogę okazać się tchórzem – powiedział po prostu. – To dziedzina moralności, a moralność należy do czystej matematyki.

– Ciągi liczb... – myślałem głośno.

– Ciągi liczb, którym odpowiadają pewne zdarzenia w czasie i przestrzeni. Na razie nie jesteśmy w stanie przeniknąć natury tego związku.

– Jeżeli go nie rozumiemy, czy może kierować naszym postępowaniem? – wątpiłem.

– Musi. Musimy wybierać wzorce, o których słuszności jesteśmy przeświadczeni, aby nie kierowały nami inne, złe, głęboko ukryte...

– A ty – czy nie kierujesz się gniewem?

– To nie ma znaczenia... Doszedłem do wniosku, że to nie ma znaczenia – powtórzył jakby dla podkreślenia racji. – Działam tak, jak nakazuje mi impuls, który jest zgodny z tym, czego chcą liczby.

– Gdybyś dzisiaj zginął... cóż ci pozostanie?

– Nieskończoność.

Poczułem się zmęczony tą rozmową. Musiała już trwać bardzo długo, bo nad dachami domów powoli rozlewał się brzask.

– A twój sobowtór? – spytałem. – Kim był?

– Rzecz bez znaczenia. Artefakt. Stworzony przez kogoś, aby uchronić mnie przed spiskiem.

– Uchronić cię... – niemal zaniemówiłem.

– Miał zamiast mnie stanąć do pojedynku.

Milczałem, przejęty zgrozą.

– A ja go zniszczyłem... – wyszeptałem po chwili, niemal bezgłośnie. Dosłyszał to.

– Mówiłem już, to bez znaczenia. I tak nie zgodziłbym się na to.

Zmęczenie podsuwało mi przed oczy obrazy wszystkiego, co dotychczas przeżyłem w związku z Ewarystem. W pokoju panowała niczym nie zmącona cisza. Za oknem nieśmiało zaczęły śpiewać ptaki.

– Wybacz... – powiedział Ewaryst. – Muszę dokończyć obliczenia.

Zabrał się do pracy. Siedziałem, przymknąwszy oczy. Widziałem siebie przyjeżdżającego do Paryża i siebie od dawna już tu działającego, siebie – podwójnego. Nawet nie podwójnego, rozgałęzionego, istniejącego w wielu miejscach i czasach. Przed moim wzrokiem przesuwały się tysiące twarzy, tysiące ziem, po których stąpałem. Marzenie przerwał wyraźny turkot kół dorożki.

– To po mnie – powiedział Ewaryst. – Idź już.

Postanowiłem zagrać ostatnią kartę.

– Ewelina... – zacząłem.

– Dobrze, że wróciła – przerwał. – Naprawdę idź już. Moje obliczenia zabiorą stąd przyjaciele.

Wstałem i jak we śnie ruszyłem ku drzwiom.

Gdy obudziłem się z ciężkiego snu, nijak nie mogłem zmiarkować gdzie jestem i co się ze mną działo, jak zwykle po przepiciu czerwonym winem. Oczy przetarłem i rozejrzałem się: knajpa. Ta sama co w niej wczoraj pić zaczynałem. Tylko ludzie jacyś inni, inaczej ubrani, bo ja zresztą wiem...? Tak, jakby nie tylko jedna noc minęła mi na tym ciężkim śnie. Przede mną siedzi to samo indywiduum, co wczoraj (wczoraj?) zaczęło ze mną pić, bzdury jakieś wierutne opowiadając.

– Dobrześ się spisał – mówi, spozierając na mnie dziwnie. – Zasłużyłeś na nagrodę.

Za jaką to służbę chciał mnie ten zakapturzony dziad nagradzać? Co ja w ogóle mogłem mieć z nim wspólnego? Spojrzałem na siebie, ubrany byłem też jakoś dziwnie, jakby bardziej z francuska.

– Dziwisz się? – roześmiał się bezgłośnie podejrzany typ. – Od czasu, kiedy cię tu spotkałem, minął rok z okładem. Miałem dla ciebie zadanie, które wykonałeś jak należy.

Lepiej scieznąć, niż słuchać tego kłamcy. Jednak cała sytuacja zdała mi się dziwna. Ubrany byłem inaczej niż wtedy, inni też byli ludzie siedzący w knajpie, a i karczmarz jawił się jakby odmieniony. Czary, czy co? Nie wierzyłem ja w bajdury o wcielonym czarcie, ale znów jakiś dreszcz przeszedł mi po krzyżu.

Postanowiłem za wszelką cenę przypomnieć sobie kolejność wydarzeń. Siedziałem sobie w knajpie, pijąc wino, gdy przysiadł się do mnie ten... Opowiadać zaczął coś o sobie, o policji Fouche'go... Potem o sprawie jakiegoś matematyka, Ewarysta Galois... Opowiadał, a jego opowieść jakby w rzeczywistość przekształcać się zaczęła...

Nagle przypomniałem sobie wszystko. To ja byłem tym jego wspomnieniem. Jego opowieść musiała być zamiarem, który dopiero ja miałem urzeczywistnić... W jakiś sposób zniewolił mnie do tego.

– Kim jesteś? – spytałem głucho.

– Czy to ważne? – odparł, jak zwykle zagadkowo. – Pewien filozof nazywał mnie dziejowym rozumem, a sposób mego postępowania określił jako chytrość. Najlepiej chyba powiedzieć, żem jest tworzycielem rzeczywistości za pomocą złudzeń. Inni, co prawda, określają mnie inaczej, zależnie od uznania...

– Czy jesteś duchem przeczenia?

– To przesąd – odparł wyniośle. – Jeśli już chcesz mej definicji, powiem ci, że jestem duchem czasu... który jest i który nadejdzie.

– Działasz podstępnie...

– Ja nigdy nie działam. Działają ludzie. Zawsze i tylko ludzie.

– A moje zadanie?....

– Było cząstką, fragmentem. Stałeś się sprawcą śmierci Ewarysta Galois – stwierdził bezlitośnie. Milczałem, zbyt przygnębiony, żeby mówić cokolwiek. Ja – sprawcą? Ja, który całe swoje siły poświęciłem temu, aby Ewarysta od śmierci uchronić! W jaki sposób człowiek może być wplątany w bieg rzeczy, o którym nie ma żadnego pojęcia?

– Musimy już iść – powiedział.

„Dlaczego mam iść z tobą?" – chciałem zapytać, ale zbrakło mi siły i zdecydowania. Powoli, ciężko podniosłem się zza stołu. W tej samej chwili od strony stałych bywalców knajpy dał się słyszeć jakiś rumor i szum. Jak zwykle dwaj z nich pobili się o coś, najpewniej o oszustwo w kartach. Gdy jeden z nich wyszarpnął zza pazuchy nóż, wszystko umilkło; przeciwnik stał z gołymi rękami.

– To niehonorowo, on nie ma noża! – wykrzyknął ktoś.

Już się miała cała wrzawa rozejść po kościach, gdy mój towarzysz (bodajbym go nigdy nie poznawał!) wyjął spokojnie nóż i podał temu, który dotychczas był bezbronny. Ów spojrzał nań jakby pierwszy raz w życiu widział ten przedmiot, ale po chwili ujął go pewnym chwytem. Również jego przeciwnik gotował się do walki.

– Załatwcie to gdzie chcecie, byle nie w mojej tawernie! – donośnym basem oznajmił barman.

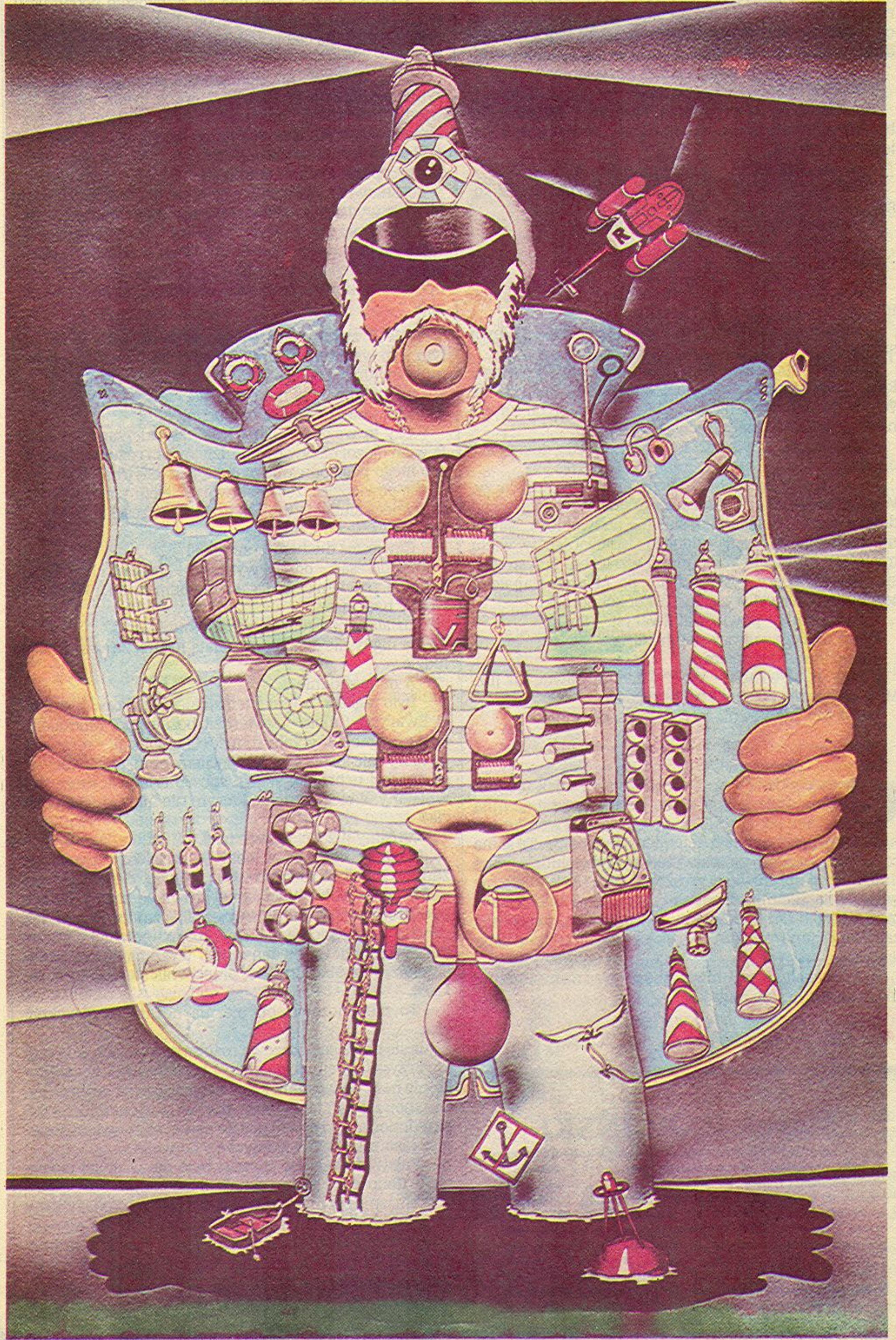
Posłusznie i w milczeniu wyszli z knajpy. Podążyliśmy za nimi. Świtało. Tu i ówdzie pojawili się już pierwsi przechodnie. Dwaj antagoniści weszli w ciemną bramę. Po chwili rozległ się stamtąd krzyk i głuche uderzenie ciała, padającego na bruk.

Marek PĄKCIŃSKI

Ur. 11 sierpnia 1960 w Warszawie, absolwent Wydziału Filologii Polskiej Uniwersytetu Warszawskiego, debiutował w wieku 16 lat opowiadaniem „Turniej" na łamach „ Młodego Technika" (1976). Swoje utwory zamieszczał w „Młodym Techniku", „Fantastyce" („Możliwość wnikania" 1986/5) oraz w antologii „Wehikuł wyobraźni" (Wyd. Poznańskie 1978). W 1976 ukazał się jego pierwszy zbiór opowiadań „Owadzia planeta" (Czytelnik), a w 1985 kolejny wybór „Ogród pamięci" (Czytelnik) – rec. zob: „Fantastyka" 1985/12. Twórczość Marka Pąkcińskiego nawiązuje do motywów prozy iberoamerykańskiej, jego patronem jest Borges z tajemniczą nieokreśloną wizją świata, labiryntem historii, przypadku, przeznaczenia w którym błądzi człowiek.

(an)

Piotr Łopalewski



David Hartwell jest znanym i cenionym w świecie SF wydawcą. Sądząc z kroniki towarzyskiej w „Locusie", uczestniczy również aktywnie w życiu fandomu, ożywiając konwenty fantazyjnie kolorowymi strojami. Niżej podpisany szykował się do napisania artykułu omawiającego sytuację w amerykańskiej science fiction, kiedy znalazł w czasopiśmie wydawców „The Publishers Weekly" artykuł Hartwella zawierający wszystko co trzeba, w dodatku poparte znajomością machiny od środka. Nadmiar zainteresowania i pieniędzy jako czynnik obniżający poziom literatury nasuwa na myśl opowiadanie Pohla „Skarb w środku gwiezdnej tęczy". Ostatnim potwierdzeniem niebezpieczeństwa utraty indywidualności autorów i uśredniania się amerykańskiej fantastyki są zapowiedzi serii książek różnych autorów „opartych na pomysłach" Arthura Clarke'a.

L.J.

Czy sukces zepsuje SF?

David Hartwell

Istota SF tkwi w takim podejściu, które prawdopodobnie nigdy nie będzie popularne: komercjalizacja i rozwodnienie prowadzą fantastykę na manowce.

W latach siedemdziesiątych i w początkach osiemdziesiątych wydawano o wiele mniej oryginalnej science fiction w porównaniu z poprzednim dziesięcioleciem, mimo ogromnej liczby pozycji, jaka się wtedy ukazała. Ostatnie lata były dla SF okresem umocnienia i zaakceptowania przez wielu nowych czytelników. Ale to nowe, rozszerzone grono odbiorców nie jest zaznajomione ze szczególnymi cechami odmiany: zarówno czytelnicy jak i krytycy żądają pogłębienia sylwetek psychologicznych postaci, ograniczenia słownictwa technicznego i naukowego, osadzenia akcji w niedalekiej przyszłości, do której można się ustosunkować bez niewygodnych pytań i podejrzliwego niedowierzania. Jeżeli te tendencje okażą się trwałe, sukces naprawdę może zepsuć science fiction.

Już teraz widać oznaki radosnej kapitulacji – zaniżanie poziomu, żeby dostosować się do dolnej granicy wymagań czytelników. Ostatecznie autorzy chcą być lubiani i to najchętniej przez wszystkich, a pisarze SF przyzwyczaili się, że za swoją pracę otrzymują pieniądze. W przeszłości były one niewielkie, ale przy szybko rosnącej popularności i powszechnym uznaniu dla literatury SF ci, którzy zdobyli uznanie w latach siedemdziesiątych, a w osiemdziesiątych zaczęli być poszukiwani, mogli zacząć dyktować wysokość honorariów. Ostatnio doszło już do tego, że każdy debiutant mógł sprzedać powieść SF za parę tysięcy dolarów. Jest to szczególnie znamienne w czasach, kiedy młodzi pisarze, uprawiający jakikolwiek inny gatunek, muszą latami walczyć żeby wydać pierwszą powieść (a wielu z nich rezygnuje po kilku latach niepowodzeń). SF jest szeroko otwartym i powiększającym się rynkiem pozwalającym na połowiczne sukcesy.

Za ogromne pieniądze, pochwały krytyków i rosnącą popularność też trzeba płacić – czym, łatwo się domyślić. Pewna liczba młodych, utalentowanych pisarzy, którym zdarzyło się przeczytać parę pozycji SF, napisało jedną lub kilka książek, a po nawiązaniu kontaktów z wydawcami, uciekło jak najszybciej w stronę jeszcze bardziej skomercjalizowanych obszarów literatury. W SF zostało po nich parę odświeżonych, fachowo napisanych schematów. Inni zajęli się SF ponieważ można tu było zrobić pieniądze, choć sam gatunek ich nie interesował. Ci nie odeszli, zrobili jednak co w ich mocy, żeby z SF wyrzucić wszystko, co jest w niej twórczego (James Blish napisał o nich zjadliwie, że nazywają króliki smeerpami, króliki jednak nadal pozostają królikami, mimo że są słodkimi, skaczącymi, posiadającymi miękkie futerko smeerpami). Zresztą większość tego typu autorów uprawia teraz fantasy.

Najbardziej niestałymi ze wszystkich kochanków SF okazali się jednak niektórzy z jej czołowych pisarzy, którzy znęceni przez komercjalizację zaczęli niesłychanie rozbudowywać swoje powieści zwiększając ilość drugoplanowych postaci, panoramicznych nieszczęść, dodając seks w romantycznym sosie, to znaczy wszystko to, co powinna posiadać dobrze sprzedająca się powieść. Przykładami służą: „Shiva Descending" Gregory Benforda i Williama Rotslera (1979) i „Lucifer Hammer" Larry'ego Nivena i Jerry'ego Pournelle'a (1977). Co więcej, niektórzy pisarze rozwijają swoje popularne powieści w serialne. Szczególnie lubiane są trylogie, ale często zdarza się więcej tomów. „Diuna" Franka Herberta rozrosła się już do sześciu, przy czym wszystkie były bestsellerami.

Być może nazbyt surowo oceniamy ludzi, którzy popełnili błąd, dokonując takiego wyboru. Ale rezultatem jest niewątpliwie osłabienie pisarstwa SF, co w dziwny sposób zbiega się ze zmianą atmosfery na dużych zjazdach (zanika postawa dominująca od lat dwudziestych i stanowiąca o wielkiej sile gatunku). Ogromne naciski ze strony rynku ograniczyły wolność SF w kreowaniu nowych wizji.

Żaden autor, który zarabia swoim pisarstwem, nie jest całkowicie wolny od wymagań rynku i w tym przypadku ograniczenia, niekiedy bardzo surowe, dotyczące seksu w SF, czy katastroficznej odmiany SF, narzucane są przez różne kręgi czytelnicze. Ale przy zbyt długo trwającym sukcesie komercyjnym, po raz pierwszy w dziejach SF, zaczynają pojawiać się naciski usiłujące przenieść uwagę z tego, co było zawsze istotą science fiction na poprawność stylu, konstrukcję postaci, złożoność wątków bądź osadzenie akcji w niedalekiej przyszłości, to znaczy na cechy, które poszerzają rynek czytelniczy, zapewniając literaturze fantastyczno-naukowej pozytywne recenzje krytyków spoza „getta".

Zmienili się także fanowie. W lokalnych zjazdach z początkiem lat siedemdziesiątych brało udział od 30–50, najwyżej 350 fanów i pisarzy. Tego typu imprezy były organizowane w dwudziestu rejonach Stanów Zjednoczonych. Natomiast w 1979 roku, tylko w czasie jednego weekendu, odbyło się w różnych miejscach aż pięć zjazdów, w których wzięło udział od 400 do 1000 fanów.

Jest rzeczą oczywistą, że fandom niesłychanie się rozrósł i to w sposób nieuporządkowany. Ale zmiana polega nie tylko na wzroście liczebności czytelników. Przed 1970 r. każdy z fanów znał lub przynajmniej powinien znać większość słynnych autorów i prac science fiction, chociażby dlatego, aby w sposób kompetentny ocenić, które z nich stają się już klasyką fantastyki naukowej.

To założenie sprzed dziesięciolecia było zaprawą spajającą cały, począwszy od lat dwudziestych, ruch. Na początku lat siedemdziesiątych to wszystko zaczęło się nagle zmieniać. Coraz więcej osób przychodzących do SF było nastolatkami wystawionymi na działanie SF, nie mającymi jednak nałogów czytelniczych. Sukcesy „Star Trek", „2001", „Stranger in a Stranger Land", „Diune" czy „Marvel Comics" spowodowały znacznie większy wzrost liczby fanów niż publikowanych książek i czasopism. Szczególnie jeżeli chodzi o liczbę fanów biorących udział w zjazdach. Większość z nich dotarła do SF poprzez kulturę popularną (zazwyczaj przez któreś z mediów charakterystycznych dla kultury pop), a nie dzięki czytaniu książek, jak ich poprzednicy. Niektórzy z nich zarazili się potem pasją czytania, ale większość z nich nigdy nie sięgnęła do książek wydanych w latach największego sukcesu SF.

Po prostu zbyt późno się zjawili. W 1971 roku było już niemożliwe przeczytanie dziewięćdziesięciu nowych pozycji SF, jakie ukazywały się w ciągu roku, a co dopiero powrót do klasyki. Na jednym z ostatnich zjazdów, w pomieszczeniu, w którym było dwudziestu młodych fanów miała odbyć się dyskusja na temat wczesnych prac J.G. Ballarda, które w latach pięćdziesiątych wywoływały entuzjazm i podziw czytelników. Tylko jedna z tych dwudziestu osób czytała cokolwiek Ballarda. W Clarion, podczas warsztatowych spotkań pisarskich (1971), w pokoju pełnym ludzi mających zamiar zostać pisarzami SF (wszyscy byli już po debiucie!) tylko jedna z tych osób przeczytała kiedyś powieść napisaną przez Philipa K. Dicka. Dziś przeciętny fan lub przeciętny młody autor nie zna już dorobku pisarskiego SF.

Boom lat siedemdziesiątych

Tak, w fandomie panują nadal takie same stosunki towarzyskie, ale wizja tego, czym jest SF, zmieniła się znacznie. Wciąż jeszcze najważniejsze miejsce zajmuje SF pisana, która najwcześniej ustaliła obraz i możliwości odmiany. Ale młodsi fanowie i pisarze dostają się do SF poprzez inne media. Sukcesy, rozrost, a co za tym idzie sięganie do innych środków wyrazu, na pewno zmienią SF. Już zmieniają.

Dekada lat siedemdziesiątych była okresem największego boomu we współczesnej historii SF. Jednak cały ten boom był iluzoryczny. Bo wcale nie był to boom





science fiction. Większość sukcesów SF dotyczyła jej pobrzeży – szczególnie odmiany fantasy (którą wydawali edytorzy science fiction, pisali autorzy science fiction i czytali fanowie science fiction, ale która nie była SF). Sukces fantasy zaciemnił cały obraz: w rzeczywistości nie wydano więcej książek SF niż w latach sześćdziesiątych, które nie były przecież okresem boomu. Ogromną część (w niektórych miesiącach ponad pięćdziesiąt procent) SF opublikowanej w latach siedemdziesiątych stanowiły wznowienia. Wydawcy od paperbacków usiłowali spieniężyć fakt, że SF nie starzeje się, jak większość innych utworów beletrystycznych. Gdy tylko jakiś autor stawał się nagle bardzo popularny, wszystkie jego poprzednie książki zostawały wznawiane. Gdyby przywołać na pomoc statystykę, stałoby się jasne, że po 1970 r. publikowano mniej niż 100 nowych pozycji SF rocznie, jeśli wykluczyć z tego grona książki fantasy. Także magazyny SF straciły na popularności. Dziwny boom.

Fantastyka naukowa – począwszy od lat siedemdziesiątych – była i jest wygodnym azylem dla niezliczonych form hybrydowych w rodzaju fantasy, surrealizmu, opowieści niesamowitych, różnych wersji pop starych pomysłów SF. Być może, potrzebujemy teraz, bardziej niż kiedykolwiek krytyki traktującej SF ze zrozumieniem i wiedzą, krytyki teoretycznej. Po raz pierwszy potrzebujemy historii literatury, byśmy nie zapomnieli skąd wyszliśmy.

To, co modne w literaturze, jest tym, w co „wartó grać" – Wielką Grą danej epoki. W okresie elżbietańskim należało zostać poetą i wykazywać swą maestrię pisząc sonety. Istniały oczywiście także i inne formy poezji, dzięki którym można było zdobyć sławę – liryki, utwory pastoralne i epickie – ale „grało się" w sonet.

Jeżeli ktoś napisał coś takiego jak dramat, choć był on wystawiany i oglądany, nie mógł go nawet wydać w swoich dziełach zebranych, by nie narazić się na śmieszność. Wróćmy do teraźniejszości: dziś modnie jest uprawiać prozę w stylu Hemingwaya (Faulknera), Bellowa (Bartha) choć jeszcze o stopień wyżej umieszcza się naśladowców Manna, Joyce'a, Lavrence'a, Nabokova, Camusa. SF jest dzisiaj dla literatury tym samym, czym był w epoce Szekspira dramat. Dla większości ludzi „z zewnątrz" jest to zła sztuka; a w opinii wielu osób ze środowiska, odrzucających modną literaturę (takich jak Lester del Rey), wcale nie sztuka, tylko rzemiosło i zabawa.

Dlatego młoda dziewczyna będąca inżynierem elektronikiem, ukończywszy odpowiednie kursy literatury wie, że ta ostatnia jest ściśle chronionym rezerwatem (a nie czymś, na temat czego można mieć określoną opinię, jak religia i polityka) i może zacząć zajmować się w wolnym czasie uprawianiem SF, wysyłając swoje utwory do wydawnictwa, oczekując, że zostaną one przyjęte przez otwartą i bezkrytyczną publiczność.

SF stoi z boku „gry w literaturę", więc każdy entuzjasta zapraszany jest do zabawy – zwłaszcza jeśli jest to osoba mająca jakąkolwiek techniczną przyszłość i jest nadzieja, że będzie wprowadzać nowe pojęcia do zbioru starych pomysłów funkcjonujących w SF. Tak przynajmniej było do niedawna. W ciągu dziesięciu ostatnich lat SF stała się jedyną „grą" dla młodych pisarzy, w tym również i tych, którzy kierują się modą w literaturze (!). Są wśród nich również pisarze z dyplomami. Wszyscy oni wiedzą, że moda jest dla snobów, wszyscy chcą należeć do grupy wybranych, do elity. Niektórzy z nich grają w Wielką Grę.

Najlepszym z nich, poważanym przez znawców gatunku (takim jak Joanna Russ i Thomas M. Dish) udaje się uprawiać sztukę i SF równocześnie. Ale reszta używa tej ostatniej jako kuchennego wejścia do literatury. Tworząc rzeczy wartościowe, stają się niebezpieczni dla SF, dlatego że jest ich tak wielu, że tak dobrze potrafią pisać, że ich utwory są wydawane i nagradzane przez innych takich samych pisarzy i że tak naprawdę to nie wspierają oni gatunku SF. Raczej zabierają mu coś przez niezrozumienie celów i odwracanie uwagi. Jest to spadek po Nowej Fali.

Dene Benatan, aktywna przedstawicielka fanów, była we wczesnych latach siedemdziesiątych osobą, która pierwsza dostrzegła post–nowofalowe niebezpieczeństwo. Fakt, że akademicy i krytycy spoza „getta" koncentrowali swoją uwagę właśnie na młodych, utalentowanych pisarzach, poruszających się na rubieżach SF. Benatan z typowym fanowskim humorem wymyśliła powiedzenie: „Miejsce science fiction jest w rynsztoku, pozwólcie jej tam powrócić" i popularyzowała, jako zbiorowy lament ludzi SF, którzy nie chcą, aby ich poletko uprawiali outsajderzy, nie traktujący SF poważnie i z należytym szacunkiem.

Hasła Benatan nie należy mylić z parafrazą spopularyzowaną również we wczesnych latach siedemdziesiątych przez Lestera del Reya (o którym wspomniałem wcześniej): „Wróćmy do korzeni, do dobrej, starej science fiction, która była czystą rozrywką. Skończmy z aspiracjami do sztuki – Nowa Fala odpływa".

Oboje – Benatan i del Rey zareagowali na zmiany, które były już wtedy zauważalne dla ludzi zajmujących się SF, ale nie zostały jeszcze jasno wyrażone. Po raz pierwszy SF stała się gatunkiem obszernym, nieźle prosperującym, szanowanym przez ludzi spoza „getta". Jeżeli weźmie się to wszystko pod uwagę, nie wiadomo na dobrą sprawę dlaczego wszyscy zaczęli się czuć nieswojo – dlaczego SF przestała być zabawą?

Coż się stało? W utworach lat siedemdziesiątych było więcej słów i mniej pomysłów niż kiedykolwiek przedtem. Najlepsze dziesięć procent było tak samo dobre lub lepsze, niż w jakimkolwiek wcześniejszym okresie, szczególnie jeśli chodzi o zachowanie standardów literackich (Le Guin, Dish, Moorcock, Russ, Budrys i in.), ale młodsi pisarze (z tak wspaniałymi wyjątkami jak James Tiptree Jr., John Varley, Vonda McIntyre) debiutowali mając mniejsze przygotowanie w dziedzinie SF i byli mniej zainteresowani jej istotą, gustami i preferencjami ludzi „z wewnątrz gatunku" (przeciwnie niż nowofalowcy lat sześćdziesiątych, wiedzący wszystko o SF, lecz odrzucający to w akcie rewolucyjnym).

W dodatku dużo większe grono odbiorców w latach siedemdziesiątych posiadało minimalną wiedzę na temat gatunku i jego klasyków, było mniej wymagające. Dzięki przenikaniu do innych rodzajów literatury – SF zaczęła tracić swoją jednorodność. W omawianym dziesięcioleciu największe sukcesy osiągały zbeletryzowane wersje filmów oraz kontynuacje powieści, które wcześniej stały się bestsellerami („Star Trek", „Star Wars" – w wydaniach książkowych „Children of Dune", jako kontynuacja „Diune" itd.). Pozycje te sprzedawały się o niebo lepiej niż te, które zdobywały nagrody Hugo i Nebula. Nawet najpopularniejsze („Children of Dune" Herberta czy „The Number of the Beast" Heinleina) rzadko były nagradzane. Jaka zmiana w porównaniu z poprzednimi latami!

Dekada lat siedemdziesiątych to również czas sukcesu fantasy na rynku wydawniczym. Fenomenalna popularność książek Tolkiena i gwałtowny renesans zainteresowania Conanem – barbarzyńskim bohaterem stworzonym przez Roberta E. Howarda – spowodowały, że książki wspomnianych autorów zaczęły się ukazywać w nakładach paperbackowych ze wzrastającą częstotliwością.

Fantasy, zarówno ta amoralno–heroiczna jak i moralizatorsko–rycerska były i są wydawane jako odmiana SF, zabierając w ten sposób miejsce, które powinno przypaść SF. W dodatku popularne stały się również utwory „ponadnaturalnej fantasy" – horroru. Chociaż ich autorami bywali pisarze z „dyplomami SF", tacy jak Stephen King, gatunek nie akceptował ich powiązań z fantastyką naukową, aż do Światowego Zjazdu Fantasy w 1975 r.

Jak na ironię zjazd ten zapoczątkował przyspieszanie unifikacji różnych typów fantasy w zbiorczą jednostkę, z własną świadomością gatunku, odrębną od świadomości SF. Istnieje dzisiaj ogromna i lojalna w stosunku do fantasy masa czytelników, ale są to, jak nazwał ich C.S. Lewis „źli czytelnicy": prawie zupełnie bezkrytyczni, gotowi nagradzać najbardziej stereotypowe utwory i zarazem stanowiący dużą siłę ze względu na swoją liczebność.

Wychodzenie z podziemia

Wielkim pytaniem lat osiemdziesiątych jest problem czy świadome połączenie fantasy i SF będzie trwałe. Na ocenę SF wpłynęło wydanie ogromnej liczby fantasy. Jeżeli boom tej ostatniej w rzeczywistości maskuje stały poziom wydawniczy SF w latach siedemdziesiątych, kryzys świadomości, który mógłby przynieść pozytywne rezultaty, uderzy w SF. Lub może oznaczać jeszcze jedno załamanie rynku.

Z drugiej strony, jeżeli SF i fantasy pozostaną nierozłączne, a fantasy będzie się nadal cieszyć rosnącą popularnością, to w rzeczywistości będzie się ukazywać coraz mniej pozycji SF. Prawdziwe nieszczęście dla SF!

SF, traktowana jako całość, nigdy nie była tak potężna jak obecnie, ale zarówno upadek, załamanie, jak i popularność, ekspansja mogą nadejść już wkrótce – są ze sobą związane.

Science fiction przez lata zdobywała popularność, wychodząc z podziemia, z rynsztoka, podążając w kierunku tego, co najmodniejsze. Podczas gdy gatunek rósł w siłę i prosperował, odczuwał stale naciski przeciwstawnych tendencji sztuki i pieniądza, które odciągały pisarzy SF od miłośników właściwego nurtu w stronę pokupnej literatury popularnej i różnych odmian literatury pop (należących do sci-fi), bądź w kierunku Wielkiej Gry czy „antymody" będącej literacką awangardą (które stanowią odmianę fikcji spekulatywnej).

SF musi się bronić przed siłą, jaką jest pieniądz, popychającą ją do sukcesu komercyjnego i przed mirażami sukcesu estetycznego, nakładającymi wymagania obowiązujące poza fantastyką naukową, odmawiającymi słuszności cechom charakterystycznym dla SF. W rynsztoku naciski te

były łatwiejsze od rozpoznania i do zwalczania – wiedziało się bardzo dobrze, że tworząc lub popierając sci-fi zdradza się ideały pisarstwa SF, podobnie jak odmawiając zasad istnienia literaturze SF przez dostosowywanie do wymagań awangardy lub literatury eksperymentalnej. Co daje z jednej strony mniejsze pieniądze, z drugiej mniejszą sławę i powrót dokładnie do tego samego miejsca, z którego się wyszło. Naprawdę duże pieniądze, które odciągają pisarzy od SF, są udziałem niewielu. Ulegając takim naciskom SF będzie ulegać podziałom, o ile nie zdobędzie świadomej niezależności.

„Pozwólcie wrócić SF do rynsztoka, tam, gdzie jest jej miejsce" – jest wezwaniem zdających sobie sprawę z potrzeby niezależności, aby literatura ta mogła przetrwać mimo rozdarcia, bez uciekania od swej istoty, odrzucania ważnych wartości i spłycania treści. Dla SF i dla fandomu najważniejszym testem jest umiejętność nagradzania najlepszych pisarzy odmiany, aby nie odchodzili od niej i pozostawali wierni jej tradycjom.

Przełożyła
Dorota Malinowska

Esej Davida Hartwella ukazuje dość jednostronnie losy jeszcze ciągle w naszych czasach najmodniejszego gatunku literackiego. Jest to spojrzenie typowego krytyka anglosaskiego na anglojęzyczną odmianę tego gatunku. Jakby inne odmiany w ogóle na świecie nie istniały. Zastanawiająca jest ta zarozumiałość, a równocześnie izolacja anglojęzycznej fantastyki od fantastyk reszty świata. Cechą charakterystyczną tej postawy jest na pewno przekonanie o immanentnej rozrywkowości literatury z kręgu SF, wszystko co tej rozrywkowości obce, staje się według Hartwella dla gatunku ryzykiem, zagrożeniem, początkiem jej końca. W gruncie rzeczy ma on pretensje do pisarzy takich jak Dick, Le Guin, nie mówiąc już o Huxleyu czy Orwellu, że mieli w ogóle czelność zerwać z tą rzekomo wrodzoną i jedynie słuszną teorią rozrywkowości science fiction i odważyli się wskoczyć w sprawy zwykłego, nie fantastycznego świata.

I oto jesteśmy w samym centrum światowych kontrowersji na temat science fiction. A jednocześnie natychmiast i na własnym, polskim podwórku manifestującym jakby z odbicia te kontrowersje, ale za to ze znacznie większą niż gdzie indziej siłą, gdyż u nas artysta i literatura od czasów Wielkiego Romantyzmu zawsze znaczyli więcej niż w innych krajach i u innych narodów.

Większość naszych fanów podpisałaby się jednak natychmiast pod twierdzeniami Hartwella – oni, podobnie jak i on, oczekują bowiem od fantastyki li–tylko rozrywki, z jej specyficznymi SF ograniczeniami. Natomiast tradycje literatury fantastycznej naszego kraju skłaniają do całkiem innego potraktowania tego gatunku. Zresztą i ogromna fala twórczości lat siedemdziesiątych, która rozpoczęła swój atak na umocnienia klasycyzmu science fiction wskazuje na romantyczne cechy fantastyki w Polsce (ale i nie tylko w Polsce), co zupełnie zmienia punkty odniesienia proponowane przez Hartwella. Postaramy się wkrótce ukazać inną od hartwellowskiej, wcale nie katastroficzną dla literatury science fiction perspektywę.

A.H.

1978

1326. SCHULZ Bruno: *Sklepy cynamonowe. Sanatorium pod klepsydrą.* Wyd. II. Kraków. Wyd. Literackie. 16° ss. 324, nlb. 3. 40000 egz. – Biblioteka Klasyki Polski i Obcej.
1327. STAWIŃSKI Jerzy Stefan: *Nie zawijając do portów. W: Sześć wcieleń Jana Piszczyka i inne utwory.* Wyd. I w tym zest. Warszawa. Czytelnik. 16° s. 337–594. 10000 egz. – Głowy Wawelskie.
1328. TOMASZEWSKA Marta: *Serpente w raju.* Kraków. Wyd. Literackie. 16° ss. 196, nlb. 2. 20000 egz.
1329. TRUCHANOWSKI Kazimierz: *Młyny Boże.* Wyd. II. Warszawa. Państw. Inst. Wyd. 8° 10000 egz. T.I.: *Niepokój*, ss. 489, nlb. 3, T.II: *Tyranie.* ss. 390, nlb. 2, T. III: *Zdejmowanie masek.* ss. 333, nlb. 3.
1330. VULPESCU Romulus: *Niezwykły koncert.* Tłum [z rum.] Irena Wierzbanowska-Kawalec. Posłowie Jan Prokop. Kraków. Wyd. Literackie. 16° ss. 76, nlb. 3. 10000 egz. – Seria Fantastyki i Grozy.
WIŚNIEWSKI-SNERG A. :*Według...* – zob. ASF.
1331. YEATS William Butler: *Hanrahan Rudy i inne opowiadania.* Tłum. [z ang.] Jadwiga Piątkowska. Posłowie Krystyna Stamirowska. Kraków. Wyd. Literackie. 16° ss. 124, nlb. 3. 20000 egz. – Seria Fantastyki i Grozy.

Horror (W):

1332. BARBEY d'AUREVILLY Jules [–Amadée]: *Diable sprawy.* Tłum. [z franc.] Janina Guze. Wstęp Jerzy Parvi. Warszawa. Państw. Inst. Wyd. 8° ss. 250, nlb. 2, tabl. 6. 20000 egz. – Seria Grozy.
1333. BIERCE Ambrose: *Jeździec na niebie i inne opowiadania.* Tłum. [z ang.] Jerzy Krzysztoń. Przedm. Michał Sprusiński. Wyd. II. Warszawa. Czytelnik. 16° ss. 289, nlb. 3. 40000 egz. – Nike.
MURDOCH I.: *Jednorożec.* – Zob. AF.
1334. PEREZ GALDOS Benito: *Zjawa.* Tłum. [z hiszp.] Jadwiga Konieczna-Twardzikowa. Posłowie *Henryk Czubała. Kraków. Wyd. Literackie. 16° ss. 95, nlb. 3. 20000 egz. – Seria Fantastyki i Grozy.*
1335. [TOLSTOJ Alëksěj Konstantinovič]: *Upiór.* Tłum. [z ros.] Tadeusz Chruścielewski. Wyd. II Warszawa. Państw. Inst. Wyd. 16° ss. 120, nlb. 4. 10000 egz. – Biblioteka Jednorożca. – Na k. tyt. aut.: Aleksy K. Tołstoj.

„Zagadki nauki" (MS):

1336. BUTRYM Stanisław: *Sprawy wokół naukowego obrazu Wszechświata.* Warszawa. Młodz. Ag. Wyd. 16° ss. 123, nlb. 1. 20000 egz. – Motywacje.
1337. von DITFURTH Hoimar: *Dzieci Wszechświata.* Tłum. [z niem.] Anna Danuta Tauszyńska. Wstęp Maciej Iłowiecki. Wyd. II. Warszawa. Państw. Inst. Wyd. 16° ss. 404, nlb. 3. 20000 egz. – Biblioteka Myśli Współczesnej.
1338. von DITFURTH Hoimar: *Na początku był wodór.* Tłum. [z niem.] Anna Danuta Tauszyńska. Przedm. Maciej Iłowiecki. Warszawa. Państw. Inst. Wyd. 16° ss. 444, nlb. 8. 100000 egz. – Biblioteka Myśli Współczesnej.
1339. DONIMIRSKI Andrzej: *Przybysze z kosmosu – rzeczywistość czy fantazja? O niektórych hipotezach* [dotyczących] pochodzenia naszej cywilizacji. Wyd. II. Katowice. WYd. „Śląsk". 8° ss. 274, nlb. 1, tabl. 18, portr., mapy. 30000 egz.
1340. JANISŁAWSKI Maciej Aleksander: *Trójkąt śmierci.* Warszawa. Wyd. MON. 32° ss. 130, nlb. 2. 30000 egz. – Sensacje XX Wieku.
1341. KLIMUSZKO Czesław Andrzej: *Moje widzenie świata.* Poznań. Wielkopolskie Stowarzyszenie Różdżkarzy. 8° ss. 175, nob. 1, portr. 2000 egz. – Informacje: radiestezja, biotronika, geotronika, psychotronika. 4.
1342. KUCHOWICZ Bronisław, SZYMCZAK Jadwiga Teresa: *Dzieje materii przez fizyków odczytane. Ewolucja fizyczna.* Warszawa. Wiedza Powszechna. 8° ss. 538, nlb. 2. 10000 egz. – Złota Seria Literatury Popularnonaukowej („wendtowska"). – Dot. m.in. kosmologicznych „zagadek nauki".
*1343. MALAK Franciszek: *O radiestezji.* Poznań. Wielkopolskie Stowarzyszenie Różdżkarzy. 8° ss. 32, nlb. 4. 2000 egz. – Informacja: radiestezja, biotronika, geotronika, psychotronika. 3.
1344. MOSTOWICZ Arnold: *My z kosmosu.* Warszawa. Kraj. Ag. Wyd. 16° ss. 431, nlb. 1, tabl. 24, biobliogr. 60000 egz.
1345. NIEKRASZ Lech: *Trójkąt Bermudzki.* Warszawa. Młodz. Ag. Wyd. 16° ss. 164, nlb. 4. 20000 egz.
*1346. ROSELINS Walter: *Człowiek, który używa wahadła, wie więcej.* [oraz] WOCKNER Willi: *Ułatwienie stosowania wahadła.* Tłum. z niem. Antoni Litwin i D. Oestereicher. Poznań. Wielkopolskie Stowarzyszenie Różdżkarzy. 8° ss. 40, nlb. 8. 2000 egz. – Informacja: radiestezja, biotronika, geotronika, psychotronika. 1.
1347. SZUMAN Leszek: *Astrologiczna charakterystyka typów ludzi w zarysie.* Poznań. Wielkopolskie Stowarzyszenie Różdżkarzy. 8° ss. XVIII, 63, nlb. 7. 2000 egz. – Informacja: radiestezja, biotronika, geotronika, psychotronika. 2.

Futurologia (F):

1348. CZARKOWSKI Jan: *Wizja świata (Proroctwa i prognozy).* Wrocław. Ossolineum. 8° ss. 198, nlb. 2. Sum. 5000 egz.
1349. [GUŠČËV Sërgěj]: *Dokąd mknie ekspres RNT?* Tłum [z ros.] Czesław Czarnogórski. Warszawa. Kraj. Ag. Wyd. 32° ss. 169, nlb. 6, tabl. 24, err. 10000 egz. – 777 cudów współczesnego świata. – Na k.tyt.aut.: Seriusz Guszczew. – Wyd. przy współpracy AP Novosti, Moskva. – Cd. zob. poz. nast.
1350 [GUŠČËV Sërgěj]: *Zagadka czasów i narodów.* Tłum. [z ros.] Czesław Czarnogórski. Warszawa. Kraj. Ag. Wyd. 32° ss. 177, nlb. 2, tabl. 24. 10000 egz. – 777 cudów współczesnego świata. Na k. tyt. aut. Sergiusz Guszczew. – Wyd. przy współpracy AP Novosti, Moskva. – Zob. poz. poprzed.
1351. HOLLANEK Adam: *Sposób na niewiadome.* Warszawa. Kraj. Ag. Wyd. 16° ss. 283, nlb. 1. 20000 egz. – Opowieści 2000 roku.
1352. JANISŁAWSKI Maciej [Aleksander], WOJTARA Edward: *W stronę trzeciego wymiaru.* Warszawa. Wyd. MON. 16° ss. 253, nlb. 3, tabl. 8. 5000 egz.
1353. KAŁUZA Roman: *Nie przechytrzać natury.* Warszawa. Czytelnik. 16° ss. 243, nlb. 4. 10000 egz.
1354. KAMIŃSKI Bartłomiej, OKÓLSKI Marek: *Świat obecny, świat przyszły.* Warszawa. Wiedza Powszechna. 16° ss. 276, nlb. 4. 10000 egz. – Omega, t. 324.
1355. MĄKA Henryk: *Rejs w rok 2000.* Warszawa. Książka i Wiedza. 16° ss. 261, nlb. 2, tabl. nlb. 8 i liczne objęte liczbowaniem. 10000 egz. – Polska, Świat i...
1356. *O NOWY ład międzynarodowy. Raport dla Klubu Rzymskiego.* Red. i wstęp Jan Tibingen. Tłum. [z ang.] Wiesław i Stanisław Rączkowscy. Przedm. Kazimierz Secomski. Warszawa. Państw. Wyd. Ekon. 8° ss. 333, nlb. 3. 6000 egz.
1357. PIKULSKI Zygmunt: *Na progu XXI wieku.* Lublin. Wyd. Lubelskie. 16° ss. 305, nlb. 2. 10000 egz.
1358. PODWYSOCKI Tadeusz: *Polska w świecie – wiza do przyszłości.* Warszawa. Iskry. 16° ss. 207, nlb. 1. 8000 egz.
1359. *PROGNOZOWANIE w technice.* Aut.: James R[ieser] Bright [i in.]. Red. Milton E.F. Schoeman. Tłum. z ang. Warszawa. Wydawnictwo Naukowo-Techniczne. 4° ss. 679, 3000 egz.
1360. TRĘBICKI Jerzy: *W stronę Arkadii czy Apokalipsy.* Warszawa. Młodz. Ag. Wyd. 16° ss. 21, err. 10000 egz. – Motywacje.

cdn.

Przygotował Jacek Izworski

Orwicz Zygmunt

Pseudonim (brak danych biograficznych)

Autor książki **„Człowiek niewidzialny. Powieść z roku 2112"** (Skarbiec powieści, t. VIII, Kraków 1912). Tematem utworu jest historia niezwykłego odkrycia dokonana przez studenta chemii – Zasławskiego, który uzyskał z wywaru ziół indyjskich cudowne robrum – płyn posiadający barwę obojętną dla oka ludzkiego. Fabuła powieści czerpie obficie z wątków sensacyjnego romansu brukowego: naukowiec czyni się niewidzialnym i w swej nowej postaci szerzy panikę wśród mieszkańców Warszawy. Działanie chemika zbliża się w pewnym sensie do postępowania Griffina, bohatera „Niewidzialnego człowieka" Herberta Wellsa (faustyczny motyw uzyskania niewidzialności dla zdobycia siły, mocy, władzy). Ale w zasadniczym przesłaniu historii dominuje trywializacja upraszczająca jej społeczną i psychologiczną wymowę. Orwicz bliższy jest wątkom baśniowym („obserwacja z ukrycia" jako motyw „czapki-niewidki") – przy czym traktuje je dość swobodnie, pozwalając swojemu bohaterowi dokonywać swoistych ataków zemsty za niepowodzenia o charakterze erotycznym.

Powieść Zygmunta Orwicza, pozbawiona wartości literackich, jest wyłącznie świadectwem istnienia tematu nieśmiertelności w polskiej literaturze modernistycznej i dowodem jego zaadaptowania do potrzeb, rodzącej się, kultury masowej.

Ossendowski Ferdynand Antoni

(1878–1945) Prozaik, podróżnik

Urodził się 27 maja 1878 r. w Witebsku. Studiował nauki matematyczno-przyrodnicze na Uniwersytecie Petersburskim. W latach 1899–1901 kontynuował studia w zakresie chemii i fizyki na Sorbonie. Był docentem w Instytucie Technologicznym w Tomsku. W latach 1903–1905 ekspertem przemysłu wojskowgo w armii Dalekiego Wschodu. Podczas wojny domowej doradcą kontrrewolucyjnej armii generała Kołczaka. W 1922 r. przyjechał do Polski. Od 1922 do 1924 r. wykładał geografię, ekonomię i politykę w Wyższej Szkole Wojskowej, Handlowej i Szkole Nauk Politycznych w Warszawie. Odbył wiele podróży po Europie, Afryce, Azji i Ameryce. Od 1935 r. był prezesem Towarzystwa Literatów i Dziennikarzy, redagował „Wiadomości Warszawskie" (1937) oraz „Film-Romans" (1938). Wydał kilkadziesiąt reportaży, opowiadań i powieści podróżniczych osnutych na tle wątków przygodowo-sensacyjnych i fantastyczno-egzotycznych, m.in. „Przez kraj ludzi, zwierząt i bogów" (1923), „Od szczytu do otchłani" (1925), „Płomienna północ" (1926), „Pod smaganiem samummu" (1926), „Niewolnicy słońca" (1927). Autor powieści dla młodzieży: m.in. „Pod polską banderą" (1928), „Lisowczycy" (1929), „Zagończyk" (1931). Podczas okupacji niemieckiej brał udział w pracy konspiracyjnej. Zmarł 3 stycznia 1945 w Żółwinie pod Warszawą.

Nawiązania do fantazji naukowej pojawiają się w powieści **„„Zbuntowane i zwyciężone"** (Instytut Wydawniczy Inwalidów Wojennych i Byłych Wojskowych, 1925; pierwodruk: „Zenszcziny wosstawszije /a i pobiezdiennyje/ a.; Fantasticzeskaja powiest", Moskwa 1915). Jest to historia wyprawy na Antarktydę w celu poszukiwania zesłanych tam sufrażystek. Bohaterowie odkrywają tajemniczą cywilizację zamieszkałą pod lodami siódmego kontynentu. Ojczyzną Kampartów jest jedna z planet Południowego Krzyża. Kosmici przybyli na Ziemię przed wiekami, tworzą prężną, doskonale zorganizowaną grupę społeczną wykorzystującą dorobek myśli naukowo-technicznej. Ale ich system ustrojowy niewiele różni się od struktury niewolniczej, opiera się na strachu, terrorze, bezwzględnym posłuszeństwie poddanych. Karłowata, inteligentna kasta przywódców posługuje się tanią siłą fizyczną – ramisami. Nic więc dziwnego, że w finale powieści dochodzi do buntu ramisów i zagłady podziemnego państwa. Aluzyjność tekstu Ossendowskiego dotyczy wydarzeń poprzedzających wybuch rewolucji proletariackiej, ale autor przestrogi społecznej wzoruje się, w gruncie rzeczy, na „Wehikule czasu" i „Pierwszych ludziach na Księżycu" – Herberta Wellsa.

Bibliografia wybrana:

– S.E. (w:) „Kurier Literacko-Naukowy" 1926/7.
– (...) (w:) „Niwa" 1913.

Ostoja-Owsiany Andrzej

(ur.1930) Radca prawny, prozaik, publicysta

Urodził się w Warszawie 16 czerwca 1930 r. Ukończył Wydział Prawa Uniwersytetu Łódzkiego. W latach 1957–1964 był prokuratorem, następnie radcą prawnym. Prozaik i publicysta. Autor książek o tematyce historycznej („Rok 1920"; 1981) i społecznej („Waleczny domek", 1969; „Tirolinka", 1968 – współautor: Adam Ostoja-Owsiany). Swoje opowiadania i reportaże drukował w „Żołnierzu Polskim", „Żołnierzu Ludu", „Kronice", „Głosie Wybrzeża". Laureat kilku nagród literackich. Autor dwóch powieści o tematyce fantastyczno-naukowej: **„Aspazja"** (Wyd. Łódzkie, 1958, wyd. 2 – zmienione 1974) i **„Zielona planeta"** (Wyd. Łódzkie, 1973).

„Aspazja" jest powieścią podejmującą tradycyjny temat lotu kosmicznego oraz eksploracji innej planety i w swym zasadniczym przesłaniu sięga do rozwiązań konwencji przygodowo–eksploracyjnej SF. Opisując cywilizację pszczół-robotów zamieszkującą Marsa, Andrzej Ostoja popełnia sporo niekonsekwencji motywacyjnych, ale przesłanie jego książki należy rozumieć wyłącznie jako aluzję odnoszącą się do stosunków ziemskich. „Zielona planeta" ukazuje Ziemię zniszczoną kataklizmem nuklearnym oraz beznadziejną wegetację ostatnich ludzi żyjących w podziemnym schronie, swoistym bunkrze-mauzoleum. Pierwsza część powieści mówi o wizycie Kosmitów, którzy poszukują śladów życia na naszej planecie, druga jest relacją-pamiętnikiem ostatniego człowieka i zarazem apelem do uczonych, którzy swoje wynalazki oddają w ręce polityków. Warto dodać, że powieść Andrzeja Ostoi należy do nielicznych książek w polskiej współczesnej science fiction ukazujących świat po katastrofie (zob. „Astronauci" S. Lema; „Głowa Kasandry" M. Baranieckiego). W 1956 r. za powieść „Aspazja" Andrzej Ostoja otrzymał pierwszą nagrodę „Dookoła świata" na konkursie „Spotkanie z wiekiem XXI".

Bibliografia wybrana:

– O. Terlecki, *O duplikatorach* (w:) „Życie Literackie" 1958/65.
– (AKW) (w:) „Nadodrze" 1974/16.

Jan Zasławski stał przed wielkim zwierciadłem utworzonym po prostu ze ściany w pokoju, w którym mieszkał. Wszystkie bowiem domy w tym czasie były stawiane tylko z żelaza i szkła grubego na blisko pół metra, te szklane ściany pokryte były po zewnętrznej stronie warstwą rtęci, tak że tworzyły wielkie zwierciadła. Działo się to bowiem w roku 2112.

Zasławski był człowiekiem młodym: miał najwyżej 40 lat. Na przystojnej jego twarzy malowała się stanowczość i energia. Pokój, w którym się znajdował był zupełnie pozbawiony wszelkich ozdób, znajdowały się tam tylko jakieś stare rupiecie i mnóstwo książek. Zasławski ubrany cały w orginalne czarne trykoty, zanurzał od czasu do czasu jakiś szeroki do pędzla podobny przedmiot w glinianym wielkim naczyniu, które, jak się mogło zdawać, było całkiem próżne. Chemik zaś – Zasławski był chemikiem – z triumfującym uśmiechem smarował sobie pędzlem nogi.

Mimo zimy i mimo, że od siedemdziesiątych lat siła cieplna słońca znacznie się zmniejszyła, nie tylko pokój młodego studenta, ale cała Warszawa, aż po końce Pragi, gdzie się znajdował wielki dworzec żeglugi powietrznej, otulona była jakby mgłą miłego ciepła. Warszawa ogrzewana była elektrycznie i nie tylko Warszawa, wszystkie miasta w Królestwie były oświetlane i ogrzewane elektrycznością wytwarzaną w wielkich elektrowniach położonych wzdłuż brzegu Wisły. Wszystkie domy były jednakowo ogrzewane i oświetlane, a trzeba od razu zaznaczyć, że podatków wcale nie nakładano. Podatki były w ogóle bardzo małe.

Pogrążony w myślach Zasławski nie zauważył wcale, że do jego mieszkania ktoś zapukał. Do pokoju wszedł Karol Rawski, przyjaciel Zasławskiego. Zaledwie jednak zamknął drzwi za sobą, krzyknął przeraźliwie.

Krzyk ten był tym straszniejszy, że Rawski nie robił zupełnie wrażenia człowieka, który się byle czego przestraszy. Zbladł jak trup, począł drżeć na całym ciele, wytrzeszczył oczy i wpatrzył się w Zasławskiego, widać było, że byłby omdlał – gdyby się był na czas nie oparł o krzesło.

Zasławski chciał przyjść przyjacielowi z pomocą, ale Rawski wyrzucił ręce przed siebie i zaczął krzyczeć.

– Nie, nie, precz ode mnie! Czy ja rozum straciłem? Czy to straszne odkrycie... to halucynacja czy..?

Zasławski stał spokojnie. Przera-

żenie przyjaciela nie zrobiło na nim, jak się zdaje, żadnego wrażenia. Zdał się śmiać, spoglądając triumfującym wzrokiem na pytającego.

– Czy rzeczywistość? – chciałeś zapewne powiedzieć, kochany Karolu – Tak jest, to rzeczywistość. Widzisz, pomazałem swoje nogi wynalezionym przeze mnie robrum, wskutek czego oczy twoje nie mogą ich widzieć. Przyszedłeś właśnie wtedy, kiedy miałem zamiar całe swoje ciało pomalować i uczynić się zupełnie niewidzialnym, byłbyś wszedł do pokoju i nie widział mnie i byłbyś wyszedł przekonany, że mnie nie ma w domu, podczas gdy ja bym cię doskonale widział.

Rawski nie uspokoił się, ale zdenerwował się jeszcze bardziej.

– Ależ to niemożliwe! To szaleństwo! A ty mi je chcesz tłumaczyć.

Nie miał siły, aby więcej mówić, bo wrażenie tego, co widział, było za silne. Zapytał więc szeptem:

– Co to jest robrum, o którym mi mówiłeś?

Zasławski skinął głową:

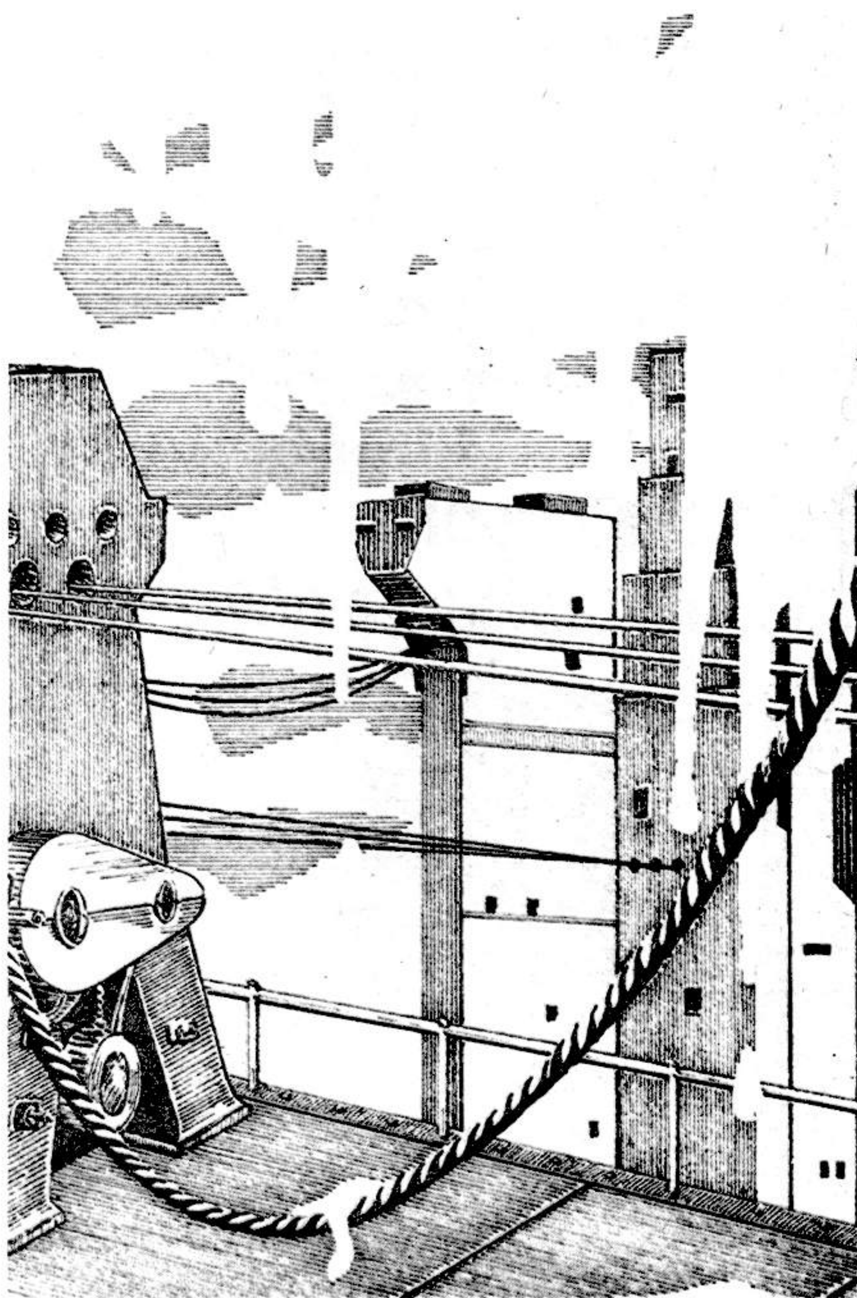
Krótko powiedziawszy: wynalazłem środek, za pomocą którego można materię uczynić niewidzialną. Dzięki temu każdy człowiek będzie mógł stać się niewidzialnym. Od wielu lat myślałem nad tym. Teoretycznie sprawa była dla mnie zupełnie jasna. Przypuśćmy, że uda się wynaleźć barwę inną, aniżeli barwy zasadnicze i powstałe z nich połączenia, a nadto nie robiącą wrażenia świetlnego, na które oko nasze jest tak czułe, to dokona się wynalazku, przyćmiewającego wszystkie inne. Ta barwa bowiem będzie dla oka ludzkiego niewidzialną. Tę nową barwę wynalazłem i nazwałem ją r o b r u m...

Rozumiesz chyba co to dla mnie znaczy! Miliardy – miliardy popłyną do mojej kieszeni. Przekonałeś się w tych kilku minutach, że zrobiłem wielkie odkrycie i uwierzysz chyba, że spowoduje ono zupełny przewrót w naszej kulturze. Nie twierdzę wprawdzie, że moje odkrycie wywrze olbrzymi wpływ na ludzką kulturę, ale to wiem, że kultura trzeciego tysiąclecia będzie stać pod moim znakiem. Powtarzam Ci więc, że twoje oczy wcale nie łudzą...

W odkryciu tym dopomógł mi przypadek. Wiesz, że dopiero przed rokiem powróciłem z długiego pobytu w Indiach. Podczas swoich wycieczek w Himalaje znalazłem tam roślinę, która mnie zaciekawiła, gdyż prawie jej nie widziałem. Z kształtu podobna do oliwek, wydawała dziwnie niepojęty zapach, a była wprost jakby bezbarwna, tak że z trudem ją dojrzałem. Naturalnie zebrałem kilka i wysuszyłem, aby je mieć w swoim zielniku. Przy suszeniu roślin, względnie przy wyciskaniu z świadczeniach udało mi się wytworzyć ciecz prawie niewidzialną. Z chwilą, gdy tą cieczą pomaluję sobie ciało, staję się dla wszystkich niewidzialny, zastałeś mnie właśnie przy

Zygmunt Orwicz

Człowiek niewidzialny



Andrzej Brzezicki

nich soku, sok ten pozostawia zawsze widoczny dla oka ślad. Przy tej roślinie tego nie było, a przecież czułem, że sok wychodził, że jakąś barwę mieć musiał. W rzeczywistości udowodniłem chemicznie, że roślina ta przy uciskaniu wydziela ze siebie sok, ale tego soku absolutnie nie mogłem widzieć. Po wielu próbach i do-

takiej robocie. Rozumiesz teraz wszystko?

Zygmunt Orwicz, Człowiek niewidzialny, Powieść z roku 2112, Skarbiec powieści tom 8, Nakładem Wydawnictwa A. Rippera w Krakowie, wybór ze stron 3 – 10.

Opracował Andrzej Niewiadowski

Podzielony

Motyw przeniesienia w czasie bohatera powieści, czy to za sprawą hibernacji czy podróży kosmicznej z szybkością zbliżoną do szybkości światła, jest motywem pojawiającym się dość często w science fiction. Należy – nie ma co ukrywać – do zużytych i stereotypowych pomysłów na ...iązanie powieściowej akcji. Konrad Fiałkowski w pochodzącej z 1979 roku powieści „Homo divisus" zrobił jednak z niego taki użytek, że cała ta stereotypowość zostaje zamaskowana i zgubiona w wielostopniowych uzależnieniach, jakim bohater jest poddany w nowej dla siebie rzeczywistości. Ma więc ten motyw znaczenie tylko pretekstowe.

Cała powieść jest zbudowana na bazie pomysłów wielokrotnie już w fantastyce naukowej wykorzystywanych. Fiałkowski gra tu ze swoimi czytelnikami: bierze z dorobku konwencjonalnej fantastyki wszystko, co tylko może mu się przydać, nie ukrywa tych zapożyczeń i tworzy z nich nową całość, która – o dziwo! – jest bardzo atrakcyjna czytelniczo. To właśnie jest w tej powieści najbardziej zadziwiające – nie wszystkie przygody i tajemnice przypadki, które przeżywa Stef Korn, ale to, jak pisarz posługuje się stereotypami literackimi, by zbudować z nich swoją własną powieść. Czego tu nie ma? Jest wspomniana hibernacja, jest przebudowa czy udoskonalenie organizmu ludzkiego, jest eksperyment przeniesienia świadomości jednego człowieka do innego organizmu, jakby nałożenie tej świadomości na inną i walka z sobą tych „dwóch" ludzi umieszczonych w jednym ciele, są tajemnicze eksperymenty naukowe, jest nasłuch sygnałów z Kosmosu (oczekiwanie na kontakt), jest cały stereotypowy sztafaż „codzienny" fantastyczno-naukowy (zlicz, Opiekun itd.), jej współzależność między pisarstwem fantastyczno-naukowym a wydarzeniami w świecie przedstawionym powieści, jest zdradziecka reporterka wideo, w której rodzi się prawdziwe i czyste uczucie, są wreszcie „przejścia" pomiędzy alternatywnymi światami, jest jeszcze wiele innych pomysłów w powieściowej skali mikro i makro, które przyszły do niej skądinąd.

Fiałkowski miesza to wszystko, przestawia, łączy ze sobą po to, by stawiać bohatera w sytuacjach niezwykłych, by nie mógł się połapać w tym wszystkim, w czym znalazł się po przebudzeniu z kilkadziesiąt lat trwającej hibernacji. Złożoność jego sytuacji jest wielostopniowa i pomysłowo wyjaśniona przez autora w finale, choć nie wszystko staje się dla czytelnika jasne, ale tak to właśnie powinno być – wyjaśnienie wszystkiego sprawiłoby, że książkę odkładałby z poczuciem całkowitego jej przeniknięcia.

I taka właśnie jest powieść Fiałkowskiego: wykorzystuje twórczo stereotypy science fiction, ale są tu też rzeczy całkiem świeże, jak chociażby cała sekwencja walki wewnętrznej „człowieka podzielonego", walki jego dwóch osobowości o dominację nad całością organizmu.

Dużo to czy mało? Zadając sobie takie pytanie jestem podzielony wewnętrznie, jak bohater powieści. Z jednej strony dużo, bo powieść pokazuje faktyczną wirtuozerię autora w mieszaniu, komponowaniu różnych wątków, pokazuje jego znajomość chwytów stosowanych w obrębie gatunku, który uprawia. Z drugiej strony nie wynika z tego wszystkiego wiele, sporo z tych pomysłów, czy też z pochodzących z ich zderzania napięć zostaje poniechanych w momencie poczęcia, mimo iż stwarzają okazję do rozmaitych, metafizycznie niepokojących wycieczek literackich. Odnosi się wrażenie, jakby sam pisarz zaczął się obawiać wszystkich możliwości, które uruchamia jego powieść i szybko zmierzał do „spłaszczenia" jej wymowy. A może po prostu założył sobie napisanie takiej właśnie powieści, bez jeszcze bardziej wygórowanych ambicji intelektualnych i artystycznych?

Leszek Bugajski

Konrad Fiałkowski: *Homo divisus*. Wydawnictwo Literackie, Kraków–Wrocław 1986.

film i fantastyka

Od nickelodeonu do kina pięciu palców?

Rasowi kinomani, chowani u nas w latach sześćdziesiątych i siedemdziesiątych na doborowym repertuarze DKF-ów i nie najgorszym repertuarze wszystkich kin, źle się dziś czują w ciemnych salach przed wielkim ekranem.

Kin zresztą coraz mniej, a w miejsce dawnej, wymagającej widowni królują w nich rozwydrzeni gówniarze. Podupada prasa filmowa. Kino coraz rzadziej staje się zapłonem intelektualnych i artystycznych dyskusji. Nie czekamy jak kiedyś na nowe filmy Bergmana, Antonioniego, Felliniego, Wajdy. W repertuarze, zamiast 80, czy nawet 100 filmów zachodnich rocznie, mamy ich nie więcej jak 20–30. Na prywatnych ekranach wideo, obok doborowych, sprowadzonych po piracku (czego, Boże broń, nie potępiam) dzieł w rodzaju „Ragtime", „Pola śmierci", „Brazylia", „Łowca jeleni", czy najnowszych filmów Tarkowskiego, królują przede wszystkim obrazki rozbierankowe bądź kino tzw. nowej wizualnej przygody. Sprowadza się ono do banalnej choć kosztownej i wartkiej realizacji schematu „zabili go i uciekł".

W jakim miejscu jesteśmy? My, Polacy – ale także, w jaki ślepy zaułek zabrnęli światowi widzowie i producenci? Ciężko na to odpowiedzieć. Bezpieczniej nostalgicznie podumać o czasach, w których kino jeszcze się nie zdegradowało, a tytuł miłośnika kina brzmiał dumnie. Zamiast rozpaczać nad bezmiarem myślowej i artystycznej deprawacji, jakiej ulega sztuka filmowa pod ręką realizatorów przeróżnych „mad movies" (szalonych filmów), depczących w pogoni za widzem ograniczenia estetyczne i moralne, lepiej powspominać czasy, w których film wyrażał najważniejsze emocje epoki i precyzował język artystyczny, dostarczając milionom przyzwoitego duchowego zajęcia.

Ratunek jak zwykle w książkach. Ukazały się właśnie dwa interesujące tytuły – trzecie wydanie „Historii filmu dla każdego" i drugi tom „Kina, wehikułu magicznego". Prezentują one starą, ale jarą wizję kina jako sztuki i języka komunikowania. Rozumienie filmu jako medium drażniącego jedynie zmysły, mówiąc umownie – stąd metafora o pięciu palcach – nie ma do autorów tych książek dostępu. Płażewski, wieloletni krytyk oraz dwaj miłośnicy krakowskich DKF-ów z lat sześćdziesiątych dają nam książki w starym, to znaczy w dobrym stylu.

Płażewski przedstawia dzieje kina od braci Lumière i Mélièsa do naszych dni (tzn. niestety zaledwie do roku 1980); Garbicz i Klinowski przedstawiają szczegółowo 303 wybrane, najlepsze według nich tytuły, z lat 1950–59. Płażewski prezentuje kolejne wielkie przełomy w dziejach kina; referuje także poglądy teoretyków na jego temat, używając pojęć takich jak „sztuka syntetyczna", „film jako sztuka nie towar", „związki produkcji filmowej ze strukturą psychiczną", „film jako język", „film jako ekspresja poetycka"... Zaś Garbicz i Klinowski wprowadzają zaraz na wstępie pojęcia „estetycznej siły ducha, czyli prawdy wewnętrznej kina" oraz „magii ekranu".

Na przykładach setek filmów i kilkunastu najciekawszych narodowych kinematografii pokazuje Płażewski narodziny sztuki filmowej, jej otrząsanie się z okresu jarmarcznego, jej ewolucję, ale i chwilowe ślepe uliczki, wynikłe z wprowadzenia nowinek technicznych – dźwięku, koloru, szerokiego ekranu – z jej rywalizacji z telewizją. Garbicz i Klinowski, mając krótszy okres do obsłużenia, a tym samym więcej miejsca, oddają się bardziej precyzyjnemu zapisowi fabuł i nastrojów poszczególnych filmów. Wyliczają też obficie ich parantele artystyczne, dają nam en passant mnóstwo ciekawostek, no i kompletny zapis czołówek. Płażewski, mniej barwny w szczegółach, pokazuje za to wyraźniej procesy i fale w dziejach kina, przypływy i odpływy weny poszczególnych kinematografii, owe znaczące przejścia, np. od neorealizmu do nowej fali, potem do kina politycznego, kina kontestacji, czy w ostatnich latach, inwazji gwałtu i seksu. U Garbicza i Klinowskiego, pochylających się nad wybranym dziesięcioleciem, ładniej wychodzą obsesje i mody ówczesnego kina. Widać u nich jak wiele ówczesnych najlepszych filmów zajętych było przewartościowaniem doświadczenia wojennego, jak nośną intelektualnie i ważką społecznie była w swoim czasie konwencja kryminału, czy wielkomiejskiego realizmu. Widać tu też narodziny takich talentów jak Bergman czy Antonioni, widać chwilową fascynację problemem (na przykład morderców kobiet) czy znacznie dłuższe i głębsze zainteresowanie dziś już chyba niemodnym wśród twórców westernem. „Kino, wehikuł magiczny" jest książką pozbawioną niestety zdjęć, mamy ich za to kilkaset u Płażewskiego. Obie książki zaopatrzono w indeksy filmów i nazwisk. Są to więc wymarzone kompendia wiedzy filmowej dla kinomana pozbawionego kina, który chciałby jak najdłużej pamiętać o tym, co w kinie dobrego zobaczył, bądź przeczytać, choćby skrótowo o tym, czego zobaczyć mu się nie udało. Czy są to także wymarzone książki dla miłośnika science fiction na ekranie?

Przyznajmy uczciwie, nie za wiele w obu książkach fantastyki. Owszem, Płażewski daje nawet interesujące nas zdjęcia – mamy tu kadry z Mélièsa, z „Diabelskiego wynalazku", z „Metropolis", „Aelity" czy... „Obcego", ale np. wielka „2001: Odyseja kosmiczna" doczekała się w tej książce paru wzmianek właściwie jednozdaniowych. Zaledwie parenaście godnych uwagi filmów fantastycznych bądź parafantastycznych znajdują w prezentowanym dziesięcioleciu Garbicz i Klinowski. Tytuły nie budzące gatunkowych wątpliwości, a wymienione w ich książce to: „Cud w Mediolanie", „Alicja w krainie czarów", „Piękności nocy", „20 000 mil podmorskiej żeglugi", „Śmiertelny pocałunek", „Inwazja porywaczy ciał", „Czerwony balonik", „Diabelski wynalazek", „Śpiąca królewna", „Ostatni brzeg". Już na przykład „Dzień, w którym ziemia zamarła" (Roberta Wise, 1951) nie zasłużył według nich na portrecik

Czym jest szaleństwo?

Któż nie poświęcił w swoim życiu choć chwili refleksji problemowi szaleństwa? Świat snów, wizji, twórczości wkrada się nierzadko w nasz usystematyzowany, zracjonalizowany porządek rzeczy. Ten odwieczny niepokój obrazuje wiele dzieł sztuki plastycznej (Goya: „Rozsądek uśpiony rodzi potwory" to jedna z najsłynniejszych grafik naszej kultury). Myśl starożytna pozostawiła nam w dziedzictwie szacunek do szaleństwa jako stanu uwznioślenia: „Jeśli człowiek piękność ziemską zobaczy, przypomina sobie piękność prawdziwą i oto skrzydła mu odrastają, on je rozpinać usiłuje i chciałby wzlecieć, a nie może; tedy, jak ptak w górę tylko patrzy, a że nie dba o to, co na dole, przeto go ludzie biorą za wariata..." (Platon, Fajdros).

Seneka stwierdza: „Nullum magnum ingenium sine addidamente resaniae" (wielkich zdolności nie może mieć ktoś, u kogo nie dostrzega się objawów zaburzeń psychicznych).

Potwierdzają to biografie Nietzschego, Nervala, Hölderlina, Swedenborga, van Gogha, Artauda i wielu innych.

Nie zawsze jednak obłęd był traktowany jako stan nawiedzony. Historia uczy, że rozpatrywano go również w kategoriach grzechu, stanu godnego pogardy oraz w sposób najbliższy naszej współczesnej świadomości – w kategoriach choroby. „Historia szaleństwa w dobie klasycyzmu" Michela Foucaulta przypomina zjawisko internowania wyznaczone przez normy moralno-społeczne klasycyzmu. Koniec XVI w. charakteryzuje się pojawieniem głębokiego strachu przed szaleństwem, który owocuje zamknięciem chorych w opuszczonych leprozoriach średniowiecznych. Społeczna ocena łączy obłąkanych z kryminalistami, bezbożnikami, biedotą. Znaczenie tej separacji ulega zmianie dopiero w początkach wieku XIX. Powstanie szpitali psychiatrycznych łączy się ze zmianą perspektywy oglądu szaleństwa, które zaczyna być rozumiane w wymiarach choroby. O tym, czy los obłąkanych uległ poprawie, świadczą współczesne ruchy walczące o humanistyczne traktowanie chorych umysłowo. Foucault należy do bezkompromisowych obrońców wyjętych spod prawa (inne jego prace dotyczą historii więzienia i seksualizmu).

„Historia szaleństwa" dociera do polskiego czytelnika w 26 lat od wydania oryginału. Przynajmniej tyle samo czasu upłynęło od zaistnienia autora jako jednego z głównych myślicieli współczesnej humanistyki. Dokonania Foucaulta dotarły do nas drogą niejako okrężną, między innymi dzięki ruchowi psychologii i psychiatrii humanistycznej, dla których jego dzieło miało niebagatelne znaczenie. Czasy obecne charakteryzują się zwiększonym zainteresowaniem problematyką szaleństwa. Powraca aspekt nawiedzenia, nierozumu jako koniecznego dopełnienia rozumu. Szczególnym wyrazem tych zjawisk jest seria „Transgresje" redagowana przez M. Janion (o kręgu zainteresowań autorów świadczą już same tytuły: „Galernicy wrażliwości", „Odmieńcy"). Mechanizm przekraczania granic, norm, uznanych konwencji jawi się tutaj jako miara humanistycznego odczuwania, obrona własnej indywidualności. Terminem transgresja posługuje się właśnie M. Foucault. Doświadczenie transgresji jest podstawowym czynnikiem dla naszych czasów, przypomina przełom, którego dokonało myślenie dialektyczne. Próba nie-dialektycznego myślenia wiąże się z problemami granicznymi, stąd tematyka choroby, więzienia, szaleństwa czy seksualizmu. Stąd też biorą się trudności w odbiorze dzieł Foucaulta. Trzeba poddać się jego sposobowi wyrażania, umieścić siebie w tekście a nie odwrotnie.

„Historia szaleństwa" sytuuje się pomiędzy zakresami historii i filozofii. Stanowi eksplikację poglądów teoretycznych Foucaulta, które przedstawił między innymi w „Archeologii wiedzy" (PIW 1977). Autor pragnie dotrzeć do świadomości danego okresu nie zniekształconej przez formy jej oglądu (dlatego za najbardziej adekwatny termin, określający jego prace, uznaje słowo archeologia). Foucault próbuje rekonstruować kategorie myślenia i sposób percepcji świata ponad konkretnymi wypowiedziami. Autor bada wszelkie przejawy kultury od instytucji społeczno-politycznych po dzieła sztuki. Myśliciel zawsze jednak unika odniesienia badanych obiektów do prawdy absolutnej. Dostrzega różnorodność pojęć, ostrzega przed jednoznacznymi wnioskami:

„Żadna prawda nie jest absolutna, rzeczywistość przypomina oś koła, do której dąży tysiąc różnych promieni.

Tak też pojmowanie obłędu w naszej kulturze nigdy nie stanowiło zwartego bloku, a raczej zespół różnych punktów widzenia łączących się w zmiennych proporcjach.

Trudno zachęcać do lektury książki o takim znaczeniu dla kultury współczesnej. Interesująca będzie konfrontacja tego, co już o Foucaulcie wiemy z jego dziełem. W żadnym wypadku nie należy też oceniać pochopnie „Historii szaleństwa". Dyskusja nad poglądami Foucaulta trwa już przynajmniej od ćwierćwiecza. Włączyć się do niej można dopiero po dokładnym poznaniu wszystkich prac tego myśliciela. Niestety omawiana tu pozycja to dopiero druga jego publikacja na naszym rynku.

Małgorzata Skórska

Michel Foucault: *Historia szaleństwa w dobie klasycyzmu*. Przełożyła H. Kęszycka. PIW, Warszawa 1987. Cena 900 zł.

film i fantastyka

ani na wzmiankę; wspomina natomiast o filmie Płażewski.

Te proporcje są dla miłośnika filmowej SF nieco trzeźwiące. W wybranym dziesięcioleciu 1950–59, a i w całych dziejach kina, wygląda film fantastyczny na konwencję peryferyjną, i długi czas nie ambitną, mocno zeschematyzowaną.

Z oczywistych powodów poza sferą zainteresowania trójki autorów pozostaje więc niskobudżetowe kino SF powstające w Stanach w latach pięćdziesiątych i sześćdziesiątych. Do dobrego towarzystwa arcydzieł i dokonań znaczących przebijają się w tych książkach takie jedynie filmy, w których fantastyczność obsługuje problemy wielkie, jest więc przyprawą, a nie gettowym towarem dla podnieconych i bezkrytycznych fanów. „Cud w Mediolanie" to „baśń socjologiczna", „Ostatni brzeg" jest nostalgiczną opowieścią o świecie dogorywającym po kataklizmie... Efekty, pirotechnika, tricki nie wychodzą tu jeszcze przed zamiar intelektualny, dlatego tak rozumiane kino fantastyczne może startować i zajmować dobre miejsce w normalnej konkurencji artystycznej. Disneyowska „Alicja w krainie czarów" (widziałem niedawno ten film w warszawskim Iluzjonie i wiem już skąd rysownik Dudziński ściągnął tak modnego w latach siedemdziesiątych Ptaka Dudi) to znaczący krok w dziejach filmowej animacji, prowadzący ku dokonaniom na miarę „Żółtej łodzi podwodnej". „Inwazja porywaczy ciał" jest wspaniałym horrorem politycznym, opowiedzianym w konwencji fantastycznej... Jeśli z kolei u Płażewskiego w trzech miejscach wspomniany jest Spielberg, to nie ze względu na artystyczne wyrafinowanie, ale raczej znaczący (i podejrzewam szkodliwy) przełom, jaki pod wpływem jego szkoły dokonał się w całej kinematografii. To Spielberg rozpoczął modę na filmy proste, atrakcyjne wizualnie, perfekcyjne warsztatowo – bezbłędnie oddziałujące na zmysły, ale puste myślowo. Przed nim podobnie oddziałał na kino inny wirtuoz reżyserii, Lelouch, też ściągający kino na manowce smacznego kiczu.

Tylko że wszyscy ci panowie, wszystkie chybione filmy i rozrywkowa tandeta, i problemy deprawacji widzów w ostatnich latach – wyglądają we wspomnianych książkach jak pryszcz, jak epizod w dziejach tryumfującego, wciąż rozwijającego się kina. Epizod, co najważniejsze, przejściowy, bo wcale nie pierwszy, nie wyjątkowy. Co prawda, nasz Andrzej Żuławski, swojego czasu bodaj Pasolini, także myśliciel Ortega Y Gasset – bardziej skłonni są wygłaszać sądy katastroficzne. Żuławski mówi w wywiadach, że kino, jakie znaliśmy umiera; Gasset wieścił upadek całej kultury pod naporem tłumów czy mas, które poprzez rynek i za sprawą dokonującej się jednak demokratyzacji, uzyskają wpływ na bieg świata i doprowadzą do upadku elit. Jest to prawda, ale dwuznaczna i niejako obrotowa. Przecież kino, o którego wyrafinowaniu i wysokim poziomie artystycznym tak niedawno jeszcze wołaliśmy, narodziło się i trwało (i trwa?!) właśnie jako sztuka dla mas – cały czas wytwarzana dla milionów i konsumowana przez miliony.

Coś tu się zgadza, kiedy zamrozimy bieżącą sytuację i zarazem nie zgadza, gdy zechcemy spojrzeć na nią dynamicznie. Otoczeni przez kino świadomie tandetne, wiercące nam dziurę w podbrzuszu (i innych sferach, nazwijmy je – erogennych) ulegamy katastroficznym nastrojom, że tak będzie już zawsze. Niekoniecznie. Teraz właśnie, kiedy tu lamentuję nad upadkiem widowni i krachem repertuaru, trwają w warszawskiej Skarpie pokazy „Misji" Joffego, filmu opowiadającego o jezuickiej misji w Ameryce Południowej, zmiażdżonej krwawo przez nieubłaganą politykę. Jest to film wielki, o potężnym napięciu religijnym (na jakie 10 lat temu nikt by się w kinie nie ważył); rzecz ma swoją widownię – lecz jest to zarazem dokonanie, przy którym skorzystano z doświadczenia wspomnianych wcześniej i potępionych filmów cynicznie rozrywkowych. Takie jest kino. Takie są mechanizmy jego upadku i odradzania się. Kino jest jak Feniks.

Miałem pretensje do Płażewskiego i do naszego cyklu produkcyjnego, które nie pozwoliły jego książce wykroczyć poza granicę roku 1980 i zbliżyć się bardziej do smutnej współczesności. Ale teraz myślę – po co się spieszyć? Kiedy w roku, powiedzmy 1995 da nam Płażewski IV wydanie swej pracy, to, nad czym dziś tak lamentuję, może się okazać krótkim epizodem, godnym zaledwie podsumowania w zwięzłym, złośliwym akapicie. Kino jutra, jeśli się odrodzi, w co wierzę, odrodzi się za sprawą powrotu do klimatu moralnego, do zadań estetycznych, jakie stawiało przed sobą kino stare.

Nie wiem, jaki udział w tym procesie mieć będzie kino fantastyczne. Bo przecież cała masowa produkcja fantastyczna, którą nawet my, miłośnicy SF, krzywiąc się oglądamy na klubowych wideo, wyląduje bez wątpienia na śmietniku historii sztuki. Ale dokonania Scotta, Kubricka, najlepsze rzeczy Carpentera... mam nadzieję, zostaną. Zostanie na pewno ta nie stereotypowa, nie gettowa fantastyka, jaką robią i od czasu do czasu będą robić mistrzowie kina w rodzaju Polańskiego, Weira, Andersona, Szulkina, Russela... którzy fantastykę traktują jako język i szansę wyrażania niewyrażalnego, a nie spetryfikowaną konwencję.

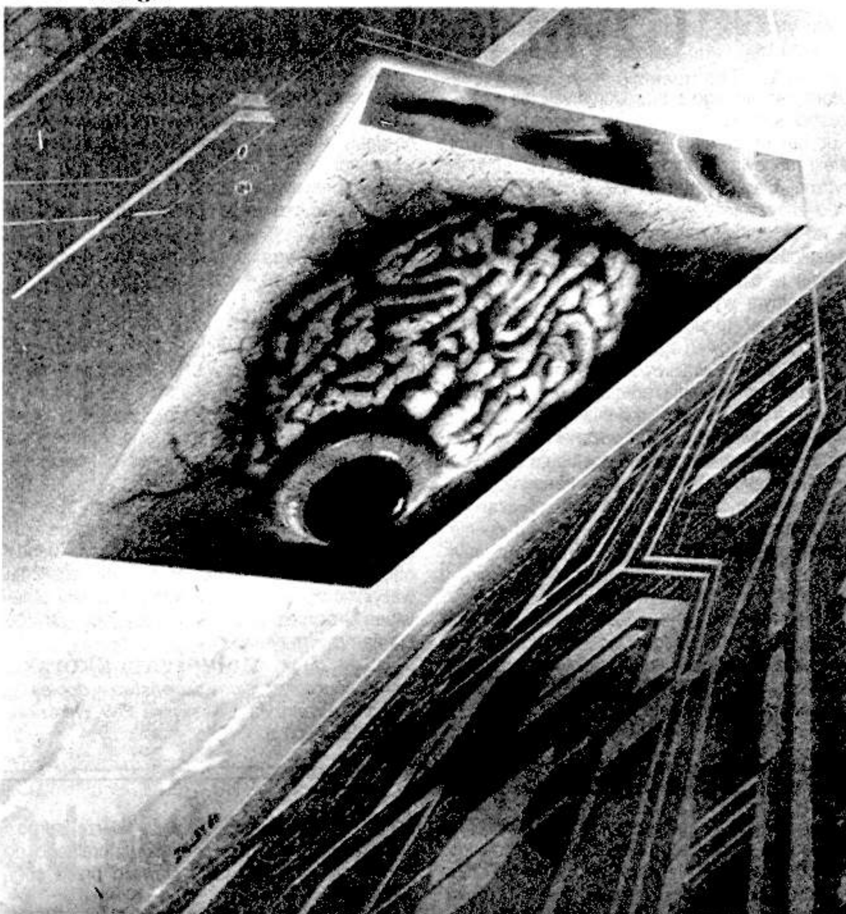
Czekając na te lepsze czasy, czytajmy książki o starym kinie i jego mistrzach. Zobaczymy w nich kino jako logiczny artystyczny organizm, jako udzielny świat pełen tajemniczych związków – czasem paradoksalnych, czasem zdumiewających. Może za sprawą wideo, na pewno za sprawą muzeów kina w rodzaju warszawskiego Iluzjonu, będziemy mogli nie tylko czytać o tym świecie, ale także wejść weń i smakować wszystkie jego uroki. Przewodnikiem po tym świecie mogą być właśnie prace takie jak Płażewskiego, Garbicza i Klinowskiego. To także dzięki nim spostrzeżemy nagle, jak bardzo Moby Dick z filmu Hustona przypomina czerwia z ekranizacji „Diuny", a ścieżka dźwiękowa ze „Śmiertelnego pocałunku" w momencie wybuchu atomowego na plaży, jest identyczna z tą, którą Spielberg podłożył w scenie otwarcia przez niemieckiego uczonego zaginionej Arki. To dzięki autorom takich książek, dzięki ich pracowitym indeksom i skompletowanym w trudzie czołówkom dowiemy się np. do jakich niefantastycznych filmów pisał scenariusze mistrz prozy science fiction, Ray Bradbury.

Maciej Parowski

Adam Garbicz, Jacek Klinowski: *Kino, wehikuł magiczny. Przewodnik osiągnięć filmu fabularnego. Podróż druga 1950–1959*. Wydawnictwo Literackie, Kraków 1987. Cena 850 zł.

Jerzy Płażewski: *Historia filmu dla każdego (1895–1980)*. WAiF, Warszawa 1986. Cena 800 zł.

Najbardziej złożonym systemem, czyli zorganizowanym układem materialnym, jaki znamy w przyrodzie, jest nasz własny mózg. Nie można wykluczyć istnienia we Wszechświecie układów bardziej złożonych, ale jak dotąd nic o nich nie wiemy. Nie mamy też żadnego dowodu na to, iż w ogóle istnieją. Tak więc – wedle stanu wiedzy na dziś – ludzki mózg przewyższa możliwościami wszystkie znane struktury naturalne i sztuczne (to znaczy – stworzone przez tenże mózg).



Marek Zaleski

Z tamtej strony lustra

Rozum, czyli efekt uboczny

Maciej Iłowiecki

Zostawiamy na boku problem często dziś rozważany, czy mózg ludzki może zaprojektować układ o większych możliwościach od samego siebie, zatem czy możliwe jest zbudowanie komputera przewyższającego inteligencją i twórczym potencjałem swego konstruktora. Jeśli tak, wówczas w przyszłości pojawi się sztuczny twór, będący najbardziej złożonym tworem we Wszechświecie. Na razie pierwsze miejsce zajmuje mózg, ukształtowany przez biologiczną ewolucję (taki jest pogląd współczesnej nauki) – i dziwnym paradoksem ów mózg, który zdobył już tyle wiedzy o otaczającym go świecie, najmniej chyba poznał samego siebie. O funkcjonowaniu mózgu wiadomo już sporo, informacje na ten temat zajęłyby grube księgi, ale – prawdę mówiąc – istota jego działania nadal okryta jest tajemnicą. Nie wiemy, czym jest świadomość, myślenie, intuicja, choć na ten temat powiedziano już tak wiele. Jest to, w gruncie rzeczy, ten sam problem filozoficzny: czy mózg może do końca sam siebie poznać i zrozumieć? Inaczej mówiąc, czy w ogóle można dany system wyjaśnić całkowicie w ramach tego właśnie systemu, czy też zrozumieć czyli stworzyć dokładny model działania danego systemu może tylko system wyższy, bardziej złożony.

Ci, którzy znają dobrze matematykę przypomną, że Kurt Goedel dowiódł, iż istnieją sformalizowane systemy, których prawdziwości ani fałszywości na gruncie ich samych dowieść nie można – by to uczynić, trzeba posłużyć się systemem nadrzędnym. Tak jest w matematyce, ale nie wiemy, czy przyroda (a więc i nasz mózg) jest na tyle „matematyczna", by obowiązywały w niej te same reguły... Zostawmy więc i tę, wyjątkowo trudną kwestię, tym bardziej że chciałbym się dziś zająć sprawą nieco inną, choć równie tajemniczą.

Otóż antropologowie, biologowie, badacze mózgu w szczególności, od lat już zdali sobie sprawę, że potencjalne możliwości ludzkiego mózgu o wiele, bardzo wiele przewyższają biologiczne potrzeby ludzkiego gatunku. Powie ktoś, że ludzie dawno już „wyszli" poza krąg biologicznych potrzeb swych organizmów i zatem mózg służy rozwijaniu kultury, cywilizacji i przede wszystkim poznawaniu, zdobywaniu naukowej wiedzy. I właśnie do takiej służby jest przystosowany. To prawda – ale tak właśnie jest najwyżej od kilkunastu tysięcy lat – a ludzki mózg osiągnął obecny poziom złożoności znacznie dawniej, w każdym razie p r z e d t e m, zanim pojawiła się kultura i cywilizacja. Jest zatem tak, jakby ewolucja p r z e w i d z i a ł a przyszłe potrzeby gatunku Homo sapiens i zawczasu, z góry obdarzyła przedstawicieli tego gatunku narządem, którego potencjalne możliwości przeznaczone były „na później". Można to ująć inaczej: rozwój mózgu pierwszych hominidów[1] przebiegał dużo szybciej niżby to wynikało z selekcyjnych nacisków środowiska. Można wreszcie powiedzieć wprost: mózg pierwszych małpoludów był „za dobry", tak skomplikowany narząd „na wyrost" był właściwie małpoludom niepotrzebny! A przecież ewolucja nie tworzy niczego, co byłoby niepotrzebne, co nie byłoby ściśle dostosowane do wymogów środowiska i potrzeb samego organizmu.

Przytoczę opinię wybitnego antropologa polskiego, Tadeusza Bielickiego: ewolucja mózgu hominidów „był to jeden z najszybszych, najgwałtowniej przebiegających procesów w historii kręgowców, a może nawet w historii świata zwierzęcego w ogóle". Proces ten zaczął się wtedy, kiedy na Ziemi kończyła się ostatnia epoka trzeciorzędu – tzw. pliocen i zaczynała pierwsza epoka czwartorzędu – tzw. plejstocen, czyli około 2 miliony lat temu (niektórzy sądzą, że ok. 3 mln lat temu). W tym czasie mózg hominidów powiększył się trzykrotnie, co już stanowi trudną do wyjaśnienia zagadkę, ale jakby tajemnic było za mało, doszła jeszcze jedna. Oto ów gwałtowny rozrost mózgu skończył się dość nagle około stu tysięcy lat temu, a żeby było jeszcze dziwniej, od około 15 tysięcy lat mózg człowieka zaczął się nawet zmniejszać! (Ściśle mówiąc, ś r e d n i a pojemność mózgu nieco się zmniejszyła). 15 tysięcy lat – to mniej więcej czas trwania i rozwoju naszej obecnej cywilizacji. Więc znów wracamy do punktu wyjścia: naszym przodkom sprzed kilkuset tysięcy lat wystarczyłby w zupełności mózg znacznie mniejszy i mniej – rzec można – zdolny, obdarzony mniejszą inteligencją i mniejszymi potencjalnymi możliwościami. Tymczasem już pod koniec starszej epoki kamiennej, jak to określają antropologowie – w górnym paleolicie (czyli około 40 tysięcy lat temu, a zapewne i dawniej) – mózgi ówczesnych, pierwotnych ludzi miały takie same potencjalne możliwości, jak mózgi ludzi z końca XX wieku. Posłużę się jeszcze raz opinią prof. Bielickiego: „ostateczny efekt ewolucji hominidów tzn. inteligencja człowieka dzisiejszego (osiągnięta już w górnym paleolicie – przyp. M.I.) zdaje się grubo wykraczać poza wymagania, które w tym względzie stawiał prosty, zbieracko-łowiecki tryb życia i prosta organizacja społeczna, cechująca hominidy przez cały prawie okres trwania plejstocenu (czyli prawie przez 2 miliony lat – przyp. M.I.); skutek wydaje się tu zupełnie nieproporcjonalny do przyczyny".

Czyli pytanie brzmi po prostu: po co przodkom człowieka potrzebny był tak bardzo rozwinięty mózg? Był on już wtedy zresztą tak rozwinięty, że do dziś nie wykorzystujemy wszystkich jego możliwości! Tak – to kolejna tajemnica: człowiek współczesny wykorzystuje tylko niewielki procent potencjalnych zasobów swego mózgu. Niektórzy uważają, że zaledwie 10% lub niewiele więcej – co oznacza, że około 90% mózgu pozostaje jakby w uśpieniu... rzeczywiście, trudno w to uwierzyć. Trudno też sobie wyobrazić, jacy bylibyśmy, jaka byłaby nasza cywilizacja, gdybyśmy zdołali się nauczyć wykorzystywać wszystkie zasoby własnych mózgów. Być może, będzie to kiedyś możliwe, a i dziś próbuje się znaleźć metody uruchomienia przynajmniej części tego niesłychanego potencjału intelektualnego. Technicy, specjaliści od komputerów powiedzą, że mózg ludzki wykazuje przeogromną redundancję – takie jest techniczne określenie systemu, w którym jest więcej elementów niż to jest konieczne do działania tego systemu.

Redundancja, ów nadmiar, zwiększa niezawodność systemu. Badzo dobrze – ale znowu powraca wyjściowe pytanie: po co jaskiniowcom potrzebna była a ż t a k a niezawodność ich mózgów, a ż t a k i, niewykorzystywany potencjał intelektu? Skoro nawet ludziom dzisiejszym, którym współczesność stawia wobec intelektu wyzwania znacznie większe, wystarcza korzystanie tylko z części potencji ich mózgów? I – co jeszcze trudniejsze do wytłumaczenia – skąd się wziął ów „nadmiar intelektu", dlaczego pojawił się w ogóle u tych istot, które były naszymi przodkami?

Oczywiście, istnieją różne hipotezy na ten temat. Autorzy fantastyki naukowej dawno już wpadli na pomysł, że swój genialny mózg małpoludy zawdzięczają... skrzyżowaniu z superinteligentnymi kosmitami, którzy kiedyś wylądowali na Ziemi i przekazali najbardziej tu rozwiniętym ssakom swoje cechy. Inna wersja tego pomysłu: że owi kosmici drogą manipulacji genetycznych stworzyli „z małpiego materiału" – odpowiedniego mutanta. Ale właściwie po co mieli to robić? Dla dobra naszej rasy? Dla jakichś celów, których jeszcze nie znamy, ale które mogą się kiedyś ujawnić?

No cóż, hipoteza interwencji kosmitów spoza Ziemi jest bardzo interesująca, ale odznacza się pewną słabością: nie ma najmniejszego śladu zasadnych dowodów, że tak właśnie było! Niektórzy Czytelnicy książek Daenikena mogą się oburzać – ale nie mogę nic poradzić na to, że większość przedstawianych przez Daenikena argumentów na rzecz kosmicznych ODWIEDZIN ma, mówiąc delikatnie, niewystarczające podstawy naukowe[3] (porozmawiamy o tym innym razem).

Musimy wrócić na grunt nauki, jest tam i tak bardzo dużo tajemnic. Wśród hipotez naukowych na temat „zbyt szybkiej" ewolucji mózgu i jego swoistej „nadmiarowości" wymienię trzy, godne uwagi.

Pierwsza, że wzrost mózgu hominidów w plejstocenie był normalnym efektem powiększania się ciała w ogóle – mózg miał służyć coraz większemu organizmowi, zatem i stawał się większy. Jego wielkość byłaby najzwyczajniej proporcjonalna do masy ciała. Hipoteza powyższa ma wiele słabych stron. Samo pojęcie proporcji jest tu względne: proporcja wagowa mózgu do całego ciała wynosi np. u słonia 1:600, u człowieka 1:45, u myszy 1:40, u niektórych przedstawicieli małp szerokonosych tylko 1:15. Małe małpki mają zatem proporcjonalnie do wagi ciała o wiele większy mózg niż człowiek! Ponadto można dowodzić, iż tempo wzrostu wielkości mózgu u przodków dzisiejszego człowieka było jednak wyższe niż powiększanie się rozmiarów ich ciała. Nie będę przytaczał innych argumentów przeciw – można mi uwierzyć na słowo, że ta hipoteza raczej sprawy nie wyjaśnia.

Hipoteza druga, lepiej uzasadniona: wzrost wielkości mózgu był wyrazem „selekcji na inteligencję", inaczej mówiąc dobór naturalny preferował osobniki o większych mózgach, bardziej od innych inteligentne. Hipotezy S-I (od pierwszych liter Selekcja na Inteligencję) można bronić, ale istnieją też poważne zarzuty przeciw niej. Nie zdołam tu wymienić wszystkich, ale warto zwrócić uwagę, że np. u współczesnych ludzi nie jest wcale tak, że kto ma większy mózg, jest tym samym inteligentniejszy. Inaczej mówiąc, nie bardzo można dowodzić, że wzrost mózgu oznacza wzrost tzw. inteligencji. Nadto można dowieść, że największy rozwój „zachowań inteligentnych" nastąpił u ludzi nie wtedy, kiedy ich mózg rozwijał się najszybciej, a właśnie wtedy, kiedy rozwijać się przestał! Samo zresztą pojęcie „inteligencji" jest bardzo nieprecyzyjne, ale mniejsza już o to. W każdym razie w świetle dzisiejszej wiedzy trudno orzec z całą pewnością, iż łatwiej przeżywały i szybciej rozmnażały się „małpoludy" o większych mózgach (co by preferowało powiększanie się mózgu w ciągu pokoleń). Poza tym stwierdziliśmy już wcześniej, że przez długie okresy myślistwa i zbieractwa naszym przodkom całkowicie wystarczała inteligencja, którą już mieli, nie było więc powodów natury „ewolucyjnej", by mózg się nadal rozwijał. Większa inteligencja nie była po prostu potrzebna. No cóż, znów jesteśmy w punkcie wyjścia: mózg naszych przodków rozwijał się „zbyt szybko" i trudno to wyjaśnić zarówno wzrostem ich wagi ciała, jak i „selekcją na inteligencję".

Hipoteza trzecia jest szczególnie interesująca, ponieważ powołuje się na przyczynę zupełnie dotąd nie braną pod uwagę, nadto pochodzi od specjalisty... nauk komputerowych (a nie antropologa!), dla nas zaś ma jeszcze jeden walor: hipotezę sformułował Polak, prof. Konrad Fiałkowski, skądinąd znany autor fantastyki naukowej. W skrócie i uproszczeniu hipoteza wygląda następująco:

Przesłanka pierwsza: przez długi czas formą zdobywania żywności przez naszych przodków było po prostu „gonienie za zwierzyną". W ogóle polowanie w gorącym klimacie ówczesnych sawann wymagało wielkiego trudu fizycznego i połączone było ze stałym przegrzewaniem ciała. Prowadziło to do tzw. stresu cieplnego, przejawiającego się m.in. w przegrzewaniu krwi odżywiającej mózg. Jest to dla mózgu bardzo szkodliwe, zakłóca działanie komórek mózgu, neuronów.

Przesłanka druga: z teorii von Neumanna, dotyczącej w ogóle działania złożonych układów wynika, że niezawodność układu, zbudowanego z zawodnych elementów można zapewnić przez zwiększenie liczby tych elementów i połączeń między nimi. Jest to właśnie owa wspomniana wcześniej redundancja, nadmiarowość, niezbędna dla działania układu w trudnych warunkach.

Wniosek: stres cieplny (przegrzanie) zakłócał działalność neuronów mózgu pierwotnych łowców. Nie wystarczały istniejące, fizjologiczne systemy chłodzenia, zatem lepiej przystosowani okazywali się ci, którzy mieli więcej neuronów i więcej między nimi połączeń. Mózg – układ złożony – przystosowywał się do trudnej sytuacji przez z w i ę k s z a n i e s w e j z ł o ż o n o ś c i, a więc rozrost i rozwój. Rozwój mózgu hominidów był więc wynikiem ich adaptacji do stresu cieplnego!

Potrzebna jest tu zapewne uwaga: przystosowanie do stresu cieplnego może wystąpić inną drogą, np. u szybko biegających zwierząt tropikalnych wykształciły się specjalne systemy chłodzenia mózgu, więc ich mózg nie musiał się powiększać. Przodkowie człowieka mieli, rzec można, szczęście, że ich adaptacja „poszła w kierunku" rozwoju samego mózgu...

Jest to hipoteza zdumiewająco prosta, spójna i wyjaśniająca wiele nie rozwiązanych dotąd zagadek. Jest to też hipoteza dość nowa, zobaczymy dopiero, jak potoczą się jej naukowe losy.

Nawiasem mówiąc, hipoteza „odpowiedzi na stres cieplny" odpowiada też na od dawna dyskutowane pytanie, dlaczego tzw. człowiek z Cro-Magnon wyparł całkowicie poczciwego Neandertalczyka, który swego czasu żył w całej Europie. Ludzie kromaniońscy byli mniej krzepcy, dużo słabsi od Neandertalczyków, mieli słabsze mięśnie i cieńsze kości. Mieli za to lepiej rozwinięte płaty czołowe mózgu – byli, krótko mówiąc, inteligentniejsi od swych neandertalskich krewniaków. Dlaczego? Według hipotezy Fiałkowskiego dlatego, że Neandertalczycy wcześniej wykorzystali „ludzkie" możliwości swego mózgu, zmienili technikę polowań, nie ulegali więc już stresowi cieplnemu, szybki rozwój ich mózgów zatrzymał się. Ludzie kromaniońscy przeciwnie – nie wykorzystali zbyt wcześnie „nadmierności" swych mózgów, więc mózgowe „przystosowanie do przegrzewania" działało u nich dłużej, mózg rozwijał się dłużej – i w efekcie zdobyli znacznie większą inteligencję. Pozwoliło im to skutecznie konkurować z Neandertalczykami i wyprzeć ich całkowicie. Można powiedzieć, że Neandertalczyków zgubiła „przedwczesna" mądrość...

Zwróćmy uwagę jeszcze, że gdyby wywołujący stres cieplny tryb życia ludzi kromaniońskich trwał dłużej niż trwał; gdyby jeszcze później zaczęli korzystać ze swej inteligencji – nasze dzisiejsze mózgi byłyby jeszcze sprawniejsze i bardziej złożone!

Oryginalne i dziwne – prawda? Cóż, moją rzeczą jest referowanie właśnie dziwnych hipotez.

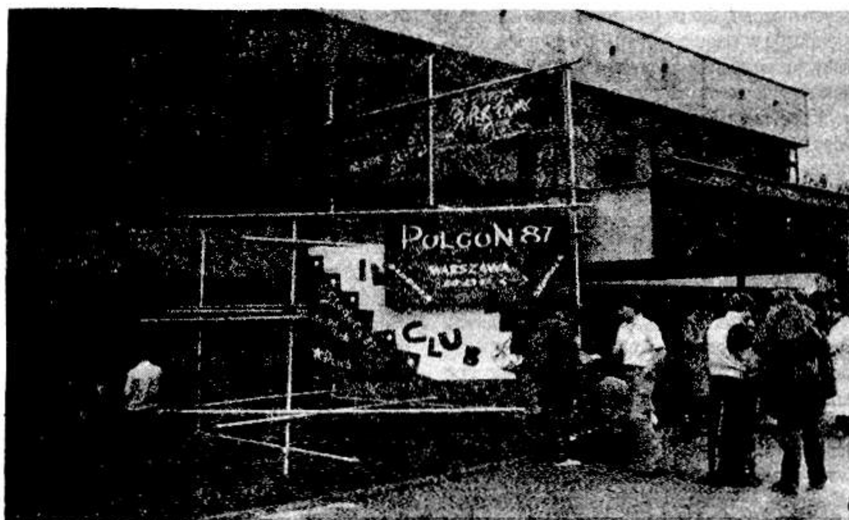
Byłoby zdumiewające (i może smutne?), gdyby hipoteza cieplnego stresu okazała się trafna – przecież wtedy nasz dumny i jedyny intelekt byłby zwyczajnym u b o c z n y m efektem zwykłego przystosowania mózgu do pracy w podwyższonej temperaturze! I nic więcej. Bylibyśmy „dziećmi ciepła".

Samoświadomość, inteligencja i twórczość człowieka jako „efekt uboczny" pierwotnego „drapieżnictwa" hord dawnych łowców – no cóż, jest to na tyle niesamowite i niezwykłe, że może okazać się prawdziwe.

■

---

1. Wyróżniona w systematyce rodzina, z której wyłonił się człowiek.
2. Wszystkie cytaty z referatu prof. T. Bielickiego pt. *„Ewolucja mózgu hominidów"* wygłoszonego na konferencji naukowej „Aktualne problemy biologii ewolucyjnej" w Jabłonnie w maju 1987 r. Z tegoż referatu czerpię wiele podanych tu informacji – artykuł Bielickiego opublikują „Problemy" nr 12/87.
3. Co nie oznacza, że nauka próbuje wyjaśnić fakty, podawane przez Daenikena, ale to inna sprawa.



Polcon'87

Doroczne spotkanie miłośników fantastyki z całego kraju staje się już tradycją naszego fandomu. Po Poznaniu (1985) i Katowicach (1986) tym razem odbyło się ono w Warszawie, dzięki staraniom warszawskiego oddziału PSMF i klubu studenckiego „Stodoła".

Warszawski „Polcon" przyćmił rozmachem wszystkie poprzednie. W czterodniowej imprezie (20-23 sierpnia) wzięło udział blisko tysiąc osób, z czego prawie połowa korzystała z zakwaterowania w akademikach „Riviera" i „Bratniak". Dzięki wielkiemu wysiłkowi organizatorów, ambitny program udało się zrealizować niemal w 100%; jedynym niemiłym zgrzytem był brak wyżywienia, za co należy się parę cierpkich słów warszawskiemu „Almaturowi". Organizatorzy zmuszeni byli do zwrotu uczestnikom części kosztów. Na szczęście w okolicach „Stodoły" znajduje się wystarczająco dużo barów i restauracji, które dzięki „Polconowi" znacznie zwiększyły w tych dniach swe obroty.

Mimo wszystko, narzekań na kłopoty z wyżywieniem prawie się na „Polconie" nie słyszało. Najwyraźniej zrekompensował je uczestnikom imprezy bogaty i obszerny program. Jego trzon, jak zwykle na tego typu imprezach, stanowiły projekcje filmowe odbywające się non-stop przez cały czas trwania konwentu jednocześnie w czterech salach. Łącznie pokazano podczas konwentu ponad 70 obrazów, zarówno na dużym ekranie, jak i w technice magnetowidowej. Wyliczanie tytułów mija się z celem – prościej będzie stwierdzić, że na „Polconie" można było obejrzeć niemal wszystkie filmy SF, jakie są dostępne w kraju, włącznie z absolutnymi nowościami.

Przedstawiono też wystawę dokonań czołowych polskich grafików, zajmujących się fantastyką, uwieńczoną spotkaniem z nimi. Przez cały czas czynne było dobrze zaopatrzone stoisko z nowościami książkowymi i wydawnictwami klubowymi (dosłownie oblegane od rana do wieczora) oraz salon gier komputerowych. Cenne, trudno dostępne na rynku książki można było nabyć na ponad pięciogodzinnej giełdzie. Z dużym zainteresowaniem spotkał się też pokaz slajdów z



Gość honorowy Polconu Kir Bułyczow podczas udzielania jednego z licznych wywiadów.

grafiką SF oraz prezentacja muzyki elektronicznej. Nie zrealizowano jedynie dwóch punktów programu: nie dostarczono do „Stodoły" sprzętu do pokazu holografii, zaś pan Jerzy Gudejko, który miał wystąpić z monodramem „Kwiaty dla myszy" uznał za niewystarczające warunki panujące w sali, które mogli mu zapewnić organizatorzy (za duży hałas).

Bardzo interesującą pozycją programu był czynny codziennie „klub fana". W kameralnym, niepowtarzalnym nastroju miłośnicy fantastyki i profesjonaliści mogli tu porozmawiać o swoich zainteresowaniach. Silna konkurencja odbywających się równolegle imprez sprawiła, że nie było na sali ludzi, którzy przyszli z braku lepszego zajęcia. Dyskusje były naprawdę gorące i pouczające, każdy mógł znaleźć odpowiedzi na interesujące go pytania i podzielić się swoimi spostrzeżeniami. „Klub fana" prowadzili w kolejnych dniach: Witold Nowakowski, Bogusław Polch i Jacek Rodek (komiks SF), Jan Adamski, Krzysztof Sokołowski i Rafał A. Ziemkiewicz (fantasy) oraz Wojciech Kordowicz (muzyka elektroniczna). Warto, aby ta forma spotkania, zaproponowana na „Polconie" po raz pierwszy, weszła na stałe do programu konwentów.

Warszawski „Polcon" zaszczycił swą obecnością znany radziecki pisarz, Kir Bułyczow, przez trzy dni dosłownie rozrywany przez miłośników swej twórczości. Dwugodzinne spotkanie z nim należało niewątpliwie do najmocniejszych punktów programu, a liczba udzielonych przez Kira Bułyczowa autografów kwalifikuje go do księgi Guinessa.

Był on, niestety, jedynym zagranicznym twórcą na imprezie (Wojtek Siudmak w ostatniej chwili zmuszony był ze względów zdrowotnych odwołać swój przyjazd). Większość zaproszonych gości nie odpisała w ogóle na zaproszenia. Na pewno nie bez znaczenia była tu nieodpowiedzialna działalność p. Wiktora Bukato z Wydawnictw „Alfa", który na krótko przed „Polconem" opublikował w zachodnim piśmie „Shards of Babel" artykuł ostrzegający przed udziałem w tej imprezie, nazywając ją „prowokacją" (?!). Bardzo to smutne, zwłaszcza że (o czym można się było na „Polconie" przekonać) sytuacja w naszym fandomie uległa ostatnio znacznemu uzdrowieniu. „Potępieńcze swary", podsycane latami przez niektórych działaczy klubowych, niemal już wygasły, zdrowy rozsądek najwyraźniej zwycięża, a ci, którzy nadal głoszą „świętą wojnę" między klubami zostali przez ogół fanów po prostu zignorowani. Na tym tle działalność pana Bukato, który porzucił już dawno status fana i zajmuje się fantastyką zawodowo, rozgrzebywanie zadawnionych, prowincjonalnych zatargów, a zwłaszcza wynoszenie ich na forum międzynarodowe i fałszowanie obrazu polskiego fandomu i polskiej fantastyki w świecie, zasługuje na ocenę najzupełniej jednoznaczną.

Uroczyste otwarcie – w imieniu organizatorów przemawia Maciej Makowski



W pierwszym rzędzie goście Polconu (od lewej): Kir Bułyczow, Wadim Dunin, Bronisław Kledzik, Krzysztof Boruń, Pavel Weigel



Fot. Zbigniew Latała

Dobrą tradycją „Polconów", podtrzymaną i tym razem, jest współudział w organizacji imprezy klubów z całej Polski. W tym roku podziękowania należą się zwłaszcza klubowi z Żyrardowa oraz białostockiemu klubowi „Taurus", który zaprezentował na „Polconie" ciekawą wystawę, będącą plonem ogólnopolskiego konkursu na grafikę SF przeprowadzonego przez Klub.

Wspomnieć tu jeszcze należy o loterii fantowej, w której wylosowano między innymi tak cenne nagrody jak komputer „Commodore" czy trylogia Tolkiena, o spotkaniach z twórcami, prezentacjach gier SF i fantasy, forum wydawców, wreszcie o starannej oprawie konwentu (elegancko wydany plakat, znaczek i informator, które otrzymał każdy uczestnik imprezy).

Jeśli kogoś lub coś tu pominąłem, proszę mi wybaczyć. Na tegorocznym „Polconie" naprawdę działo się zbyt wiele, żeby tu móc o wszystkim napisać.

Jak co roku przeprowadzono podczas „Polconu" plebiscyt, którego wyniki pozwalam tu sobie podać w przekonaniu, iż jest to znakomity sondaż czytelniczych gustów: Najlepsza książka obca: 1. Isaac Asimov „Fundacja" (765 głosów), 2. Henry Kuttner „Nieśmiertelni" (365), 3. James White „Kosmiczny szpital" (360). Najlepsza książka polska: 1. Stanisław Lem „Pokój na Ziemi" (330), 2. Waldemar Łysiak „Łysiak Fiction" (290), 3. Jacek Natanson „Złote Brighton" (244). Najlepsze opowiadanie polskie: 1. Andrzej Sapkowski „Wiedźmin" (Fantastyka nr 12/86, 355), 2. Janusz A. Zajdel „Adaptacja" („Fantastyka" nr 7/87, 204), 3. (ex aequo) Marek Oramus „Kompleks Hioba" („Fantastyka" nr 7/87) i Rafał A. Ziemkiewicz „Władca szczurów" („Feniks" nr 2/86) po 150 głosów. W głosowaniu na najlepszy fanzin wygrał wysoko „Feniks" (choć jest rzeczą dyskusyjną, czy pismo to było fanzinem, czy już magazynem profesjonalnym) przed „Kwazarem" i „Fikcjami".

Nie przyznano natomiast w tym roku tradycyjnie wręczanej na „Polconie" nagrody im. Janusza Zajdla. Cytuję oświadczenie jury tej nagrody: „Żadna z pozycji, które ukazały się w omawianym okresie, nie zasługuje na nagrodę i przyznanie jej obniżyłoby tylko jej prestiż".

Tegoroczny „Polcon" pobił też rekord pod względem zainteresowania imprezą prasy, radia i telewizji. Zapewne miał w tym swój udział fakt, iż impreza odbywała się w Warszawie. Liczny udział przedstawicieli prasy i poświęcone imprezie audycje radiowe i telewizyjne dowodzą, że „Polcon" z roku na rok nabiera coraz większej rangi. Dlatego niepokoić musi fakt, że na posiedzeniu komitetu organizacyjnego nie udało się ustalić miejsca i terminu przyszłorocznego „Polconu". Jest w Polsce kilka silnych klubów, które, jak myślę, mogłyby podołać organizacji następnego konwentu i miejmy nadzieję, że ta cenna tradycja nie zostanie zaprzepaszczona. Wszystkim, którzy przyczynili się do udanego przebiegu „Polconu'87" składam serdeczne podziękowania – w imieniu swoim i tysiąca uczestników konwentu.

Rafał A. Ziemkiewicz

Krakowski Klub Miłośników Fantastyki uprzejmie informuje o zmianie swojej siedziby. Obecny adres Klubu brzmi: **Klub Środowiskowy „STRYCH", KKMF, ul. Masarska 14, Kraków.** Jednocześnie informujemy, że KKMF nie bierze odpowiedzialności za przesyłki nadsyłane do Klubu na adres inny niż wymieniony. Wszystkich miłośników fantastyki serdecznie zapraszamy na nasze spotkania, które odbywają się w poniedziałki i w środy w godz. 16.30–21.00.

Fantastyczne pięć minut

Na zdjęciach:
1. Fragment wystawy ilustracji z naszego miesięcznika;
2. Spotkanie redaktorów naszego miesięcznika z radziecką publicznością

Mieliśmy i my nasze fantastyczne pięć minut podczas Dni Warszawy w Moskwie. I to parokrotnie.

Dzięki uprzejmości współorganizatorów imprezy – Związku Literatów Polskich, ALMA-Artu i Impresariatu Artystycznego Teatru Studio – mogliśmy przedstawić publiczności moskiewskiej problemy, dokonania, nowe zjawiska polskiej science fiction.

Ale bywało i tak, że poza wymienionymi autorami trudno było znaleźć na rynku radzieckim coś ciekawego i wartościowego.

Niżej podpisany opowiedział o dokonującej się w polskiej science fiction przemianie generacyjnej, filozoficznej, estetycznej; o fali polskich powieści socjologicznych. Wspomniał także o narastającej w środowisku polskich fantastów fali polemiki z Lemem.





Fot. Andrzej Brzezicki

Najpierw szef pisma, Adam Hollanek uczestniczył w obradach pisarzy fantastycznych. Szerszą relację z przebiegu obrad znajdziecie Państwo w tym numerze, w „...3...2...1...".

Dwa dni później, 11 września, wystąpili przed publicznością radziecką dwaj redaktorzy „Fantastyki": Sławomir Kędzierski i Maciej Parowski oraz najciekawszy twórca polskiego kina fantastycznego Piotr Szulkin. Ponadto w czasie całej niemal imprezy, red. Andrzej Brzezicki, kierownik działu graficznego pisma, prezentował moskwianom w Domu Młodzieży wystawę stu najciekawszych prac plastycznych współpracowników „Fantastyki".

Kędzierski mówił o przekładach fantastyki radzieckiej w Polsce od lat międzywojennych do współczesności. Nie zawsze, jak twierdził, szło to łatwo i nie zawsze miało charakter świadomego propagowania science fiction. W dwudziestoleciu tłumaczyliśmy wybraną radziecką fantastykę traktując ją po prostu jako dobrą literaturę (A. Tołstoj, I. Erenburg, W. Katajew). Po wojnie, zwłaszcza w przypadku takich twórców jak Jefremow, bracia Strugaccy czy Bułyczow odgrywała czasem fantastyka radziecka wobec naszej rolę inspirującą.

Z zainteresowaniem przyjęto w Moskwie plastyczną wystawę „Fantastyki". Brzezicki nawiązał przy okazji kontakty z radzieckimi artystami, czego konsekwencje zobaczycie Państwo wkrótce na naszych łamach.

Podobnie przyjęła Moskwa osobę i dzieło Piotra Szulkina. Tutejsza publiczność częściowo zna jego filmy (m.in. dzięki festiwalom i z kaset wideo), a także bezbłędnie rozszyfrowuje jego przesłania. Szulkin podczas spotkania natychmiast znalazł z widownią wspólny język. Przyznał się do duchowego pokrewieństwa z reżyserem radzieckim Andriejem Tarkowskim. Dyskretnie nie podjął postawionego przez widzów problemu oczywistych zapożyczeń ze swego dzieła, na jakie pozwolił sobie Konstantin Łopuszański, twórca „Listów martwego człowieka". Parogodzinne spotkanie publiczności z reżyserem zmieniało się z rozmowy o dziele, o języku artystycznym, w wymianę uwag o sztuce w ogóle, o życiu i... pierestrojce.

Także podczas spotkań w Moskwie okazała się więc fantastyka językiem pojemnym i uniwersalnym.

Maciej Parowski

WORLDCON'87 – BRIGHTON (ANGLIA)

Narady i nagrody

45 światowa konwencja science fiction „Conspiracy", największa tego typu impreza dla miłośników i profesjonalistów fantastyki naukowej odbyła się w dniach 27.08–2.09.1987 r. w Brighton. Z całego świata zjechali fanowie, pisarze, plastycy, dziennikarze, wydawcy magazynów i książek. Przybyło około 5000 ludzi, wśród których nie zabrakło także przedstawicieli i naszego kraju (około piętnastu osób).

Dzień wcześniej odbyło się posiedzenie World Science Fiction, międzynarodowej organizacji profesjonalistów, o której na łamach „Fantastyki" pisaliśmy już niejednokrotnie. Organizacja ta przyznaje dorocznie kilka nagród i miłym dla nas zaskoczeniem było uhonorowanie Adama Hollanka nagrodą specjalną Prezydenta World SF w roku 1987 za „szczególne osiągnięcia na polu science fiction".

Nagrodę imienia Karela (chodzi tu o postać znanego pisarza czeskiego Karela Čapka) dla tłumacza roku przyznano Wiktorowi Bukacie z wydawnictw „Alfa", który ponadto otrzymał nagrodę fundacji E. Everett Evans „Big heart a world" przyznawaną człowiekowi, który coś zrobił dla światowego fandomu. Napisałem „coś", gdyż nie są mi znane bliżej kryteria, jakimi kieruje się fundacja w przyznawaniu swojej nagrody.

Miłym zaskoczeniem był dla wszystkich przyjazd braci Strugackich: zostali oni uhonorowani przez World SF główną nagrodą za dorobek twórczy.

Zanim opowiem w wielkim skrócie co działo się podczas tych siedmiu dni festiwalu fantastyki, jeszcze kilka słów na temat samego Worldconu. Każdego roku na całym świecie odbywa się kilkadziesiąt różnych konwentów i spotkań. Najważniejszym spotkaniem fanów i twórców z Europy jest Eurocon, każdorazowo organizowany przez inny kraj. Podobnie jest z Worldconem. Jest to doroczna, największa i najważniejsza impreza tego typu. Wielokrotnie był organizowany w USA. Po raz pierwszy Worldcon odbył się w 1939 r. w Nowym Jorku. Jest to ogromna impreza i trzeba nie lada organizacji, pieniędzy i wysiłku, aby odważyć się na jej zorganizowanie. Ponadto nawet kiedy się spełni te warunki, trzeba wygrać przetarg, tzn. zebrać odpowiednią liczbę głosów, a to wiąże się z systematyczną akcją propagandową na wiele lat przed terminem imprezy.

Najbliższe dwa Worldcony odbędą się w USA, przyszłoroczny w sierpniu w Nowym Orleanie, a następny w Bostonie. Dziś koszt uczestnictwa w nich wynosi 65 dolarów i będzie rósł w miarę zbliżania się imprezy. W 1990 r. znów Worldcon odbędzie się w Europie – Holandia zwyciężyła w przetargu o organizację konwentu z Los Angeles.



Nagroda im. Karela

Na Worldcon do Brighton przybyło wielu pisarzy, w tym takie sławy jak Robert Silverberg, Larry Niven, Frederik Pohl, Bob Show, Brian Aldiss, Harry Harrison, bracia Arkadij i Borys Strugaccy, Algis Budrys, John Brunner; Anne McCafferey i Gene Wolfe, a z młodszej generacji George R.R. Martin (kilkakrotnie u nas drukowany i bardzo ceniony), Tanith Lee (mniej znana w Polsce, ale popularna w świecie autorka powieści fantasy), Ian Watson, Gardner Dozois, David Brin (bardzo obecnie popularny), Greg Bear czy William Gibson – autor głośnej powieści z nowej odmiany SF „cyberpunk". Mógłbym wymieniać tu jeszcze wielu, wielu innych popularnych pisarzy i grafików.

Organizatorzy przygotowali dla uczestników zjazdu bogaty i atrakcyjny program. Było dużo różnych spotkań z twórcami. Oto przykładowo kilka tematów takich spotkań: „Dekada 1960", „50 lat Supermana", „Gotyk – SF", „Gdzie horror styka się z SF", „Gdzie są brytyjskie magazyny SF", „Poważna fantastyka naukowa – mówi Bob Shaw", „SF na śmietnisku historii". Ponadto zorganizowano przeglądy filmów i widowisk telewizyjnych, wielką wystawę sztuki fantastycznej, w której obok malarstwa i grafiki prezentowano także rzeźbę, kompozycje przestrzenne i grafikę komputerową. Prezentowali swoje wyroby wydawcy gier komputerowych i planszowych. Odbywały się różnego rodzaju konkursy, głównie w „sprawności dżojstikowej", ale widziałem także grających po kilka godzin w gry planszowe i „role–playing". Do tego wszystkiego dodać trzeba jeszcze imprezy towarzyszące, jak koncert rockowy z tekstami opartymi na utworach popularnego pisarza fantasy Moorcoka, czy rodzaj maskarady – prezentację strojów uszytych przez fanów odtwarzających znanych i popularnych bohaterów książek czy filmów. I wreszcie kulminacyjnym punktem Worldconu była uroczystość wręczenia nagród Hugo, jednej z trzech najważniejszych i najbardziej prestiżowych nagród świata. Listę laureatów publikujemy oddzielnie.

Nie sposób w tak krótkim sprawozdaniu oddać ducha tego siedmiodniowego festiwalu fantastyki i jego atmosfery, a była ona wspaniała. Można mieć nadzieję, że kiedyś w przyszłości wspólnym wysiłkiem rodzimych fanów uda się i w naszym kraju zorganizować Worldcon.

Jacek Rodek

WORLD SF

THE INTERNATIONAL SCIENCE FICTION ASSOCIATION OF PROFESSIONALS

SPECIAL PRESIDENT'S AWARD 1987

for particular achievements in the Science Fiction field

TO

ADAM HOLLANEK

Brighton, August 1987

Nagrody Hugo 1987

- **najlepsza powieść: Orson Scott Card – „Speaker for the Dead",**
- **najlepsza mikropowieść: Robert Silverberg – „Gilgamesh in the Outback",**
- **najlepsza nowela: Roger Zelazny – „Permafrost",**
- **najlepsze opowiadanie: Greg Bear – „Tangents",**
- **najlepsza książka non-fiction: Brian Aldiss i David Wingrove – „Trillion Year Spree",**
- **najlepsza adaptacja dramatyczna: „Aliens",**
- **najlepszy grafik profesjonalny: Jim Burns,**
- **najlepszy wydawca profesjonalny: Terry Carr,**
- **najlepszy profesjonalny magazyn SF: „Locus" – wydawany przez Charlesa N. Browna,**
- **najlepszy pisarz nieprofesjonalny: Dave Langford,**
- **najlepszy grafik nieprofesjonalny: Brad Foster,**
- **najlepszy fanzin: „Ansible" wydawany przez Dave'a Langforda,**
- **nagroda im. Johna W. Campbella: Karen Joy Fowler.**

MIESIĘCZNIK
Fantastyka

SPIS TREŚCI – ROK 1987

W roku 1987 ukazało się 12 numerów naszego pisma (numery od 52 do 63); wszystkie o objętości 64 stron. Spis treści zestawiliśmy zgodnie z podziałem „Fantastyki" na stałe działy. W ich obrębie zastosowaliśmy układ alfabetyczny, wg nazwisk autorów oraz chronologiczny wg tytułów (w razie większej liczby tytułów jednego autora). Materiały redakcyjne lub sygnowane jedynie inicjałami, a także te, które są tylko opracowaniami, włączyliśmy do spisu alfabetycznie wg początkowych wyrazów tytułów, natomiast wywiady – wg nazwisk osób, z którymi były przeprowadzane. W przypadku recenzji nie podaliśmy ich tytułów, lecz przedstawiliśmy zestawiony alfabetycznie wg nazwisk autorów wykaz omówionych książek. Pierwsza liczba przy wszystkich hasłach oznacza kolejny numer „Fantastyki" w roku 1987, natomiast liczby po myślniku – stronę, na której zamieszczono wymieniony materiał (np. 3–4 oznacza nr 3, str. 4); liczby rzymskie oznaczają stronę okładki (np. 6–III to nr 6, III str. okładki).

Opowiadania i nowele

Powieści

Z polskiej fantastyki

Poezja i fantastyka

Krytycy o fantastyce

Słownik polskich autorów fantastyki

Wszystkie hasła słownika oraz fragmenty utworów (tytuły w nawiasach) zamieszczone na „pożółkłych kartkach" przygotował Andrzej NIEWIADOWSKI.

Recenzowane książki

W nawiasach podaliśmy inicjały autorów recenzji: SB – Stanisław BELINA, LB – Leszek BUGAJSKI, ZD – T. Zbigniew DWORAK, WJ – Włodzimierz JURASZ, GL – Grażyna LASOŃ, MO – Marek ORAMUS, MP – Maciej PAROWSKI, WS – Wawrzyniec SAWICKI, MS – Małgorzata SKÓRSKA, KS – Krzysztof SOKOŁOWSKI, MSZ – Magdalena SZMIT, AŚ – Aleksander ŚWITALSKI, JT – Jolanta TAMBOR, RZ – Rafał A. ZIEMKIEWICZ.



Informacje o książkach

Spotkanie z pisarzem

Film i fantastyka

Nauka i SF

SF na świecie

Wśród fanów

Komiks

Galeria „Fantastyki"

Podajemy tylko strony, na których zamieszczono noty wprowadzające.

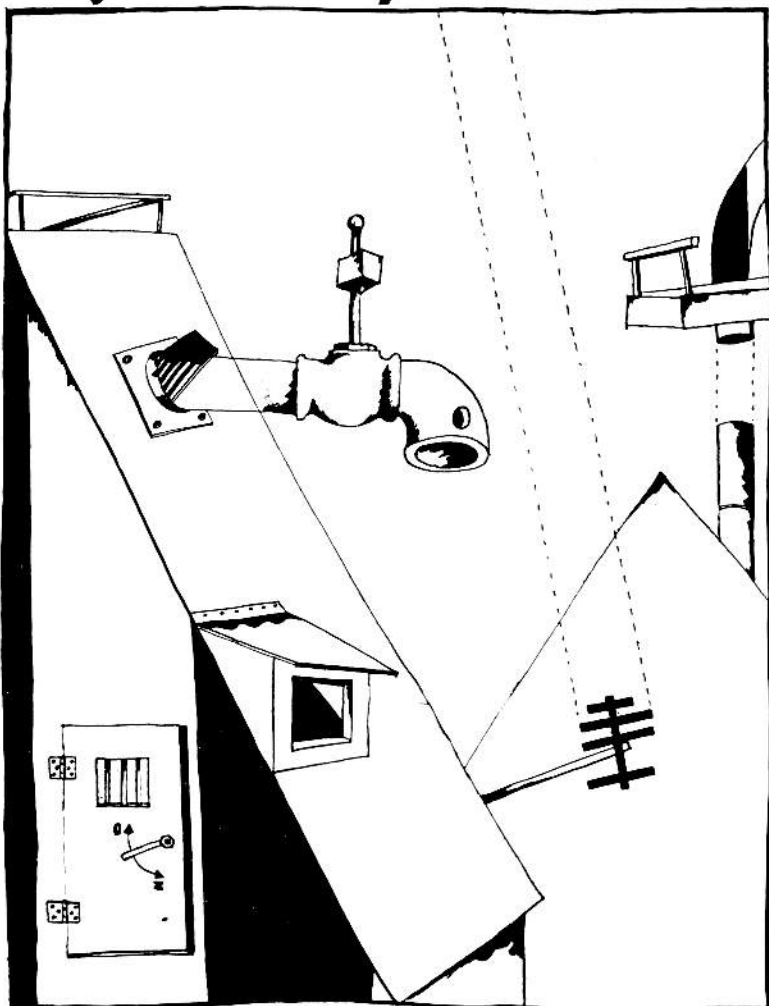
Różne (stałe rubryki, omówienia, informacje itd.)

Notki

■

Jan Tulik, ur. 15 czerwca 1951 r. w Gołęczynie (Tarnowskie). Wydał zbiory wierszy: „Zdarzenie w C-durze" (1981), „Ocalone drzewo" (1982), „Budzenie licha" (1985) oraz arkusz poetycki „Morze Wilgoci" (1983). Laureat konkursów poetyckich, także nagród literackich im. Ryszarda Milczewskiego-Bruno (1982) i St. Piętaka (1985). Uprawia również krytykę literacką, publikuje na łamach „Życia Literackiego", „Poezji", „Pisma Lit.-Art.", „Kultury" i in., do wydania przygotowane: dwa tomiki wierszy, proza (i książka krytyczna – to w fazie roboty).

Jan Tulik


Janusz Wieczorek

TRATWY NOSTRADAMUSA

Nostradamus mówi

Jak ustaliliśmy podług tarczy słonecznej,
po każdych dwunastu miesiącach mamy nowy
1549 rok. W następnym roku 1548
albo 1463 ukończę spisywać Centurie,
lub zacznę je pisać.
Druga wojna światowa była przewidziana
daleko wcześniej, zaraz po lądowaniu
człowieka na Księżycu.
A za kilkadziesiąt może lat
narodzi się Chrystus, którego
wcześniej czy później ukrzyżowali
i zmartwychwstanie by Odkupić.
W 3797 roku nastąpi koniec świata albo
wtedy dowiecie się, lub dowiemy,
co moglibyśmy wiedzieć, gdyby było
słuszne. Lecz nie jest słuszne – jest
powiedziane.

Czarna karta

Madame L., posłuszna córka Nostradamusa,
rozkłada na tafli stołu karty: Buonaparte
dotyka jednej – lśniącej coraz goręcej.
Wybiera inną – w cesarskim brokacie.
Madame L. odradza trzecią – chłodna
jak kopny śnieg i niedostępna niczym
w bryle lodu zatopiona miniatura
Moskwy – jadowity
owad w bursztynie.

Madame L. powiada w roku 1871
do Fryderyka Wilhelma II: dodajmy
do dzisiejszej daty 1+8+7+1 = 1888 – oto rok śmierci
Waszej Wysokości.

Madame L. zwraca się do mnie:
nie wybieraj
żadnej z kart!

Dagerotypy śpiącego proroka

Różowe niebo nad błękitną planetą
o taflę lodu spłaszczoną na biegunach – oglądam
w pościeli i okrywający mnie koc faluje
jak wielka woda w przypływie – wełniane fale
przyciąga różowe światło żarówki.

Inna płytka przedstawia przesunięte kontynenty
i nowe morza; jakby mój pokój
został gwałtownie przemeblowany
i szafa stanęła na środku – wyspą
w toni podłogi.

Na pozostałych dagerotypach mogę dostrzec
tylko mgliste szczegóły: ocierające się w locie
dwa kamienie, które iskrząc zmieniają tor;
szczyt gotyckiej wieży opadającej w głąb
jak peryskop; ludzkie usta utrwalone w ostatnim
krzyku. I dziecko przyssane do drzewa
wokół którego spękana ziemia aż po horyzont;
drzewo bez cienia, pod misą chmury, z której upada
jedna kropla na jeden liść – ku wardze maleństwa.

Aby nie patrzeć już, przysłaniam dagerotypy
gazetą z artykułem o najnowszych osiągnięciach
mocarzy. Nakrywam się kocem, który jest
kocem, gaszę żarówkę, która jest żarówką,
zaczynam drzemać na tapczanie,
który nie jest ruchomym lądem. Dobrze.
Tylko jak nazajutrz wyjść z domu
we wszechświat – – –